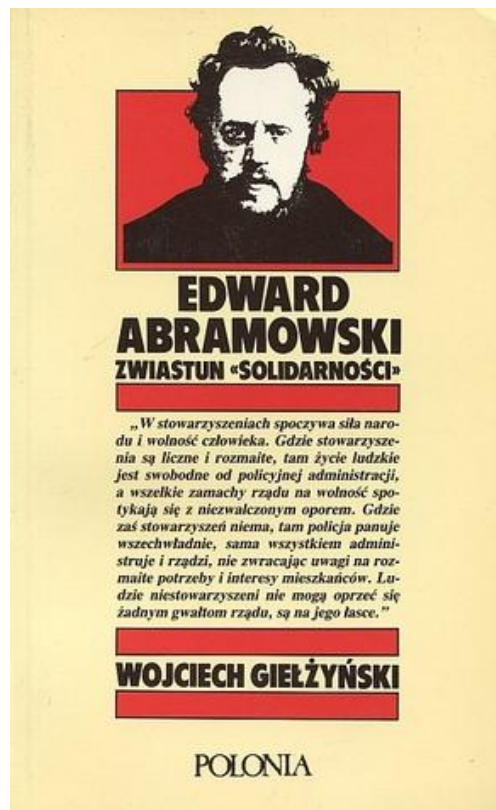


Edward Abramowski

Zwiastun "Solidarności"

Wojciech Giełżyński



1986

Spis treści

***	3
WTEDY DOJRZEWAŁO SIĘ PRĘDZEJ	6
W ROLI ZAWODOWEGO REWOLUCJONISTY	15
KRUSZENIE MARKSISTOWSKIEGO MONOLITU	41
POLSKI MODEL HIPPIZMU	56
REŻYSER ZZA REWOLUCYJNEJ SCENY	71
SPÓŁDZIELCZOŚĆ I MASONERIA – BLIŹNIACZE CÓRY ABRAMOWSKIEGO	85
SENS I CZAR DOZNAŃ PSYCHICZNYCH	96
NARKOTYK CZYNU	109
MIĘDZY LAMUSEM A NADZIEJĄ	123

* * *

Motto:

*„Wzmacnianie niezbędności państwa w życiu osobistym ludzi jest to najpewniejsza
droga do despotyzmu”.*

Edward Abramowski

Urodził się 17 sierpnia 1868 roku.

Urodził się o trzy generacje za wcześnie.

Edward Abramowski: filozof, socjolog, psycholog, etyk. Działacz robotniczy, współzałożyciel PPS. Bojownik niepodległościowy. Pod koniec życia mistyk, godzący się z Bogiem.

Gdyby przyszedł na świat w osiemdziesiąt lat później byłby ideologiem „Solidarności”, jej duchowym – a może i politycznym – przywódcą. Ten związek ludzi uciskanych i ruch patriotycznego protestu, ta formacja pokoleniowa, złączona dramatycznym doświadczeniem wspólnego losu, jest jak gdyby materializacją jego myśli i intuicji. W jego umyśle powstała projekcja, którą spontanicznie ucieleśnili robotnicy Gdańska, chociaż Lech Wałęsa nie studiował dzieł przezeń napisanych.

Na kilkanaście lat przed rewolucją październikową Abramowski przeprowadził wnikliwą krytykę systemu, który jeszcze nigdzie nie istniał, a dziś nazywany jest „realnym socjalizmem”. Przewidział nieszczęścia, jakie spadną na ludzi w biurokratyczno – totalitarnym państwie, noszącym szyld socjalistyczny. Słusznie zatem „naukowi socjaliści” nie znoszą Abramowskiego. Traktują go jak wyrodka, nazywają utopistą i anarchosyndykalistą (co w ustach marksistów jest obelgą najwyższego stopnia). Istotnie, był utopistą; pod wpływem jego prognoz i haseł powstały wprawdzie rozmaite ruchy społeczne – które syntezę i apogeum niespodziewanie osiągnęły w „Solidarności” – lecz żaden z nich nie okrzepł w trwałą partię polityczną, ani nie objął władzy. Jednakże to, co się parę razy nie powiodło, może się udać *kiedyś*. Rzadko idea krystalizuje się po jednym wyżarzeniu, a każdy projektowany ustrój, zanim powstał realnie, był utopią.

Jakoś ulotniło się z masowej pamięci, że socjalistów wszelkiej maści długo uważano za zabawnych, niezyciowych maniaków. Co niemiara kpiono ze śmiesznego malarzyny z wąsikami, który bredził o czystości rasowej. Ileż wymyślono dowcipów o chudzielcu z kożą i kołowrotkiem, Gandhim, który porwał się na Imperium Brytyjskie. Pan Herzl, obsesjonista Ziemi Obiecanej dla Izraelitów, zdawał się być groteskowym fiksatem. Fidel Castro miał 82

ludzi w chwili wyzwoleńczego desantu na Kubę; ocalało dwunastu, sytuację rewolucyjną należało dopiero stworzyć a na przeciw stała 30-tysięczna armia reżimowa. To już nie jak utopia brzmiało, lecz jak bredzenie szaleńca, gdy zapowiedział Fidel, że za dwa lata wygoni Batistę. Sprawdziło się co do dnia. Chomeini obalił potęgę militarną szacha – piątą w świecie – powtarzając uparcie, że trzeba obalić szacha, Allach jest Wielki. Tym wywołał powstanie.

Z potrójnego hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej wiek XIX wyniósł na piedestał WOLNOŚĆ. W wieku XX na pierwszy plan wysunął się postulat RÓWNOŚCI. Może w XXI wieku ludzkość przypomni sobie o BRATERSTWIE, które było sednem doktryny Abramowskiego? Może zacznem tego są ekscentryczne grupy młodzieżowe, coraz liczniejsze na Zachodzie i Wschodzie, które gardzą wzorami życia, obowiązującymi w dorosłym otoczeniu – i w miłości, przyjaźni, braterskich związkach szukają tajemnicy i sensu bytu? Może też nie są przejściową fascynacją ani modą kręgi solidarnych wspólnot nieco starszego pokolenia, częste zwłaszcza we Francji, które doświadczenia „Solidarności” nie odczytują już jako niespodziewanego „kłopotu dla Sowietów”, ale jako moralną propozycję dla świata, od dawna poszukującego ideologii kojarzącej wolność jednostki z wzajemną odpowiedzialnością oraz odwagę czynu z bezinteresownością motywów? Może gdy świat osiągnie granice wzrostu, właśnie ideologia braterstwa pojawi się – jak tylekroć zjawiały się nowe ideologie w dobach kryzysu – ażeby ocalić ludzkość przed samozniszczeniem?

Teorie Abramowskiego w jednej z faz ich rozwoju można rzeczywiście (choć z zastrzeżeniami) nazwać anarchosyndykalizmem. Rozłóżmy jednak na dwa człony tę zbitkę pojęciową, którą towarzysze profesorowie-marksieści, niby Belzebubem, straszą oponentów. Anarchizm w sensie teoretycznym to przekonanie, iż nie państwo, lecz *wolni ludzie*, łączący się dla pospólnego dobra w samorządnych stowarzyszeniach, są właściwym podmiotem życia społecznego. Syndykalizm zaś – to idea, że związki zawodowe są głównym orężem w walce o prawa ludzi pracy.

„Solidarność”, nic o tym nie wiedząc, była przeto największym w dziejach i najpłodniejszym eksperymentem anarchosyndykalistycznym, chociaż potępiała gwałt i nie czarne chorągwie wywieszała, ale znaki kościelne i narodowe.

Nie ma rzecz jasna gwarancji, że utopia anarchosyndykalizmu ziści się kiedykolwiek w kształcie trwałym. Ale szansa istnieje. Warto o tę szansę walczyć, odcedzając z anarchizmu jego groteskowe wynaturzenia i te tezy, które bieg czasu zdyskwalifikował, z syndykalizmu eliminując jego przesadne wyobrażenie o potędze zrzeszonej pracy. Będzie to trudne, gdyż w warstwie językowej, potocznie, anarchizm kojarzy się z *anarchią*, z chaosem i zamętem – wbrew tej doktrynie. Dlatego warto prześledzić myśli Abramowskiego ze wszystkimi ich meandrami, także tymi, które istotnie stały się martwymi zastoinami.

Przede wszystkim warto przybliżyć jego postać. Każdy z aspektów bujnej twórczości Abramowskiego znalazł już lepsze albo gorsze opracowania, rozproszone po zapomnianych książkach i specjalistycznych czasopismach. Brak natomiast książki, która by pokazywała także i to, jak *on sam* stał się natchnieniem najwartościowszych ludzi swojego pokolenia – tych ludzi, co społeczną służbą i wytrwałą walką, dążyli do niepodległej Polski i demokratycznego postępu.

Skąpa jest biografistyka Abramowskiego. Jedyne druh jego i wyznawca, prof. Konstanty Krzczkowski, poświęcił mu książkę *Dzieje życia i twórczości Edwarda Abramowskiego*, wydaną w 1933 roku. Książka ta, pod dyktando serca pisana, w niektórych fragmentach pobieżna – posłużyła autorom specjalistycznych prac o twórczości Abramowskiego do szkicowania jego życiorysu i portretu; poza nią prawie nie wychodzili. Nawet artykuł o Abramowskim w *Polskim Słowniku Biograficznym* (1935) opiera się na pracy Krzczkowskiego. Paradoksalnie, hasło to współredagował Ludwik Krzywicki, który z Abramowskim rywalizował o „rząd dusz” i darzył go szczerą antypatią, dając jej upust nawet w tym biogramie. Z konieczności i ja w dużej mierze posługuję się tekstem Krzczkowskiego. Archiwalia dotyczące Abramowskiego są niezwykle ubogie. Liczne są natomiast wzmianki o nim, o jego wpływie na współczesnych, w pamiętnikach z tamtej epoki, a także w dziejach literackich (Stefan Żeromski, Maria Dąbrowska). Znamienne przy tym, że minimalizują rolę polityczną Abramowskiego oraz z lekceważeniem traktują jego idee wyłącznie ci spośród jego rówieśnych, którzy byli jego antagonistami lub rywalami: Ludwik Krzywicki, Bolesław Limanowski, Feliks Perl i Ludwik Kulczycki. Dla pierwszego był zbyt „narodowy”, dla drugiego zbyt „lewicowy”, dla trzeciego zbyt „ugodowy”, a czwarty nienawidził go totalnie, gdyż udało mu się osiągnąć wiele z tego, co wstępnie projektował on, Kulczycki.

Rozproszone, ułamkowe informacje o Abramowskim postarałem się zawrzeć w tej książce, której zamysłem jest jedynie pierwsze przybliżenie jego fascynującej postaci. Zawodowym historykom pozostawiam trud dalszych poszukiwań źródłowych, filozofom i socjologom trud rzetelnej prezentacji oceny *Pism Abramowskiego*, których czterotomowa edycja z lat dwudziestych (zresztą, niepełna) nie została wznowiona. Oby ten trud podjęli, kontynuując wysiłki Bohdana Cywińskiego, który w obszernym studium o myśli politycznej Abramowskiego¹ dał najlepszą jak dotąd analizę jego dorobku. Oby powstało dzieło na miarę myśliciela, który „nasycił sobą pokolenie” – jak głosił Żeromski.

¹ W tomie *Twórcy polskiej myśli politycznej* (zbiór studiów), 1978

WTEDY DOJRZEWAŁO SIĘ PRĘDZEJ

„Kultura polska zawdzięcza go kresom. Był dzieckiem stepu ukraińskiego. Kresowego rodowodu są wszystkie wartości, które wniósł do skarbnicy naszej. Wyrosły z jego duszy, jak bujne kwiaty stepowe tak namiętnie przezeń ukochane... Posiadał bezgraniczne umiłowanie wolności, ślepe przywiązanie do ziemi, żywiołowy wicher wielkiego czynu i bohaterstwa życia, bezkresną potęgę twórczą, nieustraszoność myśli.”

Taką apologią Konstanty Krzczkowski zaczął swą książkę, wcześniej wydrukowaną jako wstęp do Tomu I *Pism* Edwarda Abramowskiego. Wtórowała mu Nela Samotyhowa¹, jedna z uczennic Mistrza: „Prawie niechybnie Polacy pochodzący stamtąd, posiadają mocne tempo życia, energię i żywotność duchową i fizyczną.”

Mit Kresów, kresowego rodowodu najcenniejszych rysów naszej kultur jest dawny, a wciąż żywy. Od Mickiewicza i Słowackiego, po Miłosza i Kuśniewicza trwa oczarowanie wartościami, które dojrzewały w litewskich puszczech, wśród ukraińskiego stepu, w wieloimiennym tyglu narodowościowym. Nawet się wzmaga. któryś raz, w najostatniejszych czasach; z tym, że głębą obecnej fascynacji dawnym Wschodem nie jest już (pomijając epigonów) atawistyczne przywiązanie do dziecinnych wspomnień znad Wilejki i Smotrycza – ale wiara, iż jedynie w mariażu z narodami Ukrainy i Litwy mogą Polacy zbudować byt trwałe i niezawisłe. Niebliska to wizja; oddalona nie tylko mocą „bratniego” mołocha, lecz również zapiekłymi resentymentami dzielącymi narody dawnej Rzeczypospolitej. Toż nawet te okruchy nacji ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej, jakie żyją w naszych granicach, otoczone są nieufnością, za którą odpłacają niechęcią. Będzie ona tym większa, im czulej pielęgnować będziemy kresową legendę, podbarwioną szowinizmem.

Aliści inaczej było przed stuleciem, gdy w Stefaninie, w powiecie Wasylkowskim ziemi Kijowskiej, raczkował Edward Abramowski, urodzony w parze bliźniaczej, z której tyko on wyżył. Jeszcze nie istniała ostra bariera wrogości między Ukraińcami, których świadomość narodowa była w półuśpieniu, a Polakami, którzy na Rusi czuli się *u siebie*, jak na Mazowszu. Owszem, naturalne linie konfliktów rozdzielały dwór od sioła i kościół od cerkwi, lecz nie były wyostrene bratobójstwem; o Chmielnickim zapomniano, zaledwie mglistą legendą były bunty hajdamackie. Wróg wspólny, Moskał, doskwierał panom Polakom i chłopom Rusinom, chociaż z niejednakową intensywnością.

Ażeby pałac i dworek mogły przetrwać w podwójnym osaczeniu – przez carskich czynowników i przez żywioł ludu ukraińskiego – musiały pieczołowicie dbać o swą polskość

¹ N. Samotyhowa, *Edward Abramowski i jego poglądy na znaczenie dobra i piękna w przebudowie życia*, 1928.

sentymalną. Stad każdy kresowy posesjonat czuł się trochę rycerzem, strażnikiem polskich rubieży i za dyshonor uchodziło, na przykład, sprzedanie ziemi „obcym”. Każdy dworek był wysepką narodowej tradycji, strzeżoną portretami przodków w kontuszach, kolekcją ksiąg polskich w safian oprawionych i patosem wieczornych opowieści o czynach powstańczych. Ideał przedmurza, który w czasach pozytywizmu już skapcaniał na ośrodkowych ziemiach polskich – na Kresach nadal określał etos ziemiaństwa. Oczywiście, był to anachronizm; ale jakże płodny i pełen wdzięku! Gdy zubożała po klęsce powstania styczniowego szlachta Kongresówki łapczywie miała się miejskich profesji, pozwalających odkuć się i zapomnieć o narodowych mrzonkach, szlachta kresowa ciągle strzegła wartości romantycznych. Z tym jednak, że jej poczucie misji rozszczepiało się stopniowo na dwie postawy skrajne: jedni z kresowiaków zasklepiali się w sarmackim konserwatyzmie, zyskując miano „żubrów”, drudzy zapalali się do czynów rewolucyjnych, ażeby przez międzynarodowe braterstwo złamać imperatorską opresję i za jednym zamachem wyzwolić całą ludzkość. Pierwszych było więcej, lecz i drugich nie mało. Z zacnych domów kresowych wywodziła się połowa twórców „Proletariatu” i SDKPiL; druga połowa to głównie zbuntowane dzieci z bankierskich rodzin żydowskich.

Dwór Beynarowiczów w Stefaninie, w który wzenił się Edward-senior Abramowski, ojciec Józefa Edwarda, bohatera naszej opowieści, łączył w sobie cechy tradycyjne z otwartością na demokratyczne „nowinki”. Pan Edward-senior przywędrował nad Dniepr z Wileńszczyzny. Także pochodził z ziemiaństwa, ale skromnego najwidoczniej, skoro do Stefanina trafił jako korepetytor Jadwigi Beynarowiczówny, panny subtelnej i uczuciowej, ale obdarzonej też praktycznym zmysłem gospodarskim. Potem poprosił o jej rękę i dostał Stefanin w posagu.

Edward ojciec Edwarda był człowiekiem światłym. Ukończył w Kijowie studia prawnicze, pasjonował się chemią (chętnie zamykał się wśród probówek w domowym laboratorium), nastawiał ucha na nowe prądy, modne wśród młodzieży, jak liberalizm czy nawet socjalizm. Z włościanami żył w zgodzie, nie targował się o miedzę i serwituty, pomagał im w biedzie; gdy umarł, opłakali go na mszy żałobnej, którą zamówili w katolickim kościele! Żył prawie światowo, Stefanin nie był zaściankiem. Ze studenckich czasów datowała się jego przyjaźń z ludźmi, którzy wtedy byli gwiazdami na intelektualnym firmamencie.

Był wśród nich Włodzimierz Spasowicz, profesor prawa znany w całej Rosji, wybitny pisarz polityczny, najzagorzalszy ze zwolenników ugody i trwalej, równoprawnej, demokratycznej więzi Polaków z Rosjanami.

Był Leonard Sowiński – poeta postromantyczny, uczestnik patriotycznego ruchu na Północy, zesłaniec Sybiru.

Był Aleksander Jabłonowski, historyk i etnograf, badacz dziejów Rusi.

Był pan Feliks z rozrośniętego domu Pietkiewiczów, prawnik i człowiek szerokich horyzontów, najczęstszy gość Stefanina.

Był Piotr Jaksa-Bykowski, powieściopisarz wzięty, który opowiadał się przeciw państwu, co mu wcale nie wadziło w apoteozowaniu kresowej szlachty.

Krąg rodzinny Abramowskich i Beynarowiczów także składał się z ludzi interesujących. Często bawił w Stefaninie stryj Alojzy Abramowski, lekarz, powstaniec styczniowy oraz wuj

Ludwik Beynarowicz, też powstaniec, który osobiście spalił – wedle poleceń Rządu Narodowego – księgi pańszczyźnianej robocizny Stefanina. Przyjeżdżała ciotka Róża Kruszyńska i jej brat Marcei Dobrowolski, który należał do „wiary towiańskiej”; z rodem Towiańskich również Abramowskich łączyła przyjaźń.

Atmosfera domu, wszystkim gościnnego i bez ciasnych uprzedzeń ideowych, stanowiła amalgamat konserwatyzmu z libertynizmem raczej niż klerykalizmem; to zresztą nie było zjawiskiem wyjątkowym w dworach szlacheckich o inteligenckim zacięciu. Kościół oferował w tamtych czasach niezwykle chudą strawę duchową, w świecie myśli nie liczył się zupełnie, nie inspirował nawet do czynów niepodległościowych; był zastraszony represjami, wymordowany, wyzęty z ambicji. Rzecz jasna, jeździło się do kościoła na niedzielne msze i na wielkie święta, inaczej być nie mogło. Polak był, musiał być, katolikiem; stereotyp ten wytyczał zachowania obyczajowe, lecz na tok mylenia nie miał istotnego wpływu – skoro ówczasie tyle świątoburczych prądów dopływało, nawet na Ukrainę, znad Sekwany.

Młody Edek wychowywał się w klimacie tolerancyjnym, świeckim, i pozostawał wierny myśli wyzwolonej aż prawie po kres życia. Ale nigdy nie stał się fanatykiem antyreligijnym, co było częste w owych czasach; nawet w krótkim okresie zachłyśnięcia się marksistowską ortodoksją, ani też później, gdy krzewił idee wolnomularskie, nie wojował z Panem Bogiem, chociaż zwalczał klerykalny ciemnogród. Prawdy ewangeliczne zawsze były mu bliskie. Często popadał w mistyczne uniesienia i szukał Stwórcy na swych własnych, niekonwencjonalnych ścieżkach emocjonalnych. Ale to było później. Póki był dzieckiem i młodzieńcem, religia nie budziła w nim żadnego oddźwięku. Czułością, potem żywą pamięcią obdarzał natomiast księdza kanonika Błażejewskiego, proboszcza Wasylkowa: „promienną postać” – jak w eseju „Życie i słowo” napisał u schyłku żywota.

„Nie było w nim nic z ascety, ani z mistyka lub teologa, żadnego fanatyzmu doktrynerskiego, żadnego nawet wyższego wykształcenia książkowego. Kochał życie, słońce, wesołość, dzieci – i wszystkich pokrzywdzonych. Był ojcem całej okolicy; jego plebania była nieustannym przytułkiem i ochroną; zbierał i garnął do siebie wszystkie opuszczone lub zaniedbane dzieci, całą biedotę miejscową. Szlachta zagonowa, chłopci, żydzi, udawali się do niego w każdej potrzebie, a nikt nie odchodził bez pomocy, rady i pociechy. Oddawał wszystko. Pomimo, że parafia była duża i bogata, a majątek kościelny stanowił sporą fortunę szlachecką, nie znaleziono po jego śmierci nawet tyle pieniędzy, ile trzeba było na pogrzeb. Ziemię rozdawał darmo zaściankowej szlachcie, a gdy komu nie wodziło się w gospodarstwie, dopłacał mu z własnej kieszeni. Hojność jego serca stała się nawet przyczyną jego śmierci. Jadąc gdzieś zimą, spotkał na drodze zziębniętą kobietę z dzieckiem; aby ją rozgrzać, zdjął ze siebie futro i tak dowiózł do domu. Przeziębł się i dostał zapalenia płuc, z którego umarł. Za jego trumną szły tysięczne rzesze ludu, tłumy żydów, katolików i prawosławnych. Ten, którego ciało odprowadzali wtedy do grobu, przekonał ich, że jest tylko jeden Bóg dla wszystkich i jeden kościół powszechny, prawdziwy, kościół braterstwa.”

Kościół braterstwa... Kościół solidarności... Już wtenczas więc, sto lat temu, osobowość kapłana znaczyła dla wiernych najwięcej. Sacrum jedynie wtedy ma szansę wycisnąć swe dobre piętno na sercach ludzkich, jeśli posługę religijną sprawują kapłani, których osobowość – których autentyzm – zjednuje ludzi dla prawd ewangelicznych. Hieratyczność i sakramentalność Kościoła przyciąga doń najwyżej tych, co sami nie potrafią wykrzesać z siebie głębszych przeżyć duchowych, współbrzmiających z naukami Chrystusa; tych, co owych nauk nie umieją przełożyć na imperatyw miłości dla bliźniego i oczekują „obietanej nagrody” za puste gesty rytualne. Tacy ludzie są doktrynalnie katolikami, niewątpliwie, lecz trudno by ich włączyć w obręb kultury chrześcijańskiej. Inaczej ludzie, którzy w kapłanie – obojętne czy jest nim Ksiądz Kościoła, czy prosty wikary z podlaskiej wsi – poszukują przyjaciela, powiernika i przewodnika; człowieka zdolnego nawet męczeńską ofiarą własnego życia poświadczyć swą służbę drugiemu człowiekowi bądź narodowi, najbardziej autentycznej wspólnoty. Takich ludzi często razi skonwencjonalizowany gest wyznania wiary, natomiast chciwie oczekują Słowa. Może to zresztą koloryt polski? Może tego łaknienia nie ma w krajach, w których można swobodnie używać słów prawdy i nie bać się słów kłamliwych, znieprawionych, przed którymi Kościół jest ostatnią osłoną?

Mistyczne olśnienia małego Edka i Marii, jego starszej siostry (a obydwójce mieli ku nim skłonności) pochodziły nie z egzaltacji, lecz z lektur romantycznych. Zaczytywali się utworami Waltera Scotta, pochłaniali *Powieści fantastyczne* Hoffmana, nade wszystkich uwielbiali Słowackiego. Kult Słowackiego, *notabene*, był typowy dla całej generacji niepodległościowej, z Piłsudskim na czele; twórca Pana Tadeusza został na nowo, rewolucyjnie odczytany dopiero przez następne pokolenie – gdy znane stały się *Dziady*.

A może rację ma Krzeczkowski, że największy wpływ na kształtowanie uczuciowości i marzycielstwa małych Abramowskich miała ukraińska przyroda? Stefaniński biały dwór sąsiadował z odwiecznym parkiem w jarze, nad stawem; Wokół rozciągał się olbrzymi widnokrąg stepowy, bujny roślinnością, bezgranicznie cichy, gdy pokrywała go zimowa biel. Istotnie, Abramowski na całe życie pozostał uwięziony przez czar i ekspresywność przyrody, towarzyski jego dzieciństwa. Składał jej hołd w swej doktrynie estetycznej i etycznej, uważał ją za źródło przeżyć szczególnie mocnych, za element kultury – wartość samą w sobie. Całkiem odwrotnie niż drugi, współczesny mu luminarz polskiej filozofii, Stanisław Brzozowski, który przyrodę traktował jako materialne tworzywo, produktywizowane przez pracę – jedyne źródło kultury. Brzozowskiemu nie przyszłoby do głowy zdanie, jakie Abramowski zawarł w liście do rządców Stefanina, proponujących mu wyrąb kilku dębów: „Zastanowiwszy się nad tem widzę, że nie mogę się na to zgodzić; są to zbyt szanowne, zbyt wiekuiście drzewa, żeby je ścinać”.

Zachłanny na wiedzę, pogrążony w poważnych lekturach, kontemplacyjny – Edward był jednak normalnym dzieckiem, lubił baśnie, zabawy, gonitwy. Chętnie cwałował konno po stepowych przestworach albo błąkał się po tajemniczych jarach. Do szkoły nie chodził. Uczyła go ulubiona guwernantka, madame Marie Veillard. To ona, obok francuszczyzny, zaszczepiła w nim miłość do klasyki literackiej i sentyment do swej rodzinnej Szwajcarii. Pewnie dlatego czuł się dobrze w Genewie, wołał ją od innych miast europejskich.

Wychowując się w warunkach cieplarnianych, Edward nad podziw szybko rozwijał się umysłowo. Jako dziewięciolatek kompetentnie rozprawiał z dorosłymi o sprawach publicznych i treściach książek, o których „się mówiło” w salonach. Nie był przy tym niezdolnie zarozumiały, co zazwyczaj cechuje cudowne dzieci; przeciwnie, krępowała go nieśmiałość, wynikająca z wad wymowy. W tym samym szczenięcym wieku pisał też wiersze i... dramaty, rywalizując z siostrą, nie mniej uzdolnioną i dojrzałą myślowo, skłoną do filozofowania. Nic się z tej jego dziecięcej twórczości nie zachowało, oprócz fragmentu, który utkwił w pamięci Kazimierza Pietkiewicza, wiernego towarzysza nieco późniejszych lat Edwarda:

*Noc była głucha i ciemna,
Zawyły wichry od Wisły do Niemna
Wstrząsły się Kremlu mury...
Co to za upiór groby rozwala
A w ręku trzyma knut, którym pozwala
Chłostać narody od Niemna do Chiwy?*

Przy swym introwertycznym usposobieniu miał Edward od dzieciństwa skłonność do wybuchów hysterii (co mu z lubością wytknął Krzywicki). Gdy mu umarła matka, dziesięciolatek szalał z rozpacz, próbował się otruć, potem na miesiąc popadł w melancholię. Ojciec, przerażony psychicznym stanem syna, wywiózł go wraz z Marią do Warszawy. Mieli tam pobierać regularne nauki, nadal domowe, lecz udzielane przez wybitnych pedagogów.

Ojczystej literatury uczyła ich Maria Konopnicka, która wtedy nikomu nie kojarzyła się z sierotką Marysią ani z czułościową poetyką bogoojczyźnianą. Całkiem przeciwnie. Konopnicka – poetka mierna, publicystka wybitna – uchodziła za zuchwałą buntowniczkę, co nie szanowała ani Cara, ani Kościoła. Ona wzywała naród do otwartych protestów przeciw zarobcy (Prus ani Sienkiewicz nie zdobyli się na to nigdy), klerykałom zaś naraziła się tak dalece – za „herezje”, jakie napisała o Świętej Inkwizycji – że wileński biskup Niedziałkowski mawiał, iż zasługuje na przebicie języka rozpalonym żelazem. Zasłużenie trafiła pod strzechy; dla rozbudzenia w narodzie uczuć patriotycznych uczyniła wcale nie mniej aniżeli Adam i Juliusz. Była też świetnym pedagogiem. To ona otworzyła oczy kresowego paniczyka na niedolę warstw plebejskich, warszawskiego ludu roboczego, ona zaszczepiła w nim duszę zrewoltowaną, nadała pełniejszy wymiar jego rozległej już książkowej wiedzy o „problematach socjalnych”, czerpanej z dzieł Darwina, Spencera i Marksa. Patriotyzm sentymentalny, wyniesiony z domu, zaczął się w umyśle Edwarda przeistaczać w patriotyzm walczący.

Drugim nauczycielem, nie mniejszego formatu, był Konrad Prószyński-Promyk, o którym Stefania Sempołowska napisała, że przez 30 lat pracy nauczycielskiej pół miliona ludzi czytać nauczył po polsku; był autorem doskonałych, uznawanych za najlepsze w świecie, elementarzy dla samouków. Wśród plejady wytrwałych „oświatowców” miał Promyk

zasługi największe; przyznawali to nawet jego antagoniści z lewicy, jak Sempołowska właśnie.² Sam był bliski narodowcom, zwanym wtedy „ludowcami” bądź „patriotami”.

Ojciec Edwarda dbał, by wśród pedagogów dobieranych synowi byli ludzie o zróżnicowanych poglądach. Trzecim preceptorem był uzdolniony pisarz Zygmunt Pietkiewicz z rozgałęzionej rodziny, wywodzącej się z Białorusi – zdeklarowany socjalista. I on, i jego stryjeczny brat Kazimierz mieli się rychło stać najzagorzalszymi stronnikami politycznymi Edwarda Abramowskiego. Obaj oddali mu się ciałem i duszą, choć Zygmunt był o 9 lat, a Kazimierz o 7 lat starszy od przywódcy. (Zabawne, że historyk Jan Kancewicz, autor renomowanych prac o PPS, określa ich jako „młodszych współtowarzyszy” Abramowskiego).

Jeszcze inni ludzie, wtedy głośni, uczyli Edwarda. Ich talenty pomogły mu w przedwczesnym rozwoju intelektualnym – ale czy brak normalnego środowiska rówieśników szkolnych nie spotęgował egocentryzmu i psychicznego samotnictwa?

Jako czternastolatek, Edward próbuje drukować swe pierwsze utwory w „Przeglądzie Tygodniowym”, lecz redakcja słusznie je odrzuca. Odprawiony z kwitkiem, zanoszą teksty do „Zorzy”, ludomańskiego pisemka, redagowanego przez Józefa Grajnera. Ukazują się! Cały cykl, pod tytułem „Pogadanki o rzeczach pożytecznych” – w siedmiu numerach, podpisanym dyskretnym inicjałem: A.

Ma już Abramowski lat piętnaście (choć na tyle nie wygląda) i wielki zapal do ekonomii.

Pogadanki nie odznaczały się oryginalnością myśli ani kunsztem pisarskim, raziły naiwnym moralizatorstwem – zdradzały jednak odczytanie w dziełach luminarzy myśli społecznej. I było w nich wyznanie dziecięco egzaltowane, któremu Abramowski, po przełożeniu na język filozofii, pozostał wierny:

„Mam więc wszystko od ludzi: życie, dobrobyt, naukę. To wszystko jestem im dłużny; powinienem wzajemnie być dla nich wszystkich użyteczny, odpłacić się im dobrem...”

W rok później „Zorza” drukuje trzyodcinkowe *Pogadanki z gospodarstwa społecznego* – treściowo znacznie bogatsze. Obok banalnej dyrektywy: Bądźcie sobie braćmi i przyjaciółmi, pomagajcie jeden drugiemu”, pojawia się w nich myślenie kategoriami politycznymi. Abramowski jest już świadom, że robotnicy są upośledzeni i wyzyskiwani przez fabrykantów, mimo że „wszystko, co społeczeństwo ma, ma to od robotników”. Krytykuje systemy podatkowe i wyborcze, lecz nie pojawia się jeszcze w jego artykułach żaden przebłysk rewolucyjności. Przeciwnie, kończy je zaskakującym zdaniem: „Dziś rządy zajmują się tem, aby robotnicy mieli dobrobyt i prawa ich ochraniające”.

Nic dziwnego, że z tak niewykrystalizowaną świadomością szesnastolatek nie został przyjęty do Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii Proletariat, choć o to zabiegał, wspierany protekcją Zygmunta Pietkiewicza. Życie spiskowe pociągało go szalenie, marzył o knuciu, jak wszyscy jego rozgarnięci rówieśnicy. Kręcił się tak usilnie wokół Marii Bohuszewiczówny, która po wypadkach pierwszego i drugiego składu kierownictwa „Proletariatu” objęła zarząd partii, że zyskał w tym kręgu przydomek „Tłoczek”. Musiał poczekać

² A takie Żeromski; w *Snobizm i postęp* napisał, że jego imię „będzie wciąż otoczone, dopóki język polski trwać będzie, gdyż w dobie najcięższych prześladowań, najsilniej podjął pracę dla przeciwdziałania za pomocą oświaty wynarodowieniu ludu.”

na konspiracyjną inicjację, a także na huczne zabawy, jakie potajemnie urządzali proletariacy, przez co masowo wpadali w żandarmskie łapy. Bohuszewiczówna patrzyła na z góry. Bądź co bądź, miała już 19 lat, była panną piękną i całkiem dojrzałą, z dobrego domu – od samych Kościuszków w żeńskiej linii; przewracali za nią oczami wszyscy konspiratorzy oraz literaci, a zwłaszcza Józef Karol Potocki, idol warszawskiej młodzieży, Michnik tamtych czasów.

Edek miał na pociechę chwilowo to, że całkiem opanował „Zorzę”, stary Grajnert słuchał go jak wyroczni. Ale było to pisemko niskich lotów, zajmowało się głównie popularyzacją chrześcijańskich gospód bezalkoholowych. Tematyka w sam raz na pióro szesnastolatka. Edek nie chciał być jednak pionkiem, marzył o laurach, o przewodzeniu innym.

Wpierw jednak powinien był zdać maturę. Jako eksterna wysłał go ojciec w 1885 roku do Krakowa, ale – z powodów nieznanych – Edward nie stanął do egzaminów w gimnazjum św. Anny. Matury nie zdobył nigdy, jak i żadnych później dyplomów uniwersyteckich; do Katedry na Uniwersytecie Warszawskim szedł Abramowski wyłącznie przez uparte samokształcenie, które zresztą trudno by nazwać systematycznym, skoro studiował prawie wszystkie dziedziny wiedzy, w rozmaitych fakultetach.

Niewiele wiadomo o jego epizodzie krakowskim. Tyle tylko, że jako wolny słuchacz zapisał się na wydział przyrodniczy, wbrew dotychczasowej, typowo humanistycznej edukacji domowej. Uczęszczał na zajęcia z fizyki, z anatomii, z zoologii i botaniki, lecz wolał sam grzebać w bibliotekach. Czytał wszystko, co go nagle zainteresowało, podstawowego kierunku nie traktując z należytą powagą. Krakowa nie polubił; mierzył go, jak wyznał – „zaduch klerykalny”; był już przecież przekonany socjalistą, który z gorliwością neofity wierzył tylko w materię. To mu przeszło szybko, materializm nie odpowiadał na niezliczone pytania, jakie się w nim rodziły. Najchętniej jednak spiskował. Mieszkając z „Fakirem” – Kazimierzem Pietkiewiczem – pospołu z nim założył koło socjalistyczne, gromadzące młodzież studencką i rzemieślniczą. Istniało niedługo, bo wślizgnął się doń austriacki szpieg. Następna wyspa była poważniejsza. Edward i „Fakir” zorganizowali punkt przerzutowy nadsyłanej z Genewy bibuły – do Kongresówki, przez granice w Szycach. Jeden z pomocników, student Baraniecki, wpadł – rzecz można „klasycznie” – albowiem policja znalazła jego adres w notesie przemytnika. Wokół Abramowskiego zaczęło się robić gorąco. Zatem, jak to było (i jest) w zwyczaju konspiratorów, postanowił się czasowo zmyć za granicę. Do Genewy oczywiście. Tam ciągnęło go od lat, tam była prawdziwa Mekka rewolucjonistów. Policja szwajcarska słynęła z tolerancji wobec wszelkich wywrotowców, chociaż ze szwajcarską dokładnością prowadziła ich dossier, na wypadek, gdyby próbowali zamącić ład i porządek w Konfederacji Helweckiej. Ale gadać, pisać i knuć mogli, ile tylko chcieli – byle przeciwko innym rządóm i byle nie fabrykowali dynamitu.

Edward już w Krakowie był duszą studenckiego towarzystwa, narzucał kolegom swój styl, gusty i poglądy; naśladowali każdy jego ruch nawet przy pieczeniu kiełbasek nad ogniskiem. W Genewie także jest na pierwszym planie. W jego mieszkaniu mieści się klubowa czytelnia, pełniąca funkcje klubu dyskusyjnego polskiej kolonii studenckiej. Tamże urządzano amatorskie muzykowanie (Abramowski był i w tym kierunku utalentowany), jak również seanse spirytystyczne i telepatyczne, co było w modzie – i bardzo, na długie lata,

zafrapowało Abramowskiego, znajdując odbicie w jego późniejszych koncepcjach metafizycznych. Tego typu zainteresowania zawsze towarzyszą czasom, w których zablokowana jest możliwość otwartej działalności politycznej; tyle tylko, że wirujące talerzyki ustąpiły dziś miejsca wirującym wahadłkom radiestetów.

Czy coś ówczesnie pisał – nie wiadomo. Z pewnością natomiast gromadził wiedzę, notatkami zapisywał całe bruliony, szkicował wiele przyszłych prac. Formalnie, w Genewie nadal jest na wydziale przyrodniczym i pasjonuje się fizyką; podobno podsuwa nawet prof. Soretowi jakieś nowatorskie pomysły. Ale fizyka mu nie wystarcza. Równolegle i znacznie intensywniej studiuje filozofię, ekonomię i historię, zwłaszcza gospodarczą, szykując się do napisania obszernych szkiców o społeczeństwie rodowym, o feudalizmie i kapitalizmie. Największy bodaj wpływ wywarły nań wykłady filozofa J. J. Gourda, zwolennika fenomenalizmu, który Abramowski zastosował do badań psycho- i socjologicznych. Już wtedy ukuł swą zasadniczą tezę, że cały rozwój społeczeństwa zasadza się na ciągłym wzajemnym oddziaływaniu zjawisk rzeczowych i świadomości ludzkiej, będących na przemian przyczyną i skutkiem.

Krystalizuje mu się w głowie kościec planu życiowego: stworzenie systemu teoretycznego, mającego być syntezą całej ogólnoludzkiej kultury. Ten kościec, w okresie genewskim, jest zbudowany z marksistowskiego tworzywa. Przecież omalże cały świat intelektu przeniknięty jest ówczesnie duchem Marksa i roznamiętniony dylematami, wynikającymi z jego idei – na owe czasy najbardziej spójnych i adekwatnych do rzeczywistości społecznej. Wyzysk kapitalistyczny, tak wstrząsająco opisany przez Marksa i Engelsa, trwa przecież nadal, wyzysk bezwzględny – aczkolwiek nieco już temperowany ekspansją ruchu syndykalistycznego i kooperatystycznego, falami strajków robotniczych, a zwłaszcza ofensywą rozlicznych nurtów i odłamów socjalistycznych. Co prawda I Międzynarodówka już przestała istnieć po wstrząsie wywołanym klęską Komuny Paryskiej i gwałtownych sporach w łonie ruchu robotniczego, ale właśnie w tym czasie, gdy Abramowski przebywa w Genewie, zaczyna się; pod egidą Engelsa konstituować II Międzynarodówka.

Dla ludzi wrażliwych na krzywdę społeczną i ucisk narodowy, ludzi o nastawieniu humanistycznym, nie ma w tamtej epoce innej wizji, godnej człowieczeństwa, poza socjalistyczną. Być za socjalizmem stanowiło wówczas jakby moralny obowiązek każdego intelektualisty. *Za jakim* socjalizmem jednak? Za ortodoksją marksistowską, która sama siebie z impetem i dobrą znajomością psychiki swych adeptów ochrzciła mianem „socjalizmu naukowego”, zjednując tych, którzy uwierzyli – uwierzyło wielu – że skoro coś się zowie „naukowym”, to musi być prawdziwe? A może za anarchizmem komunistycznym księcia Piotra Kropotkina, bogato nasyconym pierwiastkami etycznymi? A może za legalnym reformizmem, który zaprojektował był pan Ferdynand Lassalle?

Polacy mają dodatkowy znak zapytania. Póki żył Marks, było oczywiste, że dążenie do niepodległości jest nie tylko nakazane moralnie, ale i uprawnione jego doktryną. Przecież I Międzynarodówka powstała po londyńskim mityngu, zwołanym w imię solidarności z powstaniem styczniowym – i stale „sprawie polskiej” poświęcała baczną uwagę. Odkąd jednak, w 1876 roku, I Międzynarodówkę rozwiązano, w światowym ruchu robotniczym zaczęło dominować nastawienie „ekonomiczne” i tak bardzo internacjonalne, że o prawach

poszczególnych narodów do niezawisłego bytu notorycznie zapomniano. Tym łatwiej zapomniano, że ton nadawała wtedy socjaldemokracja niemiecka, która nie sprzyjała – w trosce o całość Niemiec – polskim aspiracjom narodowym.

Także I Proletariat, zwany „Wielkim”, uległ podobnym tendencjom. Jego twórcy, w wieku totalnego zbuntowania młodzieńczego, postponowali patriotyzm, naigrywali się z narodowych tradycji, ufali albo w „automatyzm” rozwoju dziejowego, który Iada rok wyzwoli cały świat w okowów kapitału, albo w bakuninowski terroryzm, praktykowany przez „Narodną Wolę” w Rosji, który rychło pozabija ciemniejszych i zastąpi wszelkie państwa zrzeszeniem wolnych gmin. Po cóż wobec tak świetlanych perspektyw troszczyć się o polski partykularz, o jakieś granice i prawa suwerenne, o cienie szlacheckiej przeszłości? Idea narodowego samostanowienia okresowo stała się całkiem niemodna. Skądinąd nawet chorujący na antypatriotyzm Wielki Proletariat był, wbrew głoszonym hasłom, ważnym etapem kształtowania się pracy niepodległościowej, gdyż zapoczątkował czynną walkę z caratem – poruszył zatęchłą wodę w polskim stawie, w którym od klęski styczniowych powstańców leżały się wyłącznie leniwe karpie, rade, że mogą spokojnie żreć i tyć. Były niezbędne agresywne szczupaki, by ową zgniliznę zmącić.

Tylko że i te szczupaki wytrzebiono właśnie w latach, które Abramowski spędził w Genewie. Po zesłaniu na Sybir resztek Wielkiego Proletariatu, skupionych wokół Bohuszewiczówny, pozostały jedynie marne niedobitki, które próbował zebrać Marian Ulrych. Ale i jego żandarmiska sieć wygarnęła... z kosza na bieliznę, w którym się ukrył u narzeczonej. Ruch zamarł. W 1886 roku ustała w kraju wszelka działalność socjalistyczna.

Trwała natomiast w Genewie, wokół „Walki Klas”, teoretycznego organu proletariackich emigrantów, prowadzonego przez Stanisława Mendelsoona i jego żonę, Marię Jankowską. Współdziałał z nimi Aleksander Dębski, jedyny z przywódców Wielkiego Proletariatu (później entuzjasta Piłsudskiego), który potrafił uniknąć aresztowania w Warszawie – był podziwiany za swój „szósty zmysł konspiracyjny” i w porę ulotnił się za granicę. Oni to douczają, i instruuja, spiskowo młodego Abramowskiego; rozumieją, że tylko wyrostki mogą pobudzić społeczeństwo do śmielszych czynów.

Edward-student przedziera się w agitatora. Czego sam się nauczył, uczy robotników w genewskim kółku samokształceniowym. Pisze artykuły i broszury, chwilowo do szuflady. Wreszcie nadchodzi dzień upragniony, dzień misji rewolucyjnej. Udaje się do Warszawy, aby sklecić partię, nazwaną Drugim Proletariatem, poszarpaną w końcu grudnia 1888 roku kolejną falą aresztowań.

Jest już poważnym młodzieńcem: skończył 20 lat.

W ROLI ZAWODOWEGO REWOLUCJONISTY

Warszawa w końcu lat osiemdziesiątych żyła pod znakiem normalizacji, to znaczy aresztowań, procesów i zsyłek.

W 1886 roku na stokach Cytadeli powieszono Czterech Proletariaczyków, a parę kolejnych ekip kierownictwa podziemia wywieziono na Sybir.

Spółeczeństwo potulnie bogaciło się i kolaborowało, wedle nakazów politycznego realizmu, głoszonego przez pozytywistów. Publicyści legalnej prasy potępiali warchołów, którzy wszystkich narażają na represje, a przy najmniej na zły humor moskiewskich satrapów. Doradzali, żeby się do władzy odnosić życzliwie, z zaufaniem, to może trochę poluzuje kajdany.

Jedynie nieodpowiedzialne wyrostki zbierały się pokątnie, żeby dyskutować i spiskować. Ton nadawali uczniowie handlówki im. Kronenberga, szczególnie Ludwik Kulczycki i Władysław Studnicki. Obaj w latach późniejszych zasłynęli jako ludzie nie całkiem zrównoważeni – Kulczycki był fanatykiem terroryzmu, Studnicki najzjadlejszym w Polsce germanofilem – lecz w wieku młodzieńczym byli dzielnymi rewolucjonistami i zdolnymi ideologami ruchu socjalistycznego.

Kulczycki po krótkiej bytności w Genewie, starał się od jesieni 1887 roku odrodzić partię – kontynuatorkę Wielkiego Proletariatu. Wysiłki te wsparł przysłany również przez genewczyków Marcin Kasprzak, który poprzednio działał w zaborze pruskim, odsiedział kilkanaście miesięcy w areszcie, ale po procesie umknął z więzienia. Uchodził już za starego, bo zbliżał się do trzydziestki, ale imponował młodym brawurą, tężyzną fizyczną i fantazją. Nie mniej od Kulczyckiego był rozkochany w idei terroru. Założyli Polską Socjalno-Rewolucyjną Partię „Proletariat” (Drugi Proletariat), jednocząc inteligentkie koła Kulczyckiego z grupą robotniczą, którą zebrał Kasprzak. Niestety, po kilku miesiącach policja zgarnęła pół setki ich stronników, także Kulczycki na 5 lat poszedł za kraty. Sam Kasprzak nie zdołałby uciągnąć organizacji; nie miał wykształcenia ani cech przywódczych.

Te zalety miał natomiast Edward Abramowski, więc centrum genewskie posłało go w sukurs zdziesiątkowanej partii. Przybył do Warszawy, przerywając studia na początku 1889 roku, zbliżył się i serdecznie zaprzyjaźnił z Kasprzakiem; stali się nierozłączni. Wkrótce razem weszli w skład CK Proletariatu, który uzupełniali „Fakir” Kazimierz Pietkiewicz, „Baj” Bolesław Antoni Jędrzejowski (późniejszy ideolog piłsudczyzny) oraz Stanisława Motzówna, zagorzała aktywistka, panna wielkiego uroku i temperamentu, prawdziwa Miss Podziemia. Była córką robotnika spod Radzyna Podlaskiego, ze spolszczonej rodziny osadników niemieckich. W Warszawie ojciec jej awansował na majstra piwowarskiego, ona zaś,

autentyczna proletariuszka, po czubek głowy zanurzyła się w spiskowanie. Robiła agitkę przed 1 Maja, organizowała komórki wśród szwaczek, pisała wywrotowe odezwy. Była o rok starsza od Edwarda i imponowała mu zapalem rewolucyjnym. On też przypadł jej do gustu. Pod koniec 1889 roku razem, jako narzeczeni, pojechali do Genewy na konsultację krajowych działaczy socjalistycznych z emigracyjnymi. Towarzyszył im Adolf Warszawski, ich równolatek, burżuj wprawdzie – ale „internacjonał” zajadły, który reprezentował konkurencyjny wobec II Proletariatu, nieco później założony Związek Robotników Polskich (potem jako „Adolf Warski” był współzałożycielem SDKPiL i przywódcą KPP).

Genewska narada, wąska i niereprezentatywna, nie przyniosła porozumienia międzynarodowego. Jedynym bodaj z niej pożytkiem było zapoczątkowanie popularnej serii Biblioteki Robotnika Polskiego, do której Abramowski napisał pierwszy tomik agitacyjny Dzień Roboczy (pod pseudonimem „Warszawiak”) i jeden z następnych: Rewolucja Robotnicza (bez podpisu). W Szwajcarii Stanisława z Edwardem wzięli ślub. W drodze powrotnej zatrzymali się w Krakowie, ażeby przy okazji „zorganizować granicę” do przerzutów bibuły, w czym już Edward miał pewne doświadczenie. Młodych małżonków wypatrzył i aresztował komisarz austriackiej policji, Jan Kostrzewski. Dla obojga była to pierwsza, zresztą niegroźna wpadka. Tyle, że 27 listopada 1889 roku zostali wydaleny z monarchii Habsburgów.

Po powrocie do Warszawy Abramowscy przeżywają miodowe miesiące i okres gorąckowej aktywności partyjnej. Ich mieszkanie w Alejach Jerozolimskich 67 stało się centralą i przytuliskiem warszawskich konspiratorów. Nie tylko proletariatszyków. Abramowscy utrzymują przyjazne stosunki także z ruchliwą grupą „Głosu”, która oscylowała między ideologią socjalistyczną a radykalizmem narodowym, szczególnie zaś ze sztandarowym publicystą tego pisma, Marianem Bohuszem (tak ku pamięci ubóstwianej Marii Bohusze-wiczówny przezwał się Józef Karol Potocki). Abramowski chodzi też, albo wysyła Staszkę bądź kogoś ze współpracowników na zebrania Związku Robotników Polskich, czego nigdy nie podarował mu ideolog i protektor tej organizacji – sławny już „mędrzec” Ludwik Krzywicki. We *Wspomnieniach* swych Krzywicki oddał co prawda hołd Motzówniej („Stanisława niewątpliwie należy do liczby czystszych, szczerzych postaci, jakie w życiu swoim spotkałem”), natomiast z przekąsem w wielu miejscach starał się zdyskredytować Abramowskiego: „ufać mu nie było wolno... Chwytał w lot cudze pomysły... bez ceremonii wywołał rozłam w Proletariacie... Pożerała go pasja wiedzenia o wszystkim, co się dzieje w innych partiach lub w kółkach młodzieży... Powsuwał tam zaufanych ludzi, którzy zdawali stałe sprawozdania, co dzieje się w Związku Robotników Polskich” i tak dalej. Powód tej niechęci Krzywicki sam zresztą wyjawia mimochodem: „Byłem przeciwnikiem stanowczym wszelkiej centralizacji w ówczesnych warunkach politycznych, Abramowski zaś organicznie chciałby wszystko zogniskować w jednym ręku”.

Rzeczywiście, chciał. Takie przecież zadanie postawiło przed nim genewskie centrum, próbujące zdalnie sterować ruchem socjalistycznym w kraju. A i sam miał duże ambicje, sprzeczne z intencjami Krzywickiego. Jeden był młodym gniewnym na dorobku, drugi – o 9 lat starszy – szanowanym już mołem książkowym. Nie mogli ze sobą sympatyzować, pomijając nawet różnice doktrynalne. Szczególnie musiało drażnić Krzywickiego, że jego

podopieczni „związkowcy” rozczytywali się w broszurach Abramowskiego i fascynowali jego prelekcjami. Członek ZRP, potem SDKPiL robotnik Adolf Kiełza z uznaniem opisał w pamiętnikach tę działalność Abramowskiego (i „nadzwyczaj sympatycznej” Motzównej). Najzagorzalszym adoratorem i prawą ręką Abramowskiego był jednak jego bliski przyjaciel, Kazimierz Pietkiewicz. W swoich wspomnieniach¹ scharakteryzował on dwa typy ówczesnych działaczy socjalistycznych.

Typ pierwszy – to ludzie zrazu apolityczni, obojętni narodowo, którzy przeczytawszy coś z Marksa stawali się z nagłą socjalistami; odtąd nie mieli żadnych wątpliwości, uważali, że to jest alfa i omega wszelkiej mądrości, byli raz na zawsze marksistami.

Typ drugi – to ludzie z rodzin zakorzenionych w patriotyzmie i starej kulturze, ludzie o wysokich aspiracjach polityczno-społecznych. Także czytali Marksa, lecz to im nie wystarczało; starali się powiązać jakoś nowe idee, czerpane z jego dzieł, z tradycyjnymi dążeniami wolnościowymi. Do nich należał Abramowski – i jemu Pietkiewicz przypisuje największe zasługi dla ruchu robotniczego, którego był inspiratorem i organizatorem, który natchnął duchem niepodległości:

„Był to człowiek niezwyklej miary. Kilka broszur jego pióra - wydane z wielkim trudem i wysiłkiem, napisane z wielkim talentem – od razu po stawily sprawę uświadczenia mas na odpowiednią stopę, nadały jednolitość i celowość ruchowi robotniczemu, który on doprowadził następnie aż do przekształcenia w PPS – poczem odszedł.

Za to odejście gniewali się nań towarzysze. Nie gniewajcie się! Ten człowiek wart pomnika z rąk waszych, robotnicy! (...) Człowiek ten wymaga specjalnego biografu i specjalnych studiów – nie jako typ – bo człowiek rzadki typem nie jest – ale jako indywidualność ze wszech miar godna uwagi”.

O tym, czemu odszedł i dokąd – później. Chwilowo jesteśmy w samych początkach ruchu robotniczego, odradzającego się po katastrofie Wielkiego Proletariatu. Jego mózgam są dwaj antagoniści: Krzywicki i Abramowski.

Istota konfliktu politycznego między II Proletariatem a Związkiem Robotników Polskich nie jest dziś łatwa do objaśnienia, ale wtedy była bardzo czytelna.

Ideologicznie, obie partie były marksistowskie, ale w inny sposób. ZRP hołdował bez większych odchyień „socjalizmowi naukowemu”, natomiast II Proletariat niezbyt się przejmował ortodoksją i dzielił sympatie między Marksa i Bakunina, nie odżegnywał się od tradycji anarchizmu.

W sposób zasadniczy rzutowało to na różnice zalecanej taktyki. ZRP pod wrażeniem katastrofy Wielkiego Proletariatu głosił „ekonomizm”, masowe organizowanie się robotników do starań o cele ograniczone, prze de wszystkim bytowe; do walki z caratem nie wzywał (Adolf Warski przestrzegał nawet przed czczeniem pamięci Czterech Proletariaczków, ażeby nie straszyc robotników szubienicami); nie stawiał w ogóle żądań politycznych,

¹ *Księga Pamiątkowa w 30 rocznicę PPS, 1923.*

a ponieważ takowe były podnoszone przez inteligentów, tedy w szeregach ZRP krzewiły się nastroje antyinteligencckie, wrogie „politykierom”. Wielu robotników z ZRP przypuszczało, że ich działalność jest całkiem legalna, inni – że rychło zostanie zalegalizowana. II Proletariat natomiast, wierny zasadom swej wielkiej poprzedniczki, stworzonej przez Waryńskiego, głosił hasło terroru politycznego i ekonomicznego, którym pragnął unicestwić ciemiężycieli i w ten sposób wyzwolić lud. Kształt owego wyzwolenia widziano w II Proletariacie rozmaicie, lecz mniej-bar dziej dyskretnie przebąkiwano już o autonomii albo nawet o niepodległości.

Była więc także między obydwoma partiami różnica jakby ukryta, za kodowana w psychice działaczy, która ujawniła się w parę lat później, członkowie II Proletariatu w zdecydowanej większości znaleźli się w niepodległościowej Polskiej Partii Socjalistycznej, zaś członkowie ZRP – W antyniepodległościowej Socjaldemokracji Królestwa Polskiego. Rozbieżności między tymi embrionami ruchu robotniczego nie zaważyły im jednak we wspólnych akcjach. Odpowiadając na apel kongresu założycielskiego II Międzynarodówki razem zorganizowano w Warszawie demonstrację robotniczą na 1 Maja 1890 roku; pierwsze święto majowe w dziejach – jedyne w całym imperium rosyjskim. Było to wielkim zaskoczeniem dla światowego ruchu socjalistycznego, który na Polaków w ogóle nie liczył. Święto majowe przygotował głównie Kasprzak ze Stanisławem Padlewskim, który specjalnie w tym celu przybył z zagranicy, a pomagali Motzówna i „Baj”. W tej akcji (o ile wiadomo) Abramowski nie uczestniczył bezpośrednio. Być może zajęty był wtedy pisaniem bardziej ważnej broszury instruktażowej: *Ustawa ogólnie-robotniczej Kasy Oporu*, która miała się stać podstawą wspólnej kampanii obu partii: tworzenia kas robotniczych, służących wspieraniu strajkujących. Projekt wyszedł z robotniczych kręgów II Proletariatu, chociaż nie była to inicjatywa typowa dla tej partii; zapewne dlatego bezzasadnie przypisali ją sobie działacze Związku, wyspecjalizowani w akcjach ekonomicznych – i tak to zostało błędnie utrwalone w historiografii.

W tworzeniu Kasy Oporu obie partie wzięły czynny udział – jedna dopingowała drugą – i obie posługiwały się broszurą Abramowskiego (podpisaną: „Walczewski”). Wybitny, blisko z Abramowskim związany działacz Jan Strożecki nazwał ją „jedną z najpopularniejszych broszur, jakie posiadała ówczesna polska literatura socjalistyczna”. ZRP aprobował jej treść, zastrzegając tylko, aby na okładce nie było firmy partyjnej, albowiem Kasa Oporu miała mieć charakter bezpartyjny.

Broszura ukazała się jesienią 1890 roku, początkowo w skromnym, bitym techniką litografii nakładzie 300 egzemplarzy. Następnie miała jeszcze parę wydań, uzupełnianych i aktualizowanych, a także przekład niemiecki, przeznaczony dla robotników w Łodzi.

Abramowski okazał się znakomitym agitatorom. We wstępie *Ustawy*, na przykładach zagranicznych i polskich, sugestywnie odmalował korzyści, jakie w walce z wyzyskiem daje robotnicza solidarność, puentując: „I u nas strajki mogą zwyciężać, jeżeli jest jedność między robotnikami i zapomoga pieniężna na czas bezrobocia” (słowa „bezrobocie” używano wówczas wymiennie ze słowem „strajk”). Dalsza część broszury jest drobiazgowym regulaminem Kasy Oporu; można by go stosować nawet obecnie, gdyby podnieść wysokość „wkładki”, określonej na 20 kopiejek miesięcznie od robotnika i 12 od robotnicy. Reszta pa-

ragrafów jest całkiem aktualna: Zapomogi tylko dla strajkujących, bezzwrotność wkładów przy wystąpieniu z kasy, zarządzanie kapitałem przez kolektyw cieszący się zaufaniem ogółu, zasada powszechności Kasy, bez różnicy płci wieku, religii i narodowości – z wyłączeniem donosicieli i służalców.

Godne uwagi, że istniały dwie odrębne Kasy – osobno ze składek proletariaczyków i związkowców – lecz kierował nimi zarząd wspólny, do którego z każdej partii wchodziło po trzech robotników i jednym inteligencie, mającym tylko głos doradczy. Instytucja „wspierającej inteligencji” i ekspertów związkowych ma więc w polskim ruchu strajkowym stuletnią tradycję.

Trwały jest także etos solidarnościowy: dobitnie świadczy o tym suchy, lecz wymowny tekst szóstego paragrafu Ustawy Abramowskiego, który warto przytoczyć w całości:

„§ 6. Obowiązki każdego członka Kasy są następujące:

- 1) Płacenie regularne składek miesięcznych.
- 2) Namawianie swych towarzyszy, by należeli do Kasy.
- 3) Szerzenie między swymi towarzyszami przekonania o potrzebie walki z fabrykantami dla polepszenia swego losu, o znaczeniu strajków i o potrzebie solidarności robotniczej.
- 4) Uczciwe postępowanie ze swoimi towarzyszami:
 - pomoc koleżeńska;
 - ujmowanie się za pokrzywdzonym;
 - należenie do każdego strajku, do każdego oporu swych towarzyszy; łączne i zgodne działanie z nimi w każdym wypadku, gdzie oni występują przeciwko fabrykantowi, administratorom lub majstrom.
- 5) Godne zachowywanie się wobec swych zwierzchników:
 - niepozwalanie na to, by fabrykant, administrator lub majster obrażał honor robotniczy, aby wymyślał, czynił niestosowne uwagi, tykał, nakazywał coś w tonie brutalnym itp.;
 - upominanie się głośne i stanowcze o każdą krzywdę, o każde szachrajstwo przy wypłatach;
 - podawanie o to skargi do inspektora lub sądu, jeżeliby na własne żądanie robotnika fabrykant zadość uczynić mu nie chciał.

Uwaga I. Członek Kasy, który by w swoim postępowaniu okazał się uległym i służalczym dla swych zwierzchników, a niesolidarnym z towarzyszami, zostaje natychmiast wyłączony i postępowanie jego odpowiednio napiętnowane.

Uwaga II. Robotnik, który w czasie strajku swych towarzyszy nie rzucił roboty lub który przyjął miejsce w jakiejś innej fabryce, gdzie nie strajkują, skuszony nagrodą fabrykanta, będzie uważany przez wszystkich członków Kasy za zdrajcę sprawy i odpowiednio do tego traktowany”.

Stworzenie Kasy Oporu, która szybko zyskała popularność wśród ludzi pracy, rozprzestrzeniło już wiosną 1891 roku falę strajków. Tak napisał o tym Strożecki:

„Po 1 Maja Warszawę robotniczą opanowała istna gorączka strajkowa. W fabrykach, warsztatach i po domach urządza się liczne zebrania, na których tematem rozpraw są strajki. Każda wieść o częściowym bodaj zwycięstwie w jednej fabryce elektryzuje robotników tego samego zawodu. Wrzenie strajkowe przerzuca się z fabryki do fabryki i ogarnia pokrewne gałęzie pracy (...) Robotnicy jak gdyby próbują gruntu; unikają wystawiania wygórowanych żądań, żeby nie narażać strajków na niepowodzenie; wszędzie prawie żądają skrócenia dnia roboczego o godzinę i podwyższenia płacy o 50 kop. tygodniowo. W jednym wypadku tylko żądano zniesienia wyczerpującej pracy akordowej (fabryka drutu Wolanowskiego), ale bez pomyślnego rezultatu. Fali strajkowej dała początek fabryka mebli giętych „Wojciechów”. Wystarczyło pół dnia bezrobocia, żeby administracja ustąpiła. Następnie zastrajkowała fabryka wyrobów nożowniczych Kobyłańskiego, gdzie zdobyto skrócenie dnia o godzinę i podwyższenie płacy o 25%. Najdłużej, bo 4 tygodnie (w dwóch zakładach 6 tygodni) trwał strajk białoskórników. Objął on wszystkie zakłady bez wyjątku, połączył we wspólnej walce białoskórników chrześcijan i żydów. Zawdzięczając zasiłkom Kasy Oporu i pomocy materialnej ze strony garbarzy strajk mógł się przeciągnąć tak długo i zakończyć zwycięstwem (...) Metalowcy nie pozostają w tyle i też przyłączają się do ruchu. Fabryka drutu Wolanowskiego stoi przeszło 2 tygodnie i robotnicy wracają do roboty, uzyskawszy skrócenie dnia o godzinę i zaprowadzenie pewnych higienicznych ulepszeń (od innych żądań odstąpili). Strajkują również w Handtkego i w warsztatach Fajansa, gdzie chciano obniżyć robotnikom płacę. Robotnicy oparli się tym zakusom. Strajk trwał 3 tygodnie. Dawna norma pracy została utrzymana, a prócz tego na żądanie robotników wyrzucono majstra zniechęconego za brutalność.”

Nieoczekiwanie rozległy ruch strajkowy zaskoczył i zaniepokoił władze rządowe. Podjęto represje, przeciw mącieliom puszczono w ruch aparat przemocy. Najpierw zaostrożono cenzurę. Konfiskacie uległa wydana w Krakowie, słynna książka Abramowskiego *Społeczeństwo rodowe*, chociaż poprzednio dozwolono jej sprzedaż. Po 13 numerze zamknięto ambitny „Tygodnik Powszechny”, nieoficjalny organ Związku Robotników Polskich, redagowany faktycznie przez Krzywickiego (w nim także Abramowski drukował kilka tekstów, neutralnych politycznie). Ale najenergiczniej działała policja, lokując wśród działaczy robotniczych swe wtyczki, co było ułatwione przez częściowe rozkonspirowanie struktur partyjnych, w związku z tworzeniem Kasy Oporu. Do Proletariatu wkręcił się sławny „Ślepy Włodek” (Władysław Sidorek), prowokator najwyższej klasy, skoro udawało mu się przez 30 lat rozpracowywać podziemie; został zlikwidowany dopiero w 1907 roku. W ZRP usadził się „Wagner” (Edward Benzeff), któremu żandarmi obiecali po 50 rubli za głowę; strzelano doń, lecz się z ran wylizał i został wycofany z obiegu. Łup policyjny był duży. W listopadzie 1891 zdziesiątkowano związkowców. Wiosną 1892 wyaresztowano proletariaczków.

Kasa Oporu zamarła po niespełna roku działalności. Nie zdołały jej zastąpić kasy lokalne, samorzutnie tworzone przez robotników na analogicznych zasadach. Zebrane doświadczenie stało się jednak bezcenne zarówno dla „dołowych” działaczy robotniczych, jak i dla teoretyków ruchu podziemnego. Zostało dowiedzione, po pierwsze – że strajki bronią skutecznie; po drugie – że warunkiem ich powodzenia jest szeroka agitacja i stworzenie elementarnych zabezpieczeń materialnych dla strajkujących; po trzecie – że nawet przegrane strajki budują robotniczą solidarność. A wreszcie, po czwarte, że trudno niestety uniknąć penetracji policyjnej. Na tę słabość do dziś nie udało się znaleźć remedium.

Dwie partie rozbite liżą rany. Ale jest już i działa od kilku miesięcy trzecia. Jak do tego doszło?

Wspólne akcje Proletariatu i Związku wokół obchodów 1 Maja, Kasy Oporu i strajków były próbą zbliżenia, a następnie scalenia obu partii. Abramowski dostrzegł, że wśród robotników hasła ekstremalne, terrorystyczne, budzą lęk i odrazę. Liczył, że odrzuciwszy metody terroru wielu z nich zjedna dla swego programu politycznego w niepodległościowym duchu. Szło mu niesporo. Związkowcy jak papugi powtarzali, że klasa robotnicza nie ma nic wspólnego z „patriotnikami”, że jej wrogiem są jedynie kapitaliści, że można sobie poprawić byt tylko pod warunkiem niezaczepiania rządu. Natomiast wśród proletariackich istniała frakcja twarda, entuzjastów terroru, zgrupowana wokół Kasprzaka. Ani do tych, ani do tamtych, hasła Abramowskiego nie trafiały. W rezultacie, latem 1891 roku, zamiast do scalenia ruchu doszło do nowego rozłamu.

Bezpośrednim jego powodem był spór, jaki w kierownictwie II Proletariatu rozgorzał na tle listu Ludwika Kulczyckiego, przemyconego z Cytadeli. Uwięziony przywódca donosił o bestialskim pobiciu trzech więźniów – towarzyszy partyjnych i żądał, aby w odwet partia zabiła żandarmów Białonowskiego i Węsieckiego, sprawców masakry.

W mieszkaniu Feliksa Perla, młodzieniaszka dwudziestoletniego (nader zaambarasowanego faktem, iż nagle dopuszczono go do partyjnych tajemnic), doszło do ostrej wymiany zdań między „radykałami” a „umiarkowanymi”. Ci ostatni utrzymywali, że zabicie żandarmów (których wina nie była zresztą udowodniona) jest pomysłem bezsensownym i szkodliwym dla ruchu; że odstraszy jego zwolenników. „Baj” Jędrzejowski stał jednak uparcie za terrorem, popierał wniosek Kulczyckiego; Perl i paru innych przytakiwało mu gorliwie; Kasprzak był już w tym czasie w Londynie, ale każdy znał jego pogląd – strzelać! „Przeciw” głosował Abramowski z żoną i obaj Pietkiewicz; dopuszczali wprawdzie terror obronny, likwidowanie szpiclów i prowokatorów, ale tylko w przypadkach wyjątkowych, bezwzględnie koniecznych.

Secesjoniści, wychodząc od Perla, byli w mniejszości. Stanowili właściwie klan rodzinny, gdyż Zygmunt Pietkiewicz był ożeniony z Marią, siostrą Abramowskiego, zaś jego stryjeczny brat Kazimierz od lat chodził jak cień u boku pana Edwarda. Rodzina nazwała swą partię „Zjednoczeniem Robotniczym” – wyrażając wiarę, że doprowadzi ona do integracji ruchu na platformie niepodległościowej.

Zjednoczenie Robotnicze istotnie taką rolę odegrało. Zaczęli się w nim gromadzić ludzie, którym nie wystarczał „ekonomizm” i których zrażał terror. Jeden z pierwszych doskoczył Stanisław Tylicki, bardzo cenny, bo autentyczny robotnik (następnym jest zecer Paulin Kli-

mowicz). Dołączył Jan Strożecki, szkolny kolega Żeromskiego z Kielc, działacz sprawny i energiczny, dość już popularny w Warszawie, o „lewych” poglądach. Leon Falski, świetny mówca i agitator, przystąpił do Zjednoczenia nie zrywając kontaktów ze Związkiem, co doskonale zgadzało się z taktyką Abramowskiego, który wiedział, że ZRP ma mocne zakotwiczenie wśród robotników. Przyłączył się także młodziutki Władysław Grabski, lider młodzieży gimnazjalnej i propagator Kasy Oporu wśród warszawskich murarzy. Oni to, wraz z piwowarami i zecerami, stanowią jedyne zaplecze robotnicze. Akces zgłosiła też krajowa grupa zwolenników pisma „Pobudka”, zwana „limanowszczykami”, bo nawiązywała do niepodległościowej ideologii emigracyjnego lidera socjalistycznego. Jej przywódcą był Stanisław Wojciechowski, członek narodowego (!) ZET i prezes „Koła” studenckiego na uniwersytecie, towarzyszyli mu Ludwik i Maciej Rodziewiczowie, Romuald Mielczarski i Bolesław Miklaszewski – młodzieńcy bojowi i zaprawieni w akcjach plakatowych.

Nieżyły skład personalny zgrupował się wokół Abramowskiego. W niepodległej Polsce Wojciechowski został Prezydentem RP, Grabski – premierem, Miklaszewski – ministrem oświaty, Mielczarski – prezesem „Społem”. Strożecki, Falski, Klimowicz należeli do pierwszych liderów PPS.

Krótki, niespełna dwuletni epizod Zjednoczenia Robotniczego stanowi apogeum działalności Abramowskiego w roli rewolucjonisty; osiągnie potem szczyty wyższe, ale już innego rodzaju. Teraz ma lat 24 bez kilku miesięcy i rangę szefa partii. Nie jest to partia masowa, lecz nie zasługuje też na miano kanapowej, skoro przoduje wśród tych Polaków (prawda, że wciąż jeszcze nielicznych), którzy nie godzą się na hańbę niewoli i poszukują dróg walki. Proletariat i Związek są wykruszone aresztami, schodzą głębiej w podziemie – Zjednoczenie z werwą idzie do przodu, środkową drogą między swymi poprzedniczkami.

Koncepcje teoretyczne Abramowskiego nie są jeszcze w tym czasie szczególnie oryginalne; nadal jest właściwie dogmatycznym marksistą-internacjonalistą. „Na dnie sprawy narodowej leży zawsze interes kapitalistów” – ogłasza w jednej z pierwszych broszur. W obszernej pracy ekonomicznej *Nowy zwrot wśród farmerów amerykańskich* z młodzieżową pewnością siebie tłumaczy, iż humanizm i solidarność powstają „dlatego, że są ekonomicznie niezbędne”. Na szczęście, szybko zrezygnuje z takich bredni. Ale już objawia talent: pisze jasno, świetnym stylem, pomyślnie jest znakomitym popularyzatorem, można w tych młodzieżowych próbkach wyczuć też załamki głębszych przemyśleń teoretycznych. Stopniowo, ale wyraźnie zmierza od „ekonomizmu” i hasłowo traktowanego „komunizmu” – ku wizji wolnej i niepodległej Polski ludu pracującego. Jako negatywny stereotyp pojawia się „Moskal”. Pisze dużo nawet w nerwowych dniach, gdy organizuje strajki murarzy czy piwowarów albo inne akcje partyjne. W tym samym czasie, gdy jako niekwestionowany lider konstruuje Zjednoczenie Robotnicze, wydaje albo szkicuje kilka broszur, niezbyt odkrywczych, lecz świetnie odpowiadających potrzebom agitacyjnym. Adolf Kiełza zanotował, że robotnice-bielizniarki rzewnie płakały na zebraniach, gdy im odczytywano fragmenty *Sprawy robotniczej*, której nakład przemycono aż z Londynu.

Sam organizuje kolportaż. W *Pamiętnikach* Stanisława Stempowskiego opisany jest zabawny epizod, jak Abramowski i Pietkiewicz poprosili go o przewiezienie do Białegostoku, „przy okazji”, walizy z proklamacjami pierwszomajowymi, dali dokładny adres – lecz za-

pomnieli przekazać mu swoich pseudonimów. W rezultacie robotnicy, którzy znali się na regułach konspiracji, potraktowali Stempowskiego jako agenta, zamknęli go na dłuższy czas w ciemnicy i walizki wziąć nie chcieli: może to fałszywki? może prowokacja polityczna? Z trudem i pogwałceniem zasad obiegu bibuły udało się w końcu Stempowskiemu jakoś tę walizkę wepchnąć robociarzom; ledwie zdążył na pociąg, klnąc zapominalskich konspiratorów warszawskich.

Nie wzbrania się także Abramowski przed agitacją żywym słowem, chodzi po konwentylach studenckich i przedmiejskich mityngach proletariatu. Konsekwentnie, choć bez fanfar, włącza w swoje wystąpienia wątek narodowy – ledwie zamarkowany w hasłach Proletariatczyków, nie obecny w hasłach Związkwców.

On już nie ma wahań, skoro w brulionie zapisał i odczytał Wojciechowskiemu takie zdania: „Nie chcemy, żeby ta zgraja łotrów nami rządziła. Wypędzimy całą tę psiarnię moskiewską i sami rządzić się będziemy”.

Dla robotników nadal odzeganujących się od polityki byłoby to za mocne. Wśród nich trzeba działać taktycznie. Zbierającym się w oświatowym kółku drukarzom, na ulicy Próźnej, pomaga odbić na hektografie „kolędę robotniczą”, która zaczynała się od słów: „Hej, w dzień narodzenia Syna Jedynego – z otchłani ucisku ludu wskrzesiciela”. Napisali ją robotnicy od Fajansa, ku radości całej roboczej braci warszawskiej, która wtedy (jak i dziś) nie medytowała zbyt, co z jej przekonań pochodzi od Marksa, a co od Chrystusa. Abramowskiego wspiera energicznie jego ukochana wszędobylska Staszka, ulubienica „wyrobnic igły”...

Wtem spada grom. 5 marca 1892 roku Ona umiera na gorączkę połogową w dwa miesiące po urodzeniu córeczki Walentyny, która też zmarła.

Pożegnała ją, pierwszą damę podziemia, wspaniała nielegalna manifestacja robotnicza na Powązkach. Pożegnały ją serdeczne epitafia samego Mariana Bohusza i samego Aleksandra Świętochowskiego, luminarzy inteligencji.

Abramowski był na krawędzi obłądzenia; był w obłądzeniu. Z twórczej euforii popadł w prostrację tak zupełną, że przyjaciele zwątpili czy przeżyje cios. Nie jadł. Doznawał halucynacji – krzyczał, że Stanisława odwiedza go nocą. Próbował się truc – próbował się wieszać. Sznur zbyt cienki zerwał się pod ciężarem ciała nakarmionego jakąś domową trucizną. Docucono go, ale wciąż majaczył w półprzytomnym szale. Wdało się zapalenie mózgu. Przyjaciele pilnowali go nieustannie, dzień i noc, bo jego histeryczna natura, tak szczelnie dotąd maskowana chłodem, eksplodowała raz po raz furją samozniszczenia. Bali się, że obleje się naftą, podpali, wyskoczy oknem. Nie było rady – lekarze dali mu morfinę, żeby zasnął i spał jak najdłużej. Jeszcze jedna dawka... I znowu... Pomogło. Ale potem długo odzwyczajał się od morfiny. I czasem, zwłaszcza u schyłku życia, powracał do niej znowu. Nie stał się narkomanem, ale ciągle odtąd żył na skraju nałogu i nieraz przechodził na drugą stronę.

Szok śmierci ustąpił na krótko po szoku śmierci zwielenokrotnionej. Zygmunt Pietkiewicz zawiózł go do Łodzi, w parę dni po pierwszomajowej masakrze, po walkach ulicznych. Ofiary liczone w setkach, dokładnej listy nie ustalono, gdyż oprawcy wiele trupów pogrzebali nocą lub w pośpiechu wywieźli za miasto. Kiedy przyjechali, stały jeszcze barykady, widniały na bruku szerniałe plamy krwi, i jeszcze strajkowano w niektórych fabrykach. Ten

wstrząs był lekiem lepszym od morfiny. Żywioł rewolucyjny wprawił go w ekstazę, która wygasiała ból osobistej żałoby. Chodził po nędzarskich dzielnicach Łodzi, z zawziętością powtarzając refren pieśni, która się zrodziła w dniach buntu i śmierci: „Bo czas już nadszedł, Zeit ist schön gekommen...”

Za ciosem cios. Ledwie powrócił do Warszawy, nadal w stanie oscylacji między euforią czynu i samobójczą desperacją – Zjednoczenie dotknęły rozległe rewizje i aresztowania. Wpadł przez nieostrożność najbliższy mu „Fakir”, który uchodził i sam się uważał za arcymistrza konspiracji, był autorem praktycznego poradnika dla spiskowców. W mieszkaniu Adama Zapolskiego na Marszałkowskiej żandarmi nakryli drukarnię, odbijającą właśnie jakiś tekst Abramowskiego – na szczęście pseudonimowany. Pięciu aresztowanych. W mieszkaniu jednego z nich, Stanisława Klimowicza, na Twardej, założono kocioł. Wpadli następni. Stanisław Wojciechowski ledwie umknął z niepospolitą brawurą. Krąg się zacieśniał coraz bliżej Abramowskiego. Nadal chorego, roztrzęsionego psychicznie, udało się przyjaciołom z wielkim mozołem zmusić do wyjazdu za granicę. Zjednoczenie Robotnicze skryło się głęboko, zawiesiło robotę.

Po drodze do Genewy Abramowski zatrzymuje się we Wrocławiu. Stamtąd podobno pisze list, który – wedle Krzywickiego – stał się zarodkiem jednej z najtragiczniejszych, nigdy do końca nie wyjaśnionych afer we wczesnych dziejach ruchu socjalistycznego. Wybiegając w nieco późniejsze lata, warto tę smutną sprawę przypomnieć. Jej kanwa i fabuła jest podobna do innych, także współczesnych sytuacji, jakie zdarzają się i są nieuchronne w warunkach konspiracji. Gdziekolwiek toczy się walka pod ziemią, trzeba się liczyć z prowokacjami policyjnymi i z fałszywymi oskarżeniami, które rodzą się z hysterii, z czyjejś nieodpowiedzialnej, opacznej lub pochopnej wypowiedzi „ostrzegawczej”, bądź z celowej dezinformacji, zapuszczonej przez agentów penetrujących tajne struktury.

W monumentalnych, choć nie całkiem wiarygodnych *Wspomnieniach* Ludwika Krzywickiego, spisanych fragmentami przez kilka dziesięcioleci i dopiero w 1957 roku, pośmiertnie, udostępnionych przez „Czytelnik” w trzypięciotomowym zbiorze – sprawa owego nieszczęsnego listu Abramowskiego wzmiankowana jest parokrotnie. Oto fragment najpełniejszy:

„Abramowski wyjechał w stanie niepoczytalnym. Po śmierci żony zapadł w stan zupełnego rozprężenia nerwowego, obficie uposażonego w halucynacje i próby samobójstwa, w różne stany w wysokim stopniu niemoralne. I otóż nadchodzi list od Abramowskiego z zagranicy, iż we Wrocławiu ścigali go, tj. szpiclowali jacyś ludzie, a pomiędzy nimi był przebrany i ucharakteryzowany Kasprzak. Wiadomość była całkowicie wyszana z chorej imaginacji i dobrze malowała stan ówczesny Abramowskiego, którego żandarmi każdej chwili mogli wziąć w Warszawie i nie potrzebowali urządzać za nim pogoni po ulicach Wrocławia. Ale wiadomość ta w Warszawie została przyjęta przychylnie: z jednej strony około Abramowskiego istniała zawsze gromadka osób ślepo zapatrzonych w niego, z drugiej – widocznie nagromadziły się już jakieś porachunki i jakaś niechęć przeciwko Kasprzakowi. Jeszcze później, może w parę miesięcy,

może w rok czasu, przychodzi wiadomość od Jędrzejowskiego, który opuściwszy kraj osiadł ostatecznie w Londynie, iż Kasprzak albo coś poczynił na swoją rękę, albo jest ...szpiegiem”.

Taki miał być zarodek sprawy, która przez kilkanaście lat dzieliła socjalistów na tych (głównie w SDKPiL), co wierzyli w niewinność Kasprzaka - i tych (głównie w PPS), co uważali go za zdrajcę. Sam zaś Kasprzak borykał się z ciężarem strasznego oskarżenia, jakim go publicznie, na łamach emigracyjnej prasy, wielokrotnie pohańbiono – czyż tylko na pod stawie fantazyjnej informacji od chorego Abramowskiego, o ile taka istniała? Możliwe, stwierdzało to wielu współczesnych, że walka o własną cześć, o rehabilitację, skłoniła wreszcie Kasprzaka do szaleniczej, samotnej obrony drukarni SDKPiL na Czystem; że chciał śmiercią zmasakrować niezasłużoną infamię. I znalazł tę śmierć, na szubienicy, 8 września 1905 roku.

Czy winę za tragedię Kasprzaka rzeczywiście ponosi Edward Abramowski? Czy napisał on w malignie ów oszczerczy list? Czy on, uchodzący w „pokoleniu niepodległościowym” za niedościgły wzór etyczny, dopuścił się u progu dorosłego życia tak strasznego pomówienia wobec człowieka, który przez parę lat był jego nierozłącznym przyjacielem, najbliższym towarzyszem walki?

Jeśli tak – to rzuca to cień na postać Abramowskiego, gdyby nawet przyjąć za okoliczność łagodzącą, iż napisał ów list w hysterii i w malignie.

Jeśli nie – to cień pada na Krzywickiego, gdyż *tylko* on wyraźnie wskazał na Abramowskiego, jako oszczercę.

Jedna z zagadek historii, która chyba nigdy nie znajdzie rozwiązania. Ale pewne elementy są znane, inne dają sporo do myślenia. Przede wszystkim Krzywicki nie cytuje domniemanego listu, tylko omawia go, bez wskazania adresata i daty; nie pisze nawet, iż widział go osobiście. I zaraz po przytoczonym cytacie podaje taką okoliczność: „Nie byłem wtedy w Warszawie. Przynaglony w r. 1892 do dłuższego pobytu za granicą, wiem o tych przejściach jedynie z drugich i trzecich ust, a przy tym wiele szczegółów, nawet bardzo istotnych, zapomniałem”.

Dziwne: Krzywicki całe życie obracał się w kręgu kilku pokoleń socjalistów, słynął jako mól książkowy – i „zapomniał” istotnych elementów sporów, jakie wokół Kasprzaka ciągnęły się w latach 1893-1905, a i później wielokrotnie odbijały się donośnym echem?

Nie dojdziemy o czym zapomniał, lub chciał zapomnieć Krzywicki, a co zapamiętał; gdzie kończy się jego wiarygodna relacja – gdzie zaczyna konfabulacja, nieuchronna po pięćdziesięciu (!) latach, oddzielających relacjonowane przezeń zdarzenia od czasu, w którym finalizował spisywanie *Wspomnień*. Wiadomo natomiast, że od listopada 1891 do końca 1893 roku Krzywicki był poza krajem (w Berlinie i Stanach Zjednoczonych), przeto wypadki z roku 1892 mógł znać tylko ze słyszenia, bo nawet nie opisywano ich nigdzie, nie istniały takie możliwości - poza prasą na emigracji, gdzie jednak o Kasprzaku pisano wtedy inaczej, niż Krzywicki.

Kilku historyków próbowało do końca oświetlić „sprawę Marcina Kasprzaka”. Pod takim tytułem obszerny szkic poświęcił jej Janusz Durko², skrupulatnie badając biograficzne dane Kasprzaka, dokumenty i wcześniejsze opracowania. Zaraz na wstępie umieścił pytanie: „Kto pierwszy postawił zarzut kontaktów Kasprzaka z policją rosyjską?”

Nazwisko Abramowskiego w całym trzydziestostronicowym szkicu Durki pada tylko raz – jako członka, wraz z Kasprzakiem, CK II Proletariatu. Czyżby Durko nie sięgnął do wspomnień Krzywickiego, które w tymże czasie, co było powszechnie wiadome, przygotowywał do druku Stanisław Stempowski? Czy mógł nie wiedzieć, że także Krzywicki nad biografią Kasprzaka pracował? I że wskazał on na Abramowskiego, jako tego, kto ów zarzut postawił pierwszy?

Wywód Durki idzie innym tropem.

„W roku 1892 Kasprzak przestał pracować w drukarni „Przedświtu” i rozpoczął współpracę z rosyjską organizacją rewolucyjną w Londynie pn. „Związek Wolnej Prasy Rosyjskiej”. Wówczas oskarżony został o „przekupienie” przez rosyjskich towarzyszy”. (Tu odnośnik: „Nazwiska osoby wysuwającej oskarżenie nie udało się ustalić, prawdopodobnie był to Mendelson”.)

W lutowym numerze „Przedświtu” w 1893 roku ukazał się komunikat (podpisany: Komitet Centralny Partii Proletariat, Warszawa, w grudniu 1892 roku), który formułował pięć zarzutów wobec Kasprzaka i oznajmił o jego wykluczeniu z partii. Główny zarzut brzmiał: „W ostatnich czasach stał się osobistością podejrzaną pod względem stosunków z policją”.

Nie jest jednak pewne, czy ów komunikat był autentyczny. Durko podejrzewa, że sparował go Stanisław Mendelson, który pracował nad scaleniem ruchu socjalistycznego i zamierzał usunąć z drogi Kasprzaka, bo ten nie chciał mu się podporządkować.

Najpoważniejszym wsparciem tezy Durki jest następujący fragment z oświadczenia Centralizacji Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, ogłoszonego 10.11.1895 roku:

„Pan S. Mendelson był pierwszy, który wobec szerszego koła towarzyszy wypowiedział podejrzenia wobec Kasprzaka.”

Sprawa stała się bardzo głośna – i kontrowersyjna. Niektóre jej echa:

Kelles-Krauz w liście do Piłsudskiego, z 26.05.1896 roku: „Pamiętajcie, że o Mendelsonie wyrobiła się taka opinia, że każdego swego przeciwnika czynił szpiegiem i dlatego Kasprzaka tak broniono.”

Bronił go najpierw sąd w Londynie złożony z trzech Anglików, który zarzuty uznał za bezpodstawne.

W Warszawie, zaraz po komunikacie „Przedświtu” (powtórzonym przez berlińską „Gazetę Robotniczą”), Zygmunt Pietkiewicz zebrał międzypartyjny sąd, który jednomyślnie zrehabilitował Kasprzaka. Z przyczyn nie znanych werdykt ten jednak nigdy nie został opublikowany.

² „Dzieje Najnowsze”, zeszyt 2, 1947.

„Robotnik” z 15.8.1895 roku ponownie piętnuje Kasprzaka jako carskiego agenta, a Centralizacja ZZSP zamieszcza w niemieckiej gazecie „Leipziger Volkszeitung” szersze omówienie jego „podejrzanego ucieczki” z pruskiego więzienia, w którym ostatnio spędził kilkanaście miesięcy i powtarza zarzut „szpiclostwa”.

W obronie Kasprzaka wyjaśnienie do kraju wysyła z Londynu Aleksander Dębski. Bronią go w szwajcarskiej „Arbeiterstimme” trzej wybitni rewolucjoniści rosyjscy (Stiepiak, Wołchowski i Czajkowski), zaś w „Sprawie Robotniczej”, piśmie SDKP - grupa robotników z byłego Proletariatu.

W 1896 roku na specjalnie zwołanym wiecu robotników Wrocławia zebrani uchwalają rezolucję piętnującą zarzuty wobec Kasprzaka. Ale w rok później, na zjeździe w Berlinie, zostaje on wykluczony z szeregów PPS zaboru pruskiego. Decyzję tę anuluje na poufnej konferencji zarząd socjal demokratycznej partii niemieckiej, uważający PPS zaboru pruskiego za swą część składową; główną obrończynią Kasprzaka była Róża Luksemburg. Wkrótce Kasprzak wybrany zostaje członkiem KC Polskiej Socjalnej-Demokracji, filii SDKPiL w zaborze pruskim. Po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej wraca do Kongresówki i organizuje drukarnię SDKPiL przy ulicy Dworskiej. Tam, 27 kwietnia 1904 roku, zaskakuje go obława policyjna. Kasprzak zastrzelił czterech żandarmów, stanął przed sądem wojennym i został skazany na śmierć. Wobec jego bohaterskiej postawy, która stała się sławna w rewolucyjnej Warszawie, CKR PPS powołał specjalną komisję, która rozpatrzyła wszelkie zarzuty, jakie przez 12 lat stawiano Kasprzakowi i na miesiąc przed jego egzekucją wydała obszerny orzeczenie, którego sentencja brzmiała: „Zarzut wyszczególniony w Odezwie Komitetu Centralnego Partii Proletariat z daty: Warszawa, w grudniu 1892 r. jakoby Marcin Kasprzak ‘w ostatnich czasach stał się osobistością podejrzaną o stosunki z policją’ – nie został udowodniony, a po szczególne poszlaki z przeróżnych stron podnoszone okazały się mylne i nieuzasadnione.” Podpisali: Ignacy Daszyński, Estera Golde, Leon Falski.

Marcin Kasprzak został przeto najformalniej oczyszczony, jego pamięć obmyta z hańby zdrady. Werdykt komisji PPS nie stwierdza, kto był winien, że tyle lat szargano jego imię.

Jest jednak w tym werdykcie passus, który może obciążać Abramowskiego i podpieścić wątplą tkankę relacji Krzywickiego. Brzmi on następująco:

„Towarzysz, który opowiadał o jeździe Kasprzaka z podejrzanymi ludźmi kolegą i o treści jego z nimi rozmowy, po latach zeznał, że był wówczas tak chorym nerwowo, że ludzie normalni nie powinni go byli serio traktować.”

Nazwisko Abramowskiego nie pada. Nie ma wzmianki o żadnym jego liście. Ale niewątpliwie był on chory nerwowo w czasie, gdy Mendelson formułował swe oskarżenia pod adresem Kasprzaka. Z pewnością też w tym okresie – przygotowań do założycielskiego zjazdu PPS w Paryżu – z Mendelsonem się spotykał. I mógł mu przekazać jakąś fantazyjną wersję o szpiclowaniu przez Kasprzaka we Wrocławiu. Skądinąd nic jednak nie wiadomo o tym, by Kasprzak wtedy był we Wrocławiu, latem 1892 roku, kiedy Abramowski jechał do Genewy. Przebywał w Londynie; liczne ślady wrocławskich działań Kasprzaka pochodzą z lat późniejszych. Nie można wszelako definitywnie wykluczyć, że Kasprzak istotnie wyprawił

się z Londynu do Wrocławia w czasie pobytu tam Abramowskiego; był przecież bardzo ruchliwym działaczem rewolucyjnym, współpracując cym wówczas i z PPS, i z „Wolną Rosją”. Brak dowodu, że się spotkali i brak dowodu, że się spotkać nie mogli.

Zamknijmy ten dygresyjny wątek. Mimo tylu niejasności przyjmijmy wersję Krzywickiego, że Abramowski ciężko zgrzeszył bezpodstawną insynuacją i nie traktujmy ówczesnego stanu jego nerwów jako ewentualnej okoliczności łagodzącej.

Niech ta książka, która jest biografią Abramowskiego, nie będzie pomnikową hagiografią.

Abramowski stanowił uznany wzór moralny. Nie był jednak ze spiżu, miał liczne słabości. Jeżeli wyrządził potworną krzywdę Kasprzakowi – to ów fakt byłby największą skazą na Jego pamięci.

Z pewnością jednak zasłużył całym życiem na zatarcie tej skazy. Tak jak Kasprzak zmażał męczeńską śmiercią inne swoje przewiny, których sąd partyjny PPS nie rozpatrywał, poprzestając na oddaleniu głównego zarzutu: zdrady. Nie było w tym werdykcie słowa o pozostałych czterech oskarżeniach, jakie sformułowano w komunikacie „Przedświtu”: że sprzeniewierzył fundusze partyjne, że okłamywał towarzyszy w ważnych partyjnych sprawach, że nadużywał okazanego mu zaufania dla celów osobistych, że rozsiewał (bliżej nieokreślone) kłamstwa i potwarze.

Nie dochodźmy, czy – bądź: w jakim stopniu? – oskarżenia te były zasadne.

Skoro całej prawdy historycznej ani w przypadku Abramowskiego, ani w przypadku Kasprzaka nie da się zapewne ustalić, tedy w imię prawdy moralnej należy ich nieudowodnione grzechy uznać za niebyłe.

Powróćmy do wydarzeń roku 1892.

Abramowski, nadal trawiony rozpaczą, gorączką, głodem morfiny, a teraz jeszcze nostalgią – osiada znów w Genewie. Nie wiele wiadomo o tym krótkim okresie jego życia; prawdopodobnie już wtedy leczył się psychiatrycznie. Jednocześnie pracował nad ważnymi dokumentami pro gramowymi, albowiem zbliżał się zjazd socjalistów w Paryżu. W końcu sierpnia przeniósł się do Zurychu, żeby się spotkać z Wojciechowskim i omówić przedzjazdowe problemy. Jeszcze był bardzo osłabiony, nie chodził nawet na spacer. Chyba dalej sięgał po morfinę, bo w zamroczeniach szukał sposobu przywołania ducha Stanisławy. Coraz żywiej interesował się psychologią. Wojciechowski stale czuwał nad nim, bo Abramowski – nawet, gdy był zdrowy – okazywał kompletną niezaradność w życiu codziennym.

W pierwszych dniach października pojechali do Paryża. Abramowski zamieszkał z Aleksandrem Dębskim na Montrouge, Wojciechowski w Dzielnicy Łacińskiej, żeby być bliżej drukarni pana Reiffa, gdzie uczył się zecerki.

Sytuacja w ruchu socjalistycznym była przed zjazdem bardzo skomplikowana. Trzy organizacje krajowe stworzyły „Centralne Koło”, które próbowało opracować własną platformę, lecz niewiele z tego wyszło. Związek Robotników Polskich nie chciał słyszeć o programie „patriotycznym”, chociaż powoli odstępował od czystego „ekonomizmu”, szykował się do masowej walki politycznej i konspiracji. Wszystkie trzy organizacje były ponadto wycieńczone aresztowaniami i odpływem przywódców na emigrację.

Na emigracji ton nadawali po dawnemu „przedświtowcy” Stanisława Mendelona, którzy uważali się za spadkobierców Wielkiego Proletariatu i naturalnych przywódców wszystkich socjalistów. Druga grupa, złożona z członków Gminy Narodowo-Socjalistycznej, gromadziła się wokół pisma „Pobudka” Jana Lorentowicza. „Pobudkarze” głosili hasła patriotyczne, demokratyczne i socjalistyczne, ale odcinali się od jawnych narodowców z Ligi Polskiej kierowanej przez T. T. Jeża. Przeżywali właśnie kryzys, bo oderwała się od nich fronda, zakładając pismo „Przegląd Socjalistyczny” i proklamując otwarte przymierze z Ligą Polską. „Przeglądowcom” przewodzili: Roman Dmowski, odbywający króciutki flirt z socjalizmem, Kazimierz Dłuski (który kilka lat wcześniej wołał „precz z patriotyzmem”!) oraz dr Bolesław Motz, prawdopodobnie krewny Stanisławy, bo też pochodził z Radzyna. Bliski im był sam Bolesław Limanowski, który konsekwentnie wpajał ruchowi socjalistycznemu pierwiastek narodowy.

To przynosiło już rezultaty. Ogólnie biorąc, i w kraju i na emigracji, socjaliści zbliżali się do ideologii niepodległościowej. Mendelson nie mógł tej tendencji przeoczyć. Widział jak słabły jego wpływy w Kongresówce. Najpierw powstał Związek Robotników Polskich, wychodzący z zupełnie innych założeń ideowych. Potem II Proletariat, pod Abramowskim, zaczął wymykać się spod jego autorytetu. Wreszcie wyłoniło się całkiem samodzielne i niepodległościowe Zjednoczenie Robotnicze, a niedawny uczeń – Abramowski – wyrastał na pretendenta do przywództwa. Mendelson, który jeszcze niedawno był skrajnym „internacjonalistą”, o niepodległości ani myślał, negował socjologiczną realność narodu i chwalił tych, co występowali „przeciwko ojczyźnie” – postanowił radykalnie zmienić strategię. Mendelson był mistrzem nagłych wolt; teraz przelicytował wszystkich właśnie w hasłach niepodległościowych!

Na brukselskim kongresie II Międzynarodówki, w sierpniu 1891 roku, Mendelson wystąpił z *Listem otwartym do towarzyszy w kraju*, głosząc program zjednoczenia trzech zaborów, łącznie z Litwą, Rusią i Białorusią. Niektórzy przywódcy Międzynarodówki, zwłaszcza Engels, sympatyzowali z tą ideą, bo Rosja była synonimem reakcji; a zatem, im więcej zajętych przez nią ziem dałoby się wyzwolić w barwach socjalizmu – tym lepiej dla światowego ruchu robotniczego.

Wiosną 1892 roku, w przedmowie do II polskiego wydania *Manifestu Komunistycznego*, Engels napisał: „Robotnikom całej pozostałej Europy niepodległość Polski potrzebna jest tak samo, jak robotnikom polskim.”

Oficjalnie jednak II Międzynarodówka sprawy polskiej nie rozpatrywała i żadnego stanowiska nie zajęła.

Zmiana frontu przez Mendelona, której główną przyczyną był niewątpliwie rosnący w społeczeństwie wpływ niepodległościowej Ligi Polskiej, postawiła Abramowskiego w niezręcznej sytuacji. Jego postulaty, które wyłożył w *Zarysie programu Polskiej Robotniczej Partii Socjalistycznej na terenie zaboru rosyjskiego*, były bardzo śmiałe, jak na ówczesny poziom świadomości robotników w kraju. Domagał się „możliwie największej autonomii Kongresówki”, to znaczy „inaczej mówiąc, niepodległości narodowej tej części Polski”.

Były to żądania śmiałe, ale mniej śmiałe, niż stawiali w tym momencie „przedświtowcy”, którzy działali wśród emigracyjnej inteligencji i nie musieli się zbytnio liczyć z masowy-

mi nastrojami w kraju, nadal zastraszonym, pomimo oznak nawrotu patriotyzmu. Oni już bez ogródek domagali się niepodległości i zjednoczenia w granicach bliskich przedrozbiorowym. Sugerowali, że gdyby doszło do wojny europejskiej – Polacy powinni stanąć po stronie Niemiec i Austrii przeciwko Rosji; rodziła się strategia „aktywizmu”.

Podobne stanowisko w „Gazecie Robotniczej”, wydawanej w Berlinie, zajął niespodziewanie Stanisław Grabski, który formalnie należał do Związku Robotników Polskich, lecz właśnie zrywał z jego linią i ewoluował w kierunku „patriotów” (tak określano wówczas zarówno „narodowych socjalistów” spod znaku Limanowskiego, jak i „narodowców” z Ligii Polskiej oraz młodzieżowego ZET-u; podziały ideowe nadal były płynne i nieostre, nie istniała wyraźna granica między nurtem narodowym a socjalistycznym).

Abramowski, którego Zjednoczenie Robotnicze było w kraju naj bardziej niepodległościowe, na emigracji został zdystansowany przez grupę Mendelzona. Jego *Zarys* okazał się powściągliwy. Czy mógł go zmodyfikować? Miał przecież, od ukończenia *Zarysu* do zjazdu, przynajmniej trzy miesiące. To prawda. Ale nie miał kontaktu ze swymi towarzyszami w kraju (zwłaszcza z lewicującym Janem Strożeckim) i nie mógł bez ich wiedzy radykalnie przesunąć akcentów programowych własnej partii, która stała jakby pośrodku, nie rezygnując ze stanowiska klasowo-robotniczego i internacjonalnego.

Zarys wybijał czołową rolę proletariatu, uznając za jego sprzymierzeńców wszystkie klasy uciskane, a szczególnie nalegał na ścisły sojusz z proletariatem rosyjskim; Mendelson zaś oceniał, iż ruch rewolucyjny w Rosji znajduje się w powijakach, przeto nie ma potrzeby do współdziałania z nim przywiązywać wagi. W zaleceniach taktycznych wyrzekał się terroru, postulował pracę wśród robotników rolnych oraz wykorzystywanie w agitacji uczuć religijnych. To wszystko było obce intencjom „przedświtowców”, najczynniejszych w organizacji zjazdu. Nie Abramowski, lecz Mendelson miał być jego główną figurą. Ale Abramowski także miał niemałe atuty. Po pierwsze, po rozległych aresztowaniach działaczy II Proletariatu i Związku – jego Zjednoczenie stało się najsprawniejszą partią w kraju. Po wtóre – centrowy charakter Zjednoczenia (za klasowością, ale i za niepodległością) zwiększał jego zdolności mediacyjne. Po trzecie – miał Abramowski swoje wtyczki w Związku Robotników Polskich, który najliczniej skupiał robotników. Jego zwolennikiem był Leon Falski, postać w ZRP znacząca. Dzięki tym okolicznościom Abramowski i asystujący mu Wojciechowski mogli zapraszać do Paryża przedstawicieli wszystkich organizacji krajowych, oraz zaprzyjaźnionych działaczy emigracyjnych. Jego stronnikiem stał się Stanisław Grabski ze swym poznańskim pomocnikiem, Wacławem Podwińskim. Zbliżała się doń grupa „Przeglądu Socjalistycznego”, która zresztą nie wzięła udziału w zjeździe, żeby... nie spotkać się z grupą „Pobudki”. Ta ostatnia zjawiała się dopiero w piątym dniu obrad i wspierała „przedświtowców”. Abramowski ze „zjednoczencami” znaleźli się w mniejszości, ale mimo to odegrali na zjeździe ogromną rolę.

Historyczny zjazd zjednoczeniowy odbył się w Paryżu w dniach 17-23 listopada 1892 roku. Od tej daty liczy się historię PPS.

Zjazd szykowano prawie rok. Mendelson przygotowywał dokumenty programowe, Dębski kierował z Londynu sprawami organizacyjnymi. Początkowym zamierzeniem było zgromadzenie wszystkich odłamów socjalistycznych, lecz później za najbardziej

palący problem uznano uporządkowanie ruchu w Królestwie Polskim i zrezygnowano z zaproszenia Ignacego Daszyńskiego, który prowadził galicyjską PPSD. Nie udało się Abramowskiemu ściągnąć z Warszawy grupy „Głosu”, która zresztą traciła już swój charakter „socjalizujący”. Ale i tak, jak nigdy przedtem, przy wspólnym stole zasiedli przedstawiciele większości grup socjalistycznych, chociaż na 18 obecnych tylko dwóch (Strożecki i Sulikiewicz) przybyło prosto z kraju.

Najliczniej stawili się „przedświtowcy”, reprezentujący też krajowy II Proletariat: Stanisław Mendelson, jego żona Maria Jankowska-Mendelsonowa, Witold Jodko-Narkiewicz, Feliks Perl, Waław Skiba i Aleksander Sulikiewicz. Razem ósemka.

Zjednoczenie Robotnicze reprezentowali Edward Abramowski, Jan Strożecki, Stanisław Wojciechowski i Stanisław Tylicki. Czwórka.

Ze Związku Robotników Polskich był tylko Stanisław Grabski, i to wbrew negatywnemu wobec zjazdu stanowisku swej partii.

„Pobudka” przysłała Jana Lorentowicza, Władysława Ratulda i Marię Szelię.

Był ponadto „luzak” z Berlina, student Waław Podwiński.

A nade wszystko był – i przewodniczył obradom – nestor ruchu socjalistycznego, powszechnie szanowany Bolesław Limanowski, który nie reprezentował żadnej organizacji, ale sam w sobie był niezachwianym autorytetem. Można też sądzić, że informował o toku zjazdu najbliższych mu „przeglądowców”.

Zachował się obszerny protokół obrad, odnaleziony dopiero w 1933 roku podczas porządkowania archiwum PPS. Wszyscy występowali w dyskusji pod pseudonimami, które udało się rozszyfrować.

Abramowski na samym wstępie postawił wniosek (który przyjęto), że uchwały zjazdu zostaną opublikowane dopiero po akceptowaniu ich przez inne, nieobecne organizacje. Chodziło rzecz jasna o Związek Robotników Polskich. Sukcesem Abramowskiego było też wybranie jego – oraz Wojciechowskiego i Grabskiego – do pięcioosobowej komisji zjazdowej, dbającej o porządek obrad i redagowanie projektów rezolucji; Zjednoczenie Robotnicze zdobyło więc przewagę w komisji. Wreszcie, na jego wniosek, zrezygnowano z dysput na temat „programu maksimum”, to jest ogólnych problemów międzynarodowego ruchu robotniczego, zagadnień ideologicznych, szans światowej rewolucji, socjalizmu jako celu ostatecznego itd. Zjazd miał mieć charakter rzeczowy, praktyczny – i dzięki temu nie płynął się w teoretyzowaniu.

Następnie przystąpiono do dyskusowania kwestii węzłowej: niepodległości.

Abramowski („Józef”): Jako cel stawiamy sobie niepodległość, ale ewentualnie weźmiemy co się da.

Perl („Feliks”): Niepodległą republikę polską musimy postawić sobie jako najbliższy cel.

Abramowski: To cel ostateczny. Gdyby tymczasem można było zdobyć w Rosji swobody polityczne, to przecież ich nie odrzucimy, a przeciwnie – o ile to od nas będzie zależało, postaramy się do tego dopomóc.

Strożecki („Stefan”): Partia stawiająca w swym programie niepodległość, może jednak korzystać z nadarzających się okazji zdobycia ustępstw politycznych.

Limanowski („Tadeusz”) żąda informacji, jakie są obecnie warunki w Rosji wróżące zmiany polityczne.

Abramowski: W Rosji są zjawiska, dające pewną na przyszłość gwarancję. Jest proletariatus, mogący być uświadomionym, jest inteligencja niezadowolona, są wreszcie warunki ekonomiczne, jak głód itp. Można więc mieć nadzieję, że zdarzy się nam sposobność do skorzystania.

Perl: W Rosji równie trudno zdobyć minimum swobód, jak niepodległość. Wszystko w Rosji musi być zdobyte drogą rewolucyjną. A skoro tak, po co mówić o etapach rozwoju i ustępstwach.

Mendelson („Mieczysław”) w dłuższym przemówieniu wypowiada się przeciwko przedstawieniu i rozwiązaniu kwestii przez Abramowskiego.

Grabski („Stanisław”): W razie istnienia silnego ruchu w Rosji, czy nam należy użyć wszelkich środków do zdobycia swobód politycznych, nawet bez nadziei uzyskania niepodległości?

Limanowski cytuje szereg artykułów w „Gazecie Robotniczej”, w których ta kwestia była bardzo dobrze rozwiązana. Konstytucja rosyjska nie może zadowolić Polaków.

Sto lat temu prawie... Kilka epok wstecz. Istota sporu nie różniła się jednak od węzłowego dylematu, jaki dzisiaj, w demokratycznej opozycji, dzieli stanowisko grupy „Niepodległość” i jej pokrewnych od poglądów tych ugrupowań, które – także dążąc do niepodległości – nie lekceważą doraźnych zdobyczy liberalizacyjnych, gotowe są „wziąć co się da”, gdy by się dało, odrzucając hasło „wszystko albo nic”.

Znamienne, że Abramowski – który w ogóle, dość niespodziewanie, był podczas zjazdu najbardziej „lewicowy” – kładł wielki nacisk na współdziałanie z rewolucyjnym ruchem rosyjskim i domagał się od polskich socjalistów, aby udzielili mu wsparcia, gdy Rosjanie rozwiną walkę o wolność polityczną. Mendelson był w tym względzie sceptyczny; nie wierzył, że w Rosji są poważne ośrodki opozycyjne.

W następnej kwestii, poddanej dyskusji, Zjazd przystał na zdanie „zjednoczeńców”, wyrażone przez Abramowskiego i Strożeckiego: że w istniejących stosunkach politycznych niemożliwa jest masowa organizacja podziemna, więc trzeba oddziaływać na masy przez fachowe grupy agitatorów. Ta opinia chyba nie straciła aktualności.

Istotny spór rozgorzał w sprawie stosunku do religii.

Abramowski: Trzeba zważać na stronę psychiczną, na uczucia, przesady religijne itd. i liczyć się z nimi.

Grabski: Jest to droga śliska i niebezpieczna, i można się posunąć za daleko. Jednakże nie należy napadać na religię.

Perl był przeciwny wykorzystywaniu uczuć religijnych. Idąc tą drogą – stwierdził – zawsze posuniemy się za daleko. Powoływanie się na biblię – diabła warte, bo obłudne.

Abramowski: Tak mówią ci, co nie znają chłopów. Tam podejrzany o ateizm nic nie zrobi. Obłudy nie ma żadnej, bo i w biblii można znaleźć rzeczy zgodne z komunizmem.

Mendelson: przeciw.

Strożecki opowiedział, jak wielkie powodzenie miała w Warszawie „kolęda robotnicza”, głosząca, że zgodnie z wolą Boga ludziom powinno być dobrze.

Tylicki („Wojciech”) wtrącił, zaznaczając że jest robotnikiem, iż napadanie na religię odstręcza wielu ludzi. Podwiński dodał: „Gazecie Robotniczej” ubyło kilkunastu prenumeratorów, gdy napisała „Czy Bóg jest, czy nie – nie wiemy”.

Grabski: Trudno bronić ateizmu, gdyż on jest nienaukowy. A zresztą i w religii są momenty niereakcyjne, np. miłość bliźniego.

I na tym stanęło. Religia może wspomagać rewolucję. Pytanie: czy organizować uliczne demonstracje? – także wywołało kontrowersję, jak gdyby z czasów najnowszych. Abramowski stwierdził, że nie należy popychać robotników do wystąpień, gdyż prześladowania mogą osłabić ruch. Mendelson wyliczył demonstracje, jakich się można spodziewać i wyraził pogląd, że manifestacje nie powinny osłabić ruchu; nie jest jasne, co chciał wyrazić – poparcie dla demonstracji, czy raczej powściągliwą dezaprobatę. Natomiast dostojny Li-manowski wziął na siebie rolę ekstremy; gromadne wystąpienia dodają ludziom śmiałości!

Najdłużej i najbardziej namiętnie dyskutowano kwestię dopuszczalności terroru. Stanowisko Abramowskiego było znane, z jego programowego *Zarysu*, w którym o terrorze wyraził się negatywnie (zupełnie odwrotnie i całkiem bałamutnie określił jego stanowisko Krzywicki).

Oto fragment oceny przygotowanej przez Abramowskiego przed Zjazdem:

„...terror polityczny praktykowany obecnie przez partię robotniczą jest szkodliwy, łatwo bowiem może wprowadzić moment dezorientacji, przytem terroryzuje masę ludzi niezdolnych do ofiar i czynów bohaterskich, rozwijając w nich tchórzostwo i obawę przed wszystkim, co nielegalne, i bez potrzeby gmatwa wielkie wymagania stawiane przez partię (np. narażenie życia podczas wykonania zamachu) z niewielkimi (należenie do związków fachowych itd.). Przytem korzyść od użycia terroru jest wątpliwa; zamiast tego, żeby osłabić rząd, przyczynia się on do jego wzmocnienia. To też obecnie partia powinna stosować terror polityczny bardzo rzadko, tylko w razie ostateczności.”

Dyskusja nad tym problemem trwała parę dni, rozdzielona na trzy tematy: terroru samobronnego (likwidowania szpiegów), terroru politycznego (ofensywnego) oraz terroru ekonomicznego.

Oto zarys stanowisk w pierwszej kwestii.

Mendelson: Nie można robić zasady z usuwania lub nieusuwania jakiegoś szpiega.

Abramowski: Ważna jest kwestia ogłaszania lub nieogłaszania aktów gwałtownych. System ogłaszania sprowadził na partię represje, nieraz gorsze od zdrady samej. Ale z drugiej strony ogłoszenie może przerazić chwiejących i zapobiec odstępstwom.

Perl i Dębski: Nie podobna stawiać ogólnej zasady. Publiczne wystąpienie partii może być niekiedy potrzebne.

Strożecki: Ogłaszanie może mieć tylko ujemny skutek. Nie spodziewaliśmy się w ogóle terroryzowania szpiclów, gdyż wszystkich nie zgładzimy.

Mendelson: Ale usunięcie jednostki może być czasem niezbędne. Co do mas, to obawy płonne, „masy lubią zamachy, nawet gdy te ostatnie są głupie”.

Strożecki: „Choćby masy sympatyzowały z zamachami, nie powinniśmy je do tego przyzwyczajać”.

Następnie dyskutowano nad dopuszczalnością terroru politycznego.

Wojciechowski („Wacław”): Partia w żadnym wypadku nie powinna prowadzić działań za pomocą terroru. Wyjątek może stanowić tylko ta akcja rewolucyjna, która zostanie podjęta w celu bezpośredniego wywołania rewolucji.

Perl: „W walce z rządem partia niekiedy musi uciekać się do terroru”.

Abramowski: Wniosek „Feliksa” (Perla) jest zbyt ogólnikowy, „Wacława” (Wojciechowskiego) zaś zbyt optymistyczny; niepodobna przypuścić, że w ciągu całego okresu przygotowań obejdziemy się bez terroru.

Strożecki: W ogóle nie przedstawiam sobie okoliczności, kiedy terror może być konieczny.

Perl: Terror nigdy nie był hasłem do rewolucji (...), terror może być tylko środkiem agitacyjnym.

Grabski: Terror pociąga za sobą wielkie represalja. Sprowadza reakcję i odstrasza robotników. Przeto może nas tylko osłabić. Tymczasem przed rewolucją walka zaczyna się *en gros*. Wtenczas warto wywołać represalja, by jeszcze bardziej rozdrażnić lud.

Mendelson: Owo straszenie mas jest fikcją, gdyż nie one się boją, ale działacze. „U nas nie ma wprawdzie nieudolności mas rosyjskich, ale może jednak być potrzeba terroru, np. w chwilach ogólnej apatii”.

Abramowski: Jakie nam korzyści dał terror w ogóle, gdzie i kiedy dał on korzyści?

Limanowski: Dla odpowiedzi „Józefowi” trzeba by całej broszury.

Następnego dnia Abramowski raz jeszcze replikował: „Korzyści terroru są chwilowe, a nam idzie o korzyści stałe. Nie tylko terror systematyczny, ale nawet jeden fakt terroru wystarcza na to, żeby sprowadzić w ruchu stagnację na długi czas. Nie odrzucam zupełnie środków gwałtownych, ale jestem za wyeliminowaniem ich z programu”.

Stanowisko takie zostało przyjęte. Jest ono nadal tak samo ważne i obowiązujące.

Mniejsze namiętności wywołał spór o terror ekonomiczny, zwrócony przeciwko fabrykantom. Zgodzono się na ogół ze zdaniem Tylickiego, jako robotnika, najlepiej znającego realia świata pracy: „Jestem absolutnie przeciwny, by partia zajmowała się obijaniem fabrykantów za złe obchodzenie się z robotnikami. Jest to rzecz, która nie ma nic wspólnego z działalnością polityczną partii. Pozostawmy to samym robotnikom”.

Pod koniec tego punktu znowu rozpętała się dyskusja tak burzliwa, że pozostały z niej tylko niejasne ślady w protokole; groziło w ogóle rozbicie zjazdu – i Limanowski zmuszony był przerwać obrady apelem o jedność. To pohamowało namiętności i już spokojniej rozprawiano o sprawie mniej drażliwej: o petycjach.

Abramowski: Petycje są środkiem wychowawczym.

Lorentowicz: Petycja może się czasem przydać, ale nie trzeba stawiać ich jako zasady.

Abramowski: Petycje są przyzwyczajaniem mas do samoobrony. Mendelson: Gdy cel jest rewolucyjny, to i środki stają się takimi.

Abramowski: Nam idzie nie o skutki petycji, ale o ich wyzyskanie jako środka agitacyjnego.

Lorentowicz: Tylko petycje pisane w tonie pokornym będą wysłuchane. (Następuje głosowanie, Lorentowicz jest „przeciw”, ale przegrywa.)

Zjazd przyjął dokument pod nazwą *Szkic programowy Polskiej Partii Socjalistycznej*, z obszernym wstępem ideologicznym napisanym przez Mendelsoona. Postulaty szczegółowe były w większości zgodne ze stanowiskiem Zjednoczenia Robotniczego, to znaczy Abramowskiego – lecz nie sprzeczne też z „nową” linią grupy „Przedświtu”, to znaczy Mendelsoona. W części politycznej stwierdzono, że partia będzie walczyć o polską samo dzielną republikę demokratyczną jako dobrowolną federację z Litwą i Ru siał; władzę stanowić się będzie na podstawie bezpośredniego, powszechnego i tajnego głosowania; szeroko zaprojektowano samorządy, które miałyby wybierać urzędników administracyjnych; proklamowano równość wszystkich obywateli, bez różnicy płci, rasy, narodowości i wyznania; a także wolność słowa, druku, zebrań i stowarzyszeń; uznano zasady wybieralności sędziów, sądowej odpowiedzialności urzędników, bezpłatnego, przymusowego i powszechnego nauczania; postulowano zniesienie armii stałej, zastąpienie jej przez powszechne uzbrojenie ludu.

Szeroko rozbudowany w *Szkicu* był: także program ekonomiczny, przewidujący stopniowe uspołecznienie ziemi, narzędzi produkcji i środków komunikacyjnych, 8-godzinny dzień roboczy, progresywne opodatkowanie dochodów i majątków, zniesienie podatków od artykułów spożywczych i pierwszej potrzeby, określenie minimum płacy, równą płacę dla kobiet, zakaz pracy dzieci, ograniczenie czasu pracy młodocianych, zakaz pracy nocnej (w zasadzie), rozwój higieny fabrycznej, zabezpieczenia państwowe w razie wypadków, bezrobocia, choroby i starości, wybory inspektorów fabrycznych przez samych robotników oraz zupełną wolność „zmów robotniczych”.

Ten program sprzed niemal stu lat – po dziś dzień jest zrębem programu polskiej demokracji. Nic właściwie nie można zeń ująć, a i dodać trzeba by niewiele.

Określano także środki walki, wyłącznie pokojowe:

1) organizowanie strajków, jeśli istnieją szanse sukcesu, a także wspiera nie strajków wybuchających żywiołowo;

2) inspirowanie zbiorowych petycji do władz; zwrócono przy tym uwagę na konieczność zwalczania istniejących złudzeń, jakoby władze carskie troszczyły się o dobro ludu;

3) inspirowanie i organizowanie demonstracji, wyrażających ekonomiczne, jak również polityczne cele proletariatu.

Zgodzono się, że PPS, pozostając wierną klasowym interesom proletariatu, będzie jednak zabiegała o zjednanie inteligencji, drobnomieszczaństwa, małorolnych włościan i szlachty zagonowej – natomiast odrzuca kompromis z klasami posiadającymi. Wyrażono wreszcie potrzebę wspólnej z socjalistami rosyjskimi walki przeciw carskiej władzy, zastrzegając, iż specyficzne dążenie proletariatu polskiego – mianowicie odbudowa własnego państwa – wymaga prowadzenia przez PPS polityki odrębnej, separatystycznej.

Ze względu na brak pełnomocnictw od krajowych organizacji socjalistycznych (Związku Robotników Polskich, a zapewne i od działaczy II Proletariatu w Kongresówce) nie ustalono zasad organizacyjnych PPS, a nawet nie powołano chwilowo partii pod tą nazwą. Utworzono natomiast jednolitą partię emigracyjną – Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich, która w przyszłości miała wejść (i rzeczywiście weszła) w skład PPS.

Ale PPS nie powstała od razu. Rodziła się wśród swarów ideowych. Zjednoczenie ruchu, które okazało się dość łatwe na emigracji – bardzo trudne było w kraju. Tamtejsze ośrodki socjalistyczne, w których przewagę mieli „związkowcy”, na ogół odrzuciły *Szkic programu PPS* uchwalony na zjeździe i (wbrew jego postanowieniu) ogłoszony w 5 numerze „Przedświtu” z 1893 roku. Stało się to, co przeczuwał Abramowski. Program był zbyt odważny, za ostry jak na ówczesny poziom świadomości robotniczej, przeto działacze Związku Robotników Polskich poszli dalej odrębną drogą, na której nie było drogowskazu: Niepodległość.

Powstała Socjal Demokracja Królestwa Polskiego (SDKP), która w kilka lat później dodała sobie: „i Litwy”. Ruch robotniczy został trwale rozbity na niepodległościowców-socjalistów i internacjonalistów-socjaldemokratów (którzy od 1918 roku nazwali się komunistami).

W wyborach do zarządu ZZSP wyniki były następujące:

Bolesław Antoni Jędrzejowski – 16 głosów, Jan Lorentowicz – 14, Edward Abramowski – 12, Feliks Perl – 11, Stanisław Wojciechowski – 9 głosów.

Tych pięciu działaczy miało stanowić „Centralizację” ZZSP, lecz z grona ich wkrótce wycofał się „Pobudkarz” Lorentowicz i na jego miejsce wszedł Aleksander Dębski. Szarą eminencją jeszcze przez krótki czas po został Stanisław Mendelson, który jednak był nie-lubiany, albowiem nader łatwo zmieniał poglądy. Istotnie, po odejściu z PPS był ludowcem, potem narodowcem, potem konserwatystą, a wreszcie entuzjastą syjonizmu.

Nie długo też, ale z innych przyczyn, członkiem Centralizacji pozostawał Abramowski. Nie wiele ponad miesiąc udało się kierownictwu ZZSP bawić nad Sekwaną. Policja francuska dokonała 7 stycznia 1893 roku rewizji w mieszkaniach sześciu upatrzonych rewolucjonistów, aresztowała ich i po tygodniu wydalila z Francji.

Polecenie rewizji i zatrzymania polskich spiskowców wydał minister spraw wewnętrznych Emil Loubet, powołując się na stary dekret o prawie do ekspulsji. Zgromadzenie Narodowe, w którym kołatały widocznie resztki przywiązania do hasła „Liberté, Égalité, Fraternité”, musiało być tą akcją zażenowane, skoro Loubet został zdymisjonowany. Ale jego następcą, Ribot, nie był bardziej liberalny. Na interpelację poselską odparł, że nie pozwoli, by na terytorium francuskim knuto intrygi przeciwko obcemu mocarstwu. Zgodzono się, by sprawę odroczyć – co w praktyce oznaczało zdjęcie jej z porządku obrad Zgromadzenia. W tym czasie wybuchła sławna „afery panamska” i opinia publiczna żyła teraz tematem wielomilionowych malwersacji, a nie losem jakichś Polaków. Oni siedzieli tydzień za kratami, jedli niedopieczony chleb i lurę z soczewicy, wreszcie pod eskortą odwieziono ich do Calais i wsadzono na statek do Anglii. Na paryskiej stacji deportowanych żegnała garstka Polaków. Była wśród nich pani Maria Skłodowska, która z uczuciem wyrecytowała wiersz o „jasnych duchach”...

Z wielką satysfakcją meldował o ekspulsji Raczkowski, główny rezydent tajnej carskiej policji w Paryżu, do Dyrektora Departamentu Policji. Nie krył, że „udało się skłonić” francuskiego ministra spraw wewnętrznych do podjęcia tych kroków represyjnych, pomimo oporu części Rady Ministrów. Donosił, że przegląd papierów, zakwestionowanych przez policję, ich skopiowanie i spisanie, zajęło Francuzom aż 5 dni (najdłużej trwało przeglądanie brulionów Abramowskiego). Pisząc ten raport, Raczkowski był chyba niezupełnie trzeźwy, albowiem znalazł się w nim i taki passus: „Rewolucjoniści polscy mają nadzie-

ję pozyskać w prostytutkach dzielne sojuszniczki”; a może szepnęła mu to w lubieżnym uścisku jakaś paryska Królowa Nocy? Z pewnością natomiast Raczkowski dał się po nieść nadmiernej euforii, gdy donosił triumfalnie: „Dzięki tym represjom cała grupa Mendelsonowska poniosła doszczętną klęskę i wątpliwe, czy Jędrzejowski, Wojciechowski, Perl i Abramowski zdecydują się wrócić do Rosji, wobec tego, że zostali sfotografowani w prefekturze, oraz że wśród całej emigracji paryskiej w ogóle zapanowała panika i bezgraniczna wściekłość i rozpacz”.

Był to nieuzasadniony optymizm, Raczkowski nie zasłużył na awans. „Centralizacja” po prostu przeniosła się do Londynu. Stamtąd Mendelson udał się do zaboru rosyjskiego i w Warszawie, wspólnie ze Strożeckim i Pietkiewiczem założył komórkę PPS, a w Wilnie skaperował człowieka, całkiem jeszcze nieznanego w ruchu, którego uznał za energicznego: nazywał się on Józef Piłsudski.

Abramowski niedługo zagrzał miejsce w Londynie. Nie służył mu klimat; miał kłopoty z płucami. Na przełomie marca i kwietnia 1893 roku wyrusza do wytęsknionej Szwajcarii – statkiem po Renie, albowiem, jako ekspulsowany, nie mógł jechać przez terytorium Francji. Tym razem zatrzymał się na dłużej w Zurychu, gdzie spotkał się z Jodką, a wkrótce – ku olbrzymiej radości – także z siostrą Marią, która wraz z mężem, Zygmuntem Pietkiewiczem, musiała opuścić Kongresówkę.

Spotkał się również, jako adwersarz, z Różą Luksemburg na publicznym wiecu podczas Kongresu II Międzynarodówki; Zurych był podówczas Mekką rewolucjonistów. Zygmunt Pietkiewicz opisał, że jego szwagier z wielkim niesmakiem wysłuchał mowy wschodzącej gwiazdy nurtu internacjonalistycznego. Jak zwykle, propagowała ona tezę, iż oderwanie się Polski od Rosji byłoby sprzeczne z prawami koncentracji kapitału i kształtowania się jednolitego rynku, a zatem byłoby fałszywe i zgubne dla interesów proletariackich, dla nadszarpniętej w pośpiechu socjalistycznej rewolucji.

Abramowski nie zdzierzył:

– Skoro im rozleglejsze państwo, tym rozleglejszy rynek – zareplikował – to trzeba Polskę wskrzesić od Odry do Dniepru i od Bałtyku do Morza Czarnego.

Było to *nota bene* w stu procentach zgodne z poglądami Marksa i Engelsa, którzy stale domagali się odbudowy Polski w granicach z 1772 roku, a nie na terytorium etnicznym. W publikacji *Klasa robotnicza a sprawa polska* Engels pisał: „Odbudowanie Polski znaczy bowiem przywrócenie państwa składającego się co najmniej z czterech różnych narodowości”, a wcześniej, w 1867 roku, Marks na wiecu w Londynie taką widział alternatywę dla Europy: „Albo azjatycka barbaria pod władzą Moskwy spadnie jak lawina na połowę Europy – albo też Europa musi odbudować Polskę, odgradzając się w ten sposób od Azji dwudziestomilionową barierą bohaterów i zyskując czas wytchnienia, niezbędny do dokonania swego społecznego odrodzenia”.

Tak mawiali Marks i Engels, a nie żaden Reagan, który kwestionuje porządek pojałtański...

Mieszkając w Zurychu, Abramowski utrzymywał tylko dorywcze kontakty z Centralizacją ZZSP, ale jakiś czas uczestniczył w jej pracach. Bywał na różnych wiecach i konferencjach, działał w komisji do spraw zaboru pruskiego. Przed I Zjazdem (Genewa 1894) Abra-

mowski wraz z Zygmuntem Balickim lansowali pomysł, aby w obrębie związku stworzyć utajnione „Koło Ścisłe” – jako faktyczne kierownictwo. Podobna struktura, wzorowana na wolnomularskiej, istniała w młodzieżowym ZET, którego Balicki był twórcą i opiekunem z ramienia... Ligi Narodowej. (Wchodził on oficjalnie do zarządów dwóch partii zarazem: socjalistycznej i narodowej!). Pomysł upadł, storpedowany przez „londyńczyków”. Od tej pory Abramowski skupił się na pisaniu broszur agitacyjnych, które w coraz większych nakładach trafiały do kraju. Te wcześniejsze, *Dzień robotcy* i *Sprawa robotnicza*, były już wyczerpane, a robotnicy stale się ich domagali w listach do centrali ZZSP. Pod względem propagandowym Abramowski był nadal bardzo wydajny. Uczestniczył w komisji wydawniczej Centralizacji i wykończył szereg wcześniej rozpoczętych tekstów, w tym broszury dla robotników rolnych i dla robotnic, organizujących kasy oporu (obie zaczęła pisać jeszcze jego żona, po jej śmierci pozostały we fragmentach).

W tym okresie następuje wyraźna zmiana akcentów w jego doktrynie ideologicznej. W tekstach młodzieńczych dominowała fascynacja marksistowskim determinizmem historycznym: wierzył, że dojdzie do zwycięstwa międzynarodowego proletariatu miast i wsi nad łupieżczym kapitalizmem, odcinał się od ujmowanych w cudzysłów „patriotów” i oświadczył wręcz (*Rewolucja robotnicza*, 1891), że „Na dnie sprawy narodowej leży zawsze interes kapitalistów”. W rok później (*Sprawa robotnicza*, 1892) uwypukla już specyfikę polskiego proletariatu, który jest zniewolony nie tylko klasowo, lecz i narodowo. domaga się wolnej Polski – gdyż niepodległość dopomoże robotnikom w walce z fabrykantami. Nadal jednak omija słowo „Ojczyzna” i nie apeluje do uczuć patriotycznych; jeszcze się nie do końca wyzwolił z dogmatyzmu. Kamieniem węgielnym następnego etapu przeobrażeń Abramowskiego jest pierwszomajowa broszura z 1893 roku, pod tytułem: *Wszystkim robotnikom i górnikom polskim na dzień 1 Maja – socjaliści polscy*. Głównym wrogiem jawi mu się już nie ogólnikowy kapitalizm, lecz carat – usymbolizowany w pojęciu „Moskala”, jako sprzymierzeńca fabrykantów.

Ta broszura (wraz z opublikowaniem bez konsultacji *Szkicu programu PPS*) miała znaczny wpływ na tok dziejów ruchu robotniczego, bo odstręczyła od PPS większość byłych członków Związku Robotników Polskich i pchnęła ich ku secesji. Najcięższym zarzutem było to, że Abramowski miał rzekomo nazwać Rosję „bydłem prawosławnym”. Za to raz na zawsze znienawidzili go internacjonałści – i nawet mieliby rację, gdyby istotnie Abramowski tego zwrotu użył. Ale wcale go nie użył, chociaż aż cztery razy wspomniał o bydle – tyle tylko, że w zupełnie innym sensie! Szczegółowa analiza oryginalnego tekstu, jaką przeprowadził Cywiński, dowodzi, iż epitet „bydło” odnosi się wyłącznie do ...Polaków – do tych Polaków, zwanych „pierekińczykami”, którzy dali się zniewolić przez carat, skłonni byli duchowo ulec przemocy, wyrzec się poczucia narodowego, godności, języka, wiary. Ku nim – a nie ku Rosjanom bądź prawosławnym – adresuje Abramowski swą palącą pogardę. Cały szum, w obronie czci braci-Rosjan podniesiony przez internacjonałów, był bez zasadny. Abramowski nie w narodzie rosyjskim, lecz w caracie widział nienawistnego wroga, a taką miał imaginację propagandową, że napisał na wet, iż car może każdemu zabrać jego żonę i dzieci... Ostatecznie, zamiast broszury Abramowskiego, która kończy się słowami: „Chcemy wolnej niepodległej Polski”, wydano w kraju odezwę, zakończoną hasłem: „Niech żyje

ośmiogodzinny dzień roboczy”. Ekonomizm nadal górował nad patriotyzmem. Zamiast socjalistów, kolportażem broszury Abramowskiego zajęli się zatem – narodowcy.

Następne jednak mają już powodzenie wśród robotników, a zwłaszcza murarzy i piwowarów, bo do nich wprost były adresowane. Abramowski napisał je na zamówienie i wedle materiałów, przysłanych z kraju. W latach 1894 i 1896 Centralizacja wznawia jego niefortunną broszurę propagandową z 1893 roku, ale po gruntownym przeredagowaniu (za drugim razem dokonał go Piłsudski). Staje się jakby monopolistą w produkcji tekstów agitacyjnych. Łącznie ZZSP przemyca do kraju ponad 9000 egzemplarzy różnych jego broszur, gdy prac Marksa i Engelsa łącznie – około dwóch tysięcy.

Były to broszury doskonałe, bo były... zadziwiająco prostackie. Abramowski rozumiał to, czego do dziś nie rozumie ogromna większość propagandystów: że agitacja wtedy jest skuteczna, gdy trafia emocjonalnie do odbiorców słabo przygotowanych i znudzonych śmiertelnie, jeśli natrafiają na drętwą mowę ideologiczną. Krytycy marksistowscy do dziś się pastwią nad tym broszurkami Abramowskiego: jedni, że nie eksponowały klasowości, inni, że pomijały wątek międzynarodowy, jeszcze inni, że były ogólnikowe. Ba, nawet Piłsudski skrytykował Abramowskiego, że za dużo powołuje się na świętych i Ewangelię, jak również za to, że operuje obraźliwym słowem „Moskal”, co może robić złe wrażenie. Ale Abramowski wiedział, że inaczej pisze się filozoficzny esej dla inteligencji, inaczej agitkę dla czarnobocznych półanalfabetów. Do nich adresował słowa o honorze robotniczym, o solidarności strajkowej, przypominał Chrystusa, który „umierał na krzyżu za dolę biednych, za dolę robotników”. Zdanie: „Wypędzimy cara, ale z nim razem pójdą precz wszystkie pijawki, które się naszą krwią utoczyły” – było idealnie dopasowane do mentalności robotniczej. Nie ma w nim wyzysku, nadwartości, walki klas, nawet Ojczyzny – a jest to wszystko razem w obrazowy sposób. Nie zjawia się w broszurach pojęcie międzynarodowości – ale jest apel do robotników żydowskich i niemieckich, aby wspierali Polaków w walce z caratem. A jak to będzie w socjalizmie? Praca będzie krótka, łatwa i przyjemna, spożycie – każdemu według potrzeb. Znikną choroby i zbrodnie, mądrość i piękno będą dostępne wszystkim. Raj na ziemi! O taki cel robotnikom chciało się walczyć, chociaż Abramowski nie wyklądał im społecznych mechanizmów. A raczej – właśnie dlatego. Jan Kancewicz³ zauważył: „...wielka i trwała popularność tych broszur mówi sama za siebie”.

Znacznie wcześniej dostrzegł to Józef Piłsudski. Na jego prośbę i wedle jego sugestii Abramowski napisał w 1896 roku broszurę *Czego chcą socjaliści*, przeznaczoną głównie dla ludności wiejskiej. Spotkała się z ogromnym aplauzem. W zakończeniu swej sławnej *Bibuły* Piłsudski poświęca broszurze Abramowskiego słowa ciepłe, sentymentalne, traktując ją jak żywą, przyjazną istotę: „Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedzieć by mogła swym wrogom słowami poety: Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja, I moje będzie za grobem zwycięstwo!”

Teoretyka z praktykiem łączy wyraźna nić sympatii.

³ J. Kancewicz, *Polska Partia Socjalistyczna w latach 1892-1896*, 1984.

Mija rok w Szwajcarii, mija druki rok. Aktywność Abramowskiego w ZZSP słabnie. Czy to tylko skutek rozwijającej się choroby płuc i nawrotów zapaści psychicznych, zapoczątkowanych śmiercią Stanisławy? Wiadomo, że intensywnie leczył się wtedy w sanatorium sławnego psychiatry, prof. Augusta Forella, z którym się serdecznie zaprzyjaźnił. A może zraził się do ruchu, gdy okazało się, że jego zjednoczenie było tylko krótkotrwałym, paromiesięcznym epizodem? Może oddalenie od londyńskiej centrali – i od przyjaciół w kraju – w sposób naturalny osłabiło jego więź z partią, którą budował? Prawdopodobnie każdy z tych motywów wpłynął na spadek zaangażowania Abramowskiego w sprawy bieżące, polityczne. Ale najważniejszy był z pewnością inny powód: pragnienie podjęcia prac ważnych dla nauki i dla świadomości narodu, prac teoretycznych. Już miał 26 lat, a co w końcu do tej pory napisał prócz doraźnych broszur agitacyjnych?

Po udanej kuracji u Forella Abramowski osiada w Genewie. Tu spokój, można się skupić, rozpocząć poważne studiowanie. Tu można coś stworzyć.

I znowu – dokładnie w trzy lata po śmierci żony – następny wstrząs: w Meranie umiera siostra Maria, z którą łączyły go intensywne więzi uczuciowe i intelektualne. Obłęd! Przez kilka tygodni nie może zebrać myśli, błąka się po górach. Tym razem nie mania samobójcza go trawi, lecz pragnienie odejścia w zacisze, odsunięcia się od świata codzienności. Już nie może znieść ciągłej szarpaniny z losem, tragicznym dlań osobiście – i dla narodu.

Emigrant odchodzi jeszcze na emigrację wewnętrzną. *Obiit Abramowski-działacz. Natus est Abramowski-filozof.*

KRUSZENIE MARKSISTOWSKIEGO MONOLITU

Przez dwa lata – 1895 i 1896 – Abramowski „olbrzymio zajęty” przeżywa okres twórczego szału. Pracuje w genewskich bibliotekach po kilka naście godzin na dobę, nadrabia dla nauki czas, jaki poświęcił był przedtem polityce. Zgłębia problemy psychologii, filozofii, socjologii i publikuje – po polsku i francusku – ważne już dzieła. Mało wiadomo o jego ówczesnym życiu osobistym. Dostawał zasiłki od ojca ze Stefanina, ale chyba skromne, skoro w listach do Estery Golde skarżył się na kłopoty finansowe. Więcej jednak w listach wiadomości o zamierzeniach wydawniczych.

Wśród ówczesnych przyjaciół Abramowskiego, trzech jest szczególnie godnych uwagi: młody, ale już czołowy ideolog PPS Kazimierz Kelles-Krauz, wybitny socjolog Zygmunt Ballicki, który od socjalizmu ewoluował ku ideologii narodowej, oraz przebywający podobną drogą Stanisław Grabski. Ale nie ich wpływy, lecz własny wysiłek intelektualny – i rozległe lektury – kształtują oryginalną doktrynę Abramowskiego.

Oryginalną, aczkolwiek zapładnianą przez wielu myślicieli. Koniec XIX wieku obrodził filozofami, których doktryny nie były, jak dziś, znane jedynie wąskiemu kręgowi akademickim, lecz przenikały do publicystyki, były przedmiotem sporów w salonach i na mityngach, wytyczały programy partii politycznych, kształtowały postawy indywidualne. Abramowski niczego nie przyjmował bezkrytycznie, ale uważał, że wszystko trzeba znać, aby o czymkolwiek móc wyrokować; nie był niewolnikiem ani epigonem żadnej teorii, lecz jedne wzbogacał własnymi pomysłami, inne demistyfikował, obnażał ich słabe punkty, jeszcze inne usiłował syntetyzować. Stale zaś pozostawał wierny kilku swoim pryncypiom myślowym i etycznym.

Wiele zawdzięczał Marksowi; specjaliści spierają się jednak, czy był w większym stopniu marksistą czy antymarksistą. Jego intuicjonizm był bliski myślom Henry Bergsona, bodaj jako pierwszy z Polaków zwrócił nań uwagę, ale swoje poglądy rozwijał równoległe z Bergsonem, znając jego prace tylko w wąskim zakresie. Prawdopodobnie obaj zostali zapłodnieni przez prekursorską myśl Renouviera, którego filozofię studiował Abramowski w Genewie. Irracjonalizm, a nie intelektualizm, „ta prawdziwa plaga umysłów dzisiejszych” – najbardziej pomaga w poznaniu rzeczywistości, jej sensu. Koncepcje rewizjonistów – jak Bernsteina i reformistów – jak Lassalle’a, Abramowski odrzucał, lecz ich ślady też tkwiły w niektórych jego pracach. Ostro przeciwstawiał się „jakobińskim” – jak je zwał – doktrynom blankistów, głoszących apoteozę przemocy rewolucyjnej. Wszyscy znawcy Abramowskiego pokazują jego niewątpliwe związki z anarchizmem; nie awanturńczy Bakunin jednak, ale pokojowy, twórczy Kropotkin oraz Tołstoj-moralista byli mu bliscy. Skutecznie prze-

zwyciężał przeciwieństwa dwóch dominujących w jego czasach kierunków socjologii – Durkheima i Tarde’a. Pierwszy z nich był zapatrzony w rzeczowe oblicze zjawisk społecznych, które w świadomości indywidualnej przed stawiały się jako coś żywołowego i zewnętrznego, całkowicie niezależnego od tej świadomości; Durkheim przeciwstawiał marksizmowi (co Abramowski uznał) solidarność społeczną. Tarde natomiast – twórca „teorii tłumu” – dostrzegał tylko psychologiczny charakter zjawisk społecznych, traktował całą socjologię jako odgałęzienie psychologii jednostkowej. W teorii poznania najbliższy był Abramowskiemu Kant, w teorii estetyki zachwycił się Schopenhauerem. W późniejszych pracach Abramowskiego wyraźne odbicie znajduje syndykalizm Sorela i kooperatyzm „szkoły z Nimes”, ale obie te doktryny rozwinął on po swojemu, łącząc ich krańcowe wnioski, zwłaszcza sorelowski „kult potęgi”.

Można by znacznie przedłużyć ową listę nazwisk i głębiej pogrążyć się we wpływolegię, a nawet dowodzić, iż teoretyczne dzieło Abramowskiego jest eklektycznym zlepkiem rozlicznych obcych pomysłów. Ale Oskar Lange, który wykonał skrupulatną analizę zapożyczeń i cudzych inspiracji, Abramowskiego uznał za „najoryginalniejszego myśliciela, jakim myśl społeczna może się szczycić”.¹

Zręby teorii Abramowskiego, choć ledwie w postaci intuicyjnej, tkwią już w jego wcześniejszych, nigdy za życia nie publikowanych pracach: *Feodalizm* i *Kapitalizm* (ta pierwsza jest tylko niedokończonym szkicem, druga – luźnym projektem). Obie pisał w latach 1891-1893. Abramowski traktuje społeczno-gospodarcze dzieje feudalizmu i przełomu kapitalistycznego nie tylko wedle metody materializmu historycznego; obecny jest w jego rozważaniach wątek dziejów mentalności europejskiej, przekonań moralnych oraz idei. Nie rozpatruje tych zjawisk duchowych wedle marksistowskiego schematu narastania „nadbudowy” nad ekonomiczną „bazą”; uważa, iż rozwijają się one w pośredniej zależności od przeobrażeń w sferze produkcji.

Nadbudowa – dowodził – zaczyna się od zmian w duszy ludzkiej, wywołanych postęпами techniki, które tworzą nowe warunki ekonomiczne. Nowe warunki formują w duszy nowe potrzeby. Dopiero owe potrzeby, gdy opanują świadomość człowieka, dyktują nam kierunek myślenia i działania – i „obiektywizują się”, to znaczy powołują do życia nowe instytucje społeczne. A one z kolei wywierają wpływ na sposoby produkcji. Cały ten proces nie jest zatem „obiektywnym biegiem rzeczy” (jak utrzymywali zwolennicy determinizmu historycznego), lecz „zwykłą przyczynowością w psychologii osobnika”. Prawa ekonomiczne mają w rzeczywistości naturę psychiczną.

Materializm historyczny nie jest więc kamieniem filozoficznym, którym bez reszty można objaśnić wszystkie fenomeny dziejów. Zasadnicza część odpowiedzi na dylematy historyzoficzne (i praktyczne pytania polityczne) kryje się w funkcjonowaniu ludzkiej psychiki. Ktokolwiek to lekceważy, jest jak niewidomy, który może z grubsza rozróżnić kształty, lecz nie rozpoznaje kolorów.

Dziś takie podejście nie dziwi nikogo, oprócz topniejącej kasty marksistowskich ortodoksów. Wtedy, przynajmniej na gruncie polskiej myśli politycznej, było nowością. I to

¹ O. Lange: *Socjologia i idee społeczne Edwarda Abramowskiego*, 1928.

nowością, której znaczenia nie rozumieli ani partyjni sojusznicy Abramowskiego, zajęci codzienną tajną robotą, której przyświecał ideał niepodległości, ani jego przeciwnicy spośród internacjonalistów, wyczekujący światowej rewolucji, która miała nastąpić w efekcie kumulowania się nieuchronnych sprzeczności kapitalizmu.

To nie znaczy – wbrew poglądom wielu jego oponentów – że Abramowski ignorował rolę czynnika ekonomicznego; podkreślał ją mocno, w sposób i dziś niepodważalny. Nie obsolutował jej jednak, jak dogmatyczni marksiści. Rozumiał, że takich zjawisk jak religia i filozofia, jak ewolucja mentalności, wzrost potrzeb duchowych, jak cała sfera świadomości – nie da się wytłumaczyć zależnościami od rozwoju sił wytwórczych; że są to zjawiska autonomiczne i rozwój materialny jest tylko jednym z wielu czynników, które na nie oddziałują. Analizował tedy inne budulce świadomości, jak typ rodziny i lokalnej społeczności, krążenie i ścieranie się wzorów kulturowych, charakter pracy oraz wpływ urbanizacji, oświaty, szerzenia kultury na ludzkie postawy i zachowania. Świetnie wyczuwał to, co do świadomości szerszych mas z trudem docierało dopiero w następnych dziesięcioleciach: że bez zrozumienia tych kierujących człowiekiem motywów, które wynikają z rozmaitych systemów religijnych (oraz wywodzących się z nich potocznych przekonań, „filozofii życiowej” różnych społeczności) – nie podobna pojąć masowych poglądów, nastrojów, aspiracji, fobii, przesądów; a one znów niezwykle mocno oddziałują na strukturę i funkcjonowanie społeczeństw, więc także na ich działania gospodarcze i polityczne. Dziś te zależności są dowiedzione, dzięki pracy całych pokoleń socjologów, psychologów społecznych, etnologów, religio- i kulturoznawców, którzy zweryfikowali prostackie widzenie świata, na rzucone ongiś przez materializm historyczny. Z tym, że w połowie XX wieku do przełomu w rozumieniu życia społeczeństw doszło dzięki badaniom kultur pozaeuropejskich, do których narzędzia analizy marksistowskiej są jaskrawo nieprzydatne. Abramowski znał tylko najwcześniejsze prace antropologiczne, musiał się oprzeć na innej bazie materiałowej, mianowicie na monografiach badaczy średniowiecza. Uderzyło go, że w epoce feudalizmu nader wątle były przejawy walki klasowej, silne natomiast więzy patriarchalne, budowane na swoistej solidarności wyzyskujących z wyzyskiwanymi. A także – co brzmiało w socjalistycznych uszach jak herezja – na kulturotwórczej, często postępowej społecznie roli Kościoła. W sposób drastyczny przeciwstawiało się to marksistowskiej koncepcji, że „motorem dziejów” zawsze była walka klas.

W badaniach nad rozwojem kapitalizmu, zaledwie rozpoczętych, Abramowski koncentrował się na zjawiskach alienacji jednostki ludzkiej i dehumanizacji życia społecznego, towarzyszących tej formacji. Nie było w tym źdźbła przesady. W czasach, gdy żył, kapitalizm nie wiele się jeszcze zmienił od stanu opisanego przez Marksa – nie przeszedł jeszcze długiej i złożonej wewnętrznej metamorfozy, która spowodowała (m.in. pod presją ideologii socjalistycznej i naporem robotniczym), że „wilcze kły” kapitalizmu stępiły się, a jego „wilcza natura” złagodniała.

W czasach Abramowskiego (identycznie jak teraz na większości obszarów Trzeciego świata) socjalizm widziano jako cudotwórcze panaceum na wszelkie plagi i grzechy świata; jako różowiutki obłok na mrocznym burżuazyjnym nieboskłonie. Abramowski stosunkowo krótko w młodzieńczym wieku ulegał tej iluzji. Gdy zabrał się do studiów nad historią

i stanem świata, do przemyśleń o kondycji ludzkiej – intuicja podpowiedziała mu, że bez umocnienia zasad etyki, bez rewolucji moralnej daremnie oczekiwać takiej rewolucji społecznej, która by ludziom poprawiła los. Owszem, z plagami kapitalizmu trzeba walczyć przez solidarność robotniczą, przez organizowanie się w partie proletariackie, ale też przez masowy rozwój poczucia ludzkiej godności. Przywiodła go ta myśl do zrozumienia, że i socjalizm, gdy stanie się faktem, ustrojem realnym, zagrozi ludzkiej wolności i szczęściu, jeśli nie będzie korygowany pryncypiami etycznymi.

W pierwszych, młodzieńczych tekstach Abramowskiego jeszcze to prze konanie nie dojrzało. Ale już był świadomy, że chcąc zrozumieć rozwój człowieczeństwa trzeba odstąpić od marksistowskich dogmatów, trzeba zakwestionować ich fundament: materializm historyczny.

Niektórzy ze współczesnych badaczy myśli Abramowskiego, zwłaszcza Zbigniew Krawczyk², wyrażają opinię, że to odstępstwo wynikało z ewolucji jego poglądów pod wpływem ówczesnych sporów ideowych, szczególnie między rewolucyjnym a reformistycznym nurtem ruchu socjalistycznego; że odzwierciedlało również dylematy, wynikające z różnic położenia społecznego w poszczególnych częściach Europy. Bohdan Cywiński trafnie ten osąd zakwestionował. Pokazał, iż Abramowski do swej nowej formuły procesu dziejowego doszedł w drodze dociekań teoretycznych, podważając logikę systemu poglądów, stworzonego przez klasyków marksizmu.

Przystępując w Genewie do budowania własnego systemu, Abramowski miał rozległą wiedzę historyczną, ale i świadomość, jak dalece nie wystarcza ona do interpretacji zjawisk społecznych. Dlatego obrócił się przede wszystkim ku psychologii. Dokonał w tej dziedzinie samodzielnych odkryć, uznawanych za wybitne, ale też – co jeszcze ważniejsze – potrafił włączyć rozumienie zjawisk psychicznych do badawczych metod socjologii. Nie mniej intensywnie medytował nad pryncypiami moralnymi, nad etyką normatywną, która się stała podstawą jego filozofii człowieka, nowatorskiej i na wskroś oryginalnej. Rzecz jasna, to wiodło go także ku studiom sensu stricto filozoficznym, do poszukiwania odpowiedzi na wiele nękających go pytań u Kanta, Schellinga, Nietzschego. Sam na tym polu nie dokonał istotnych odkryć, filozofia – szczególnie neokantyzm – posłużyła mu przede wszystkim jako podbudowa myśli socjologicznej i politycznej. Raczej nie zapuszczał się – lub zapuszczał nieśmiało – w wysokie rewiry filozoficznej abstrakcji.

Już pierwsza ważna praca genewska Abramowskiego, w 1896 roku ogłoszona w warszawskim „Ateneum” sygnalizowała zasadniczy kierunek jego poszukiwań teoretycznych, nosiła bowiem nazwę: *Psychologiczne podstawy socjologii*.

W trzy lata później publikuje obszerną *Teorię jednostek psychicznych*, która spotyka się z wielkim zainteresowaniem środowiska naukowego. Najwybitniejszy wtedy polski filozof Kazimierz Twardowski zaliczył ją do „cenniejszych publikacji na polu naszego piśmiennictwa psychologicznego”. Główne jej myśli są spójne z duchem „moderny”: Abramowski pochwała intuicję i wiarę w bezpośrednie poznanie, próbuje zintegrować wiedzę z przeżyciem. Ale najszerzej swoje poglądy rozwinął w liczącej sto kilkadziesiąt stron pracy *Zagad-*

² R. Krawczyk, *Socjologia Abramowskiego*, 1963.

nienia Socjalizmu, opublikowanej (pod pseudonimem Z. R. Walczewski) we Lwowie, w 1899 roku.

Jest to traktat trudny, lektura dla specjalistów, wymagająca od czytelnika obycia z pojęciami filozofii. Nie da się streścić zawiłych meandrów wywodu, trzeba się ograniczyć, do kilku charakterystycznych konstatacji, ku którym te wywody prowadzą.³ Abramowski rozpatruje np. relacje między świadomością indywidualną a zbiorową, między poznającym podmiotem a poznawanym przedmiotem, lecz głównym problemem *Zagadnień socjalizmu* jest zasadnicza sprzeczność w pojmowaniu socjalizmu. Czym on właściwie jest? Twórczą myślą, która ma nie tylko poznawać, ale i zmieniać świat – czy też nauką, opartą na „niezłomnym prawie” determinizmu historycznego? Skoro przyszłość świata i tak jest z góry określona przez rozwój sił i stosunków produkcyjnych, to jaka w ogóle może być rola twórczej myśli i ludzkiej aktywności ku jej urzeczywistnieniu?

Główni wtedy marksistowskie teoretycy, jak Plechanow i Kautsky, głoszą, że rozważania o tym CO POWINNO BYĆ są bez sensu; to jest podejście etyczne, a nie naukowe. Wszelkie myślenie o normach etycznych ma charakter utopijny i do niczego nie prowadzi. Będzie przecież tak, jak MUSI BYĆ wedle praw historii, a nie tak, jak POWINNO BYĆ wedle ludzkich chęci.

Na takie podejście Abramowski nie godzi się, jest mu absolutnie obce. Ironizuje, iż socjaliści, gdyby tak myśleli, byłiby podobni do astronomów, potrafiących przewidzieć obroty ciał niebieskich – i nic ponadto. Uważa, że na szczęście jest inaczej niżli sądzą głosiciele „naukowości” socjalizmu, których nazywa naturalistycznymi scjentykami. Istotą socjalizmu jest właśnie idea zmieniania świata wedle ludzkich pragnień i dążeń, a nie bierne przystosowywanie się do „praw historii”, rzekomo niezależnych od człowieka.

Szczególnie zatem zajmuje Abramowskiego problematyka świadomości ludzkiej, która jest głównym motorem dziejowych przemian. Co prawda, ile jest jednostek ludzkich, tyle zamkniętych i nieprzenikalnych sfer świadomości, lecz one, oddziałując na siebie rozmaitymi pośrednimi ścieżkami, tworzą wyższą, zbiorową świadomość – różną niż odczuwanie i myślenie każdego indywiduum z osobna.

Istnieje możliwość i potrzeba kształtowania tej świadomości przez oddziaływanie etyczne, przez rewolucję moralną. To stwierdzenie stanowi fundament filozofii Abramowskiego. Pisze:

„... zagadnienie historyczne socjalizmu – wyzwolenie człowieka przez komunizm staje się zarazem jego zagadnieniem praktycznym: dokonania tej rewolucji moralnej w duszach ludzkich, z której wyłonią się społeczne formy komunizmu”. (Tu następuje cytat z E. Ferriego, który uwypukla sens powyższej tezy: „Klasy ludowe dojdą do władzy wtedy dopiero, gdy będą przygotowane przez

³ Czytelnikom, którzy dokładniej i bardziej systematycznie pragnęliby poznać filozoficzne i społeczno-polityczne koncepcje Abramowskiego, polecam (oprócz wspomnianej już pracy Bohdana Cywińskiego), książkę Andrzeja Walickiego *Polska, Rosja, marksizm* oraz artykuł Andrzeja Flisa w „Studiach socjologicznych”, nr 2. 1984.

rewolucję moralną, która zasadza się na uświadomieniu praw swoich i solidarności... Rewolucja społeczna będzie możliwa dopiero po rewolucji moralnej, jaka odbędzie się w proletariacie cywilizowanego świata”.)

Losy świata potoczyły się inaczej, czego skutki do dziś odczuwamy.

Abramowski wyraża zasadę, która jego zdaniem powinna być podstawą polityki socjalizmu:

„To tylko staje się faktem historycznym, rzeczywistością życia społecznego, co przejdzie jako idea przez świadomość mas ludowych” (w oryginale całe to zdanie jest wybite podkreśleniem).

Zasadę tę dziś, po doświadczeniach XX wieku, należy doformułować następująco: ustrój zwany socjalistycznym nie może do tego miana pretendować, albowiem nie został przez masy ludowe zaakceptowany, w charak terze ich świadomie obranej idei.

Na czasie jest także uwaga Abramowskiego, że umysłowość ludzka ciągle podlega przesądowi, iż narzucane z zewnątrz, przymusem państwowym, formy życia zbiorowego mają właściwość przekształcania i przystosowywania do siebie natury ludzkiej. „Jest to teoria uszlachetniających, zbawczych wpływów knuta policyjnego, jeżeli ten knut znajduje się w rękach ożywionych ideą wolności i dobra ludzi. Rozumowanie, na którym ona się opiera, daje się streścić w taki sposób: natura ludzka wraz ze swoją ideowością jest wynikiem społecznego ustroju; niewolniczy ustrój wytwarza zawsze moralne niewolnictwo, komunistyczny ustrój – wytworzy moralny komunizm”. Tego typu przekonania, dowodzi Abramowski, nie uchronnie prowadzą oświeconych samowładców do wniosku, że należy „zbawiać lud pomimo ludu”.

W propagandzie czasów obecnych taka koncepcja jest formułowana często, by wspomnieć choćby sławne przemówienie Mieczysława Rakowskiego w Stoczni Gdańskiej.

Przejdźmy do tych konstatacji Zagadnień socjalizmu, w których Abramowski poddaje krytyce projekty socjalizmu państwowego, opartego na kolektywizmie i biurokracji. Takie państwo, budowane na przymusie ekonomicznym, a wbrew ludzkim potrzebom, wymagałoby:

„... rządu, który by we wszystko wglądał, pętając człowieka tysięcznymi więzami swoich regulaminów (...) całego aparatu biurokracji, militarizmu i policji, władzy wykonawczej i prawodawczej, niezależnej od mas ludowych, gdyż inaczej niezgodne z ideowością tych mas instytucje społeczne runęłyby przy lada nacisku z ich strony; co więcej, ażeby państwo mogło utrzymać moralny autorytet swej władzy, niezbędną podporę swego materialnego aparatu, muszą być wprowadzone w życie te wszystkie sposoby, które rozwijają i utrzymują w tłumach *poddańczą* moralność, poszanowanie prawa i przepisów policyjnych, uznanie biurokratycznej oficjalnej sprawiedliwości za czynnik decydujący w stosunkach pomiędzy ludźmi. Odpowiednio do tego, ponieważ stosunki polityczne i ekonomiczne stanowią w rzeczywistości tylko jedno życie

społeczne, musi przystosować się kolektywizm ekonomiczny (...) Państwo bowiem militarno-biurokratyczne wymaga *nadwartości* dla utrzymania swego organizmu rządzącego i im więcej stron życia ludzkiego przenosi do swych rubryk policyjno-prawnych, tym większa część pracy obywateli musiała by iść na utrzymanie jego administracyjnej i wojskowej armii; kolektywizm podtrzymywany państwem 'rewolucyjnym' okazuje więc swoją właściwą istotę rodząc znanego od wieków potwora – wyzysk pracy ludzkiej i nowe klasy społeczne, czyli przeistacza się w swoje zaprzeczenie."

Jak na tego rodzaju zagrożenie powinni reagować ludzie, wierzący w socjalistyczne cele? Powinni dążyć do politycznego uświadomienia klas pracujących, do wszechstronnej demokratyzacji władzy, do rewolucji moralnej.

„Zamiast więc układać spiskowe lub legalne 'zamachy stanu', zamiast rachować na jakiś rząd *oświecony*, reformatorski lub rewolucyjny, na jakichś 'mesjaszów' mających wprowadzić ludzkość do obiecanej ziemi komunizmu, polityka socjalistyczna – wierna zasadzie swojej, że to tylko stanie się faktem historycznym, co przejdzie jako idea przez świadomość mas ludowych – wciąga tę świadomość do akcji rewolucyjnej, ażeby każda zdobycz na tej drodze osiągnięta wycisnęła na niej (na świadomości ludu) nowe piętno moralne."

Tu znowu Abramowski cytuje, tym razem Wilhelma Liebknechta, jednego z najwybitniejszych twórców I i II Międzynarodówki:

„Socjalizm państwowy jest bardziej jeszcze wrogiem istocie socjalizmu niż dzisiejszy zastój ekonomiczny, łączy bowiem w sobie wyzysk ekonomiczny (państwowy) z polityczną niewolą."

Na nieszczęście dla socjalizmu, na szczęście dla socjalizmu realnego, Włodzimierz Lenin był odwrotnego zdania.

Intuicja Abramowskiego pozwoliła mu wyprorokować jeszcze inny osobliwy aspekt socjalizmu państwowego, a mianowicie jego mariaż z nacjonalizmem. „Dogmatyk dla potęgi narodowej – pisał – gotów jest w każdej chwili poświęcić interes wolnościowy jednostki; ani wzmocnienie władzy rządowej, ani militarizm, ani żadne prawa wyjątkowe nie przerażają go, gdy chodzi o interes bytu narodowo-państwowego; *racja stanu* uświęca dlań wszystkie ofiary z dobrobytu człowieka”.

Jak można przeciwstawić się niebezpieczeństwom, które Abramowski dostrzegął – w XIX wieku – w socjalizmie państwowym, nigdzie jeszcze nie istniejącym?

Odważną moralnością przede wszystkim. Rewolucja moralna jest najwłaściwszą strategią walki klasowej. Pisał: „Czyn szlachetny nosi w sobie pewien niezwykły urok, który wszelkiemu sceptycyzmowi nakazuje milczenie; porównać go można by zaledwie do tego wpływu, jaki wywiera na nas piękno (...) czyn dobroci, poświęcenie bohaterskie mówi samo za siebie, nie potrzebuje ani komentarzy żadnych, ani dowodzeń filozoficznych (...) gdy

poddajemy się myślowo jednemu z takich bałamuctw intelektualnych, np. gdy wmawiamy sobie formalnie, że wszelki heroizm i po święcenie jest anormalnością psychiczną, noworzą, zboczeniem od typu 'zdrowego' człowieka, wtenczas nawet nie możemy oswobodzić się od tego intymnego czaru, który pomimo drwiącej sofistyki myślowej przenika nas do głębi przy stykaniu się z najprostszym czynem zaparcia się siebie i dobroci..."

Lecz co to znaczy dobroć? Jak ją zdefiniować? Tu Abramowski wyznaje, że ten, kto by potrafił przetłumaczyć dobroć na język rozumowy i uczynić z niej przedmiot myślenia naukowego – powiedziałby najwyższe słowo mądrości i dotarł do filozoficznego pojęcia istoty wszystkiego.

Zatem, uważa Abramowski, należy po prostu rozumieć i stosować dobroć tak, jak to intuicyjnie pojmuje i czyni człowiek moralnie wrażliwy, człowiek sumienia.

Dobroć, mimo niemożliwości jej zdefiniowania w języku filozoficznym, stała się osią teorii Abramowskiego: etyki braterstwa (często ją zwał „religią braterstwa”). „W etyce braterstwa jest jeden tylko dogmat – pisał – bezwzględne poszanowanie człowieka, i jedna zasada pojmowania życia – jako interesu wspólności, w którym jednostka odnajduje i sens prawdziwy istnienia i poszukiwanie szczęścia”. Parokrotnie w różnych tekstach powtarza maksymę, że wszystkie cnoty można sprowadzić do dobroci, a wszystkie grzechy do krzywdy ludzkiej. Tylko w imię obrony człowieka przed krzywdą ze strony innego człowieka dopuszczał ograniczenie wolności jednostki ludzkiej. Człowiek do tego stopnia zajmuje miejsce centralne w filozofii Abramowskiego, że wyraził on wielokroć wiarę, iż jedynym Bogiem jest Bóg w człowieku. W tamtych czasach brzmiało to bluźnierczo; dziś już nie tak bardzo, skoro trzech ostatnich pasterzy Kościoła, a szczególnie Jan Paweł II, nadało katolicyzmowi orientację - by tak rzec - „homocentryczną”.

Im bardziej w swych pracach odchodzi Abramowski od ortodoksyjnego marksizmu, tym częściej przywołuje i apoteozuje ideał... komunizmu. Trzeba to wyjaśnić czytelnikom, którzy na dźwięk owego słowa doznają na ogół drgawek. Abramowski rozumiał komunizm inaczej, aniżeli współcześni mu i obecni teoretycy. Miał to być, w jego projekcji, system porządku ekonomicznego, społecznego i prawnego, charakteryzujący się dwiema cechami. Pierwsza to swoboda łączenia się ludzi w rozliczne, dobrowolne stowarzyszenia wytwórcze, spożywcze, oświatowe itd., co zwał *sojalizmem bezpieczeństwa*. Ale to mniej istotna cecha komunizmu. Zasadniczym jego aspektem powinna być taka przemiana moralności, aby wśród ludzi rozgościła się właśnie *religia braterstwa*. Dopiero synteza wolności równych obywateli z braterstwem unie możliwi czyjąkolwiek krzywdę – będzie komunizmem z marzeń Abramowskiego.

Jest to utopia. Jest to mit. Owszem, ale piękny mit i utopia, która na dal określa ludzkie tęsknoty; to utopia realizowalna, skoro historię tworzą sami ludzie, a nie jakieś od nich niezależne prawa historyczne. z tym jedynie, że dziś nikomu do głowy nie przyjdzie, by tę utopię na zwać „komunizmem”, słowo zostało zużyte, znieprawione i kojarzy się z systemem diametralnie przeciwnym wizji Abramowskiego.

Andrzej Walicki nazwał koncepcję rewolucji moralnej najsłabszym i najmocniejszym zarazem punktem teorii Abramowskiego. „Najsłabszym, ponieważ uznanie rewolucji moralnej za *wystarczający* warunek przemiany społecznej jest oczywistym idealizmem i utopi-

zmem”. A najmocniejszym dlatego, iż przy ostrożniejszej interpretacji rewolucji moralnej (jako jednego z koniecznych, choć nie wystarczającego warunku przemian społecznych) koncepcja ta jest właśnie ostrzeżeniem przed utopijnością. Walicki nie wyjaśnia co ma na myśli, lecz to oczywiste: realsocjalizm w imię utopii leninowskich odrzucając moralność, zawartą we wczesnych ideałach socjalizmu (i w naukach Abramowskiego) stworzył wprawdzie potęgę państwową, ale socjalizm obrócił w karykaturę.

Wizję Abramowskiego można rozłożyć na tezy i postulaty, które - jeśli je wyrazić w innych terminach - w znacznym stopniu swą mityczność i utopijność tracą. W traktacie *Etyka a rewolucja*, który w 1899 roku ukazał się w socjalistycznym „Przedświcie” (z zastrzeżeniem, że redakcja nie solidaryzuje się z autorem), Abramowski przystępnie, w języku zrozumiałym dla profanów, wyjaśnił swe pojmowanie komunizmu, jakiego pożądał. Przede wszystkim wyraźnie stwierdził, że gdyby powstanie komunizmu nie było poprzedzone fazą rewolucji moralnej, to ustrój ten zwyrodniałby nieuchronnie.

„Przypuśćmy na chwilę - pisał - że zjawia się jakaś opatrność rewolucyjna, grupa spiskowców, wyznających ideały socjalizmu, której udaje się szczęśliwie zawładnąć mechanizmem państwowym i za pomocą policji, przebranej w nowe barwy, wprowadzać urządzenia komunistyczne.” Co by się wtedy stało, medytuje, gdyby do takiego wydarzenia doszło? Otóż wprawdzie skasowano by prawa własności, lecz pozostałaby własność jako *potrzeba moralna* ludzi; „wyzysk oficjalny” byłby wprawdzie usunięty, lecz zostałyby wszystkie jego aspekty, powodujące, krzywdę ludzką. „Policja musiałaby zastępować miejsce tych naturalnych potrzeb, dzięki którym żyją i rozwijają się swobodnie instytucje społeczne; przytem obrona nowych instytucji mogłaby tylko należeć do państwa, ugruntowanego na zasadach absolutyzmu biurokratycznego, gdyż wszelka demokratyzacja władzy w społeczeństwie, wepchniętym prze mocą w nowy ustrój, groziłaby natychmiastowym rozpadnięciem się tego ustroju...”

Przypomnijmy: pisał to Abramowski na 20 lat przed rewolucją październikową w Rosji, na 47 lat przed zawłaszczeniem władzy w Polsce przez komunistów, na 84 lata przed ciosem zadany „Solidarności”. Przewidywał, iż komunizm odgórnie zaprowadzony:

„... byłby nie tylko czemś ogromnie powierzchownem i słabem, lecz, co więcej, przeistoczyłby się w państwowość, gnębiącą swobodę jednostki, a zamiast dawnych klas wytworzyłby dwie nowe - obywateli i urzędników, których antagonizm wzajemny przejawić by się musiał we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Jeżeli by więc komunizm w tej sztucznej postaci, bez przeobrażenia się moralnego ludzi, mógłby się na wet utrzymać, to w każdym razie zaprzeczałby samemu sobie i byłby ta kim potworem społecznym, o jakim nie marzyła nigdy żadna klasa uciska na, a tembardziej proletarjat, broniący praw człowieka i przez samą historię przeznaczony do jego wyzwolenia.”⁴

⁴ W tym miejscu Oskar Lange, cytując tenże fragment, dał w 1928 roku następujący przypis: „Abramowski pisał to prawdopodobnie w latach 1897-1898, a w każdym razie przed rokiem 1899. Historia ziściła

Powiada się często i słusznie, że filozofowie i socjologowie potrafią doskonale zbadać *ex post* to, co się już zdarzyło, precyzując celne wnioski interpretacyjne, natomiast nie potrafią choćby w przybliżeniu przewidzieć, co istotnego w życiu społecznym wydarzy się w przyszłości, nie potrafią dać wyraźnych wskazówek politykom. Otóż Abramowski wyłamał się z takiej prawidłowości. On bezbłędnie określił to, co się stanie, jeśli zwycięski socjalizm zignoruje zasady moralne.

A co należałoby czynić, żeby do takiego nieszczęścia nie doszło?

Po pierwsze – trzeba się nauczyć solidarności, a szczególnie strajkowej! Robotnicy – dowodzi Abramowski – umieją już skutecznie wywalczyć strajkiem takie cele, jak podwyżka zarobków czy skrócenia dnia pracy, rzadko natomiast strajkują w obronie pokrzywdzonych towarzyszy, czy też w celu wspomnienia innego zakładu albo fachu. A takie właśnie strajki solidarnościowe najświetniej rozwijają robotniczą świadomość. „W takich razach solidarność uniezależnia się zupełnie od interesu osobistego, wychodzi ze swej ograniczonej roli środka czasowego dla zyskania pewnych korzyści i pokazuje się dostatecznie silną, ażeby sama przez się stać się motorem wewnętrznym postępowania ludzi.”

Nie wystarczy jednak – to po drugie – sama solidarność *strajkowa*.

„Rozwinięcie świadome solidarności polegałoby przede wszystkim na tem, ażeby ona mogła objawić się swobodnie we wszelkich swoich postaciach i z roli czasowego środka walki dla osobistego interesu – przeszła na całość życia jako wzajemna pomoc uciśnionych; zadanie zaś takie może być spełnione tylko za pomocą wpływów propagandy, działającej w tym kierunku. Nie ulega wątpliwości, że propaganda tego rodzaju posiada wszelkie dane do rozwoju, gdyż czynnik zachowania solidarności jest samorodnym w proletariacie, a przeto może być także i propagowanym zupełnie z tem samym powodzeniem i niewyczerpaną żywotnością, co np. antagonizm klasowy, pochłaniający dziś niemal wszystkie siły agitacyjne.”

Ideologia KOR-u, KOS-ów i innych form społecznej samoobrony także ma więc u Abramowskiego swe korzenie.

Aliści nie należy go podejrzewać, że był pięknoduchem, lekceważącym sprawy materii. Przeciwnie, z naciskiem podkreślał historyczną bezpłodność ideałów, które nie są powiązane z materialnymi potrzebami mas.

Trzecie wskazanie Abramowskiego – to postulat przyznania każdemu człowiekowi „prawa używania wszystkich bogactw, jako złożonego wyniku sił natury i sił wytwórczości społecznej całych pokoleń”.

Organizacja produkcji społecznej, oswojonej od własności indywidualnej (w tym punkcie Abramowski był kategoryczny i niezmienny) po winna każdemu człowiekowi zapewnić urzeczywistnienie tego prawa. W jaki sposób jednakże – tego filozof nie wyjaśnia

te przypuszczenia z zadziwiającą dokładnością. Któż z czytelników nie odnalazł w przytoczonym ustępie charakterystyki rewolucji rosyjskiej?

przekonująco, pozostając przy drugorzędnych wskazówkach: żeby nie było pożyczania pieniędzy na procent, żeby nie było wszelkiego „geszefciarstwa”, żeby znieść burżujskie reguły życia. Wspiera się tutaj apelem, by „rozwinąć takie wpływy moralne, literackie i estetyczne, które rozbudzają uczucie braterstwa, najusilniej przeciwstawiając się zwyczajom własności”. O potencjalnej roli nauki Kościoła – nie wspomina; ówczesny Kościół nie był partnerem uciskanych, lecz uciskających. Konkretniejsze, bardziej praktyczne wskazania da Abramowski w następnych dziełach, poświęconych kooperatyzmowi i syndykalizmowi. Chwilowo jest w innej epoce swej twórczości, trafnie zwanej „etyzmem”. Ten etyzm jest złączony z osobliwym hedonizmem komunistycznym, co wyraźnie widać z jego następnej, czwartej dyrektywy.

Dyrektywa ta zaczyna się od wyводу, na który zgodziłby się każdy ortodoksyjny marksista: „Rewolucyjna zasada pracy łączy się z rozwojem techniki wytwórczej i ze społeczną organizacją produkcji. Skombinowane razem, dwa te warunki mogą ograniczyć wysiłki wytwórcze człowieka do możliwie najmniejszej ilości, rozszerzając odpowiednio do tego jego swobodę życiową”. Owo poszerzenie swobody, wyzwolenie człowieka spod jarzma pracy przymusowej i utylitarnej, ma służyć maksymalizowaniu przyjemności „swobodnie określanych przez indywidualizm każdego człowieka”.

Tutaj wypowiada Abramowski pogląd kontrowersyjny zarówno z punktu widzenia doktryny marksistowskiej, jak katolickiej:

„... nie mamy po prostu odwagi moralnej, ażeby za cel życia postawić piękno, zabawę, miłość, dla nich samych tylko, dla samej rozkoszy wspólnego radowania się życiem, bez żadnych pobocznych względów jakiejś 'wyższej' etyki, utylitaryzmu lub teologii; boimy się uznać, że sama radość człowieka może zawierać w sobie 'najwyższe i bezwzględne dobro', nie potrzebując do tego ani uzasadnienia, ani też jakiegokolwiek stempla 'uszlachetniającego', że stworzenie się jej w duszy ludzkiej może być cnotą i celem wystarczającym sobie. Ta tchórzliwość moralna łączy się ściśle z nałogiem pracy i geszefciarstwa, który stłumił w człowieku potrzebę swobody i pozostawił miejsce w jego duszy dla takich tylko przyjemności, które łączą się z korzyścią ze względu na cele walki o byt ekonomiczny, czyniąc go tępym na wszystko, co się znajduje poza obrębem tej dziedziny.”

A więc – nie filozofia „mieć”, lecz filozofia „być”. Oto moralna kwintesencja abramowszczyzny, jakże bliska tym wszystkim nastrojom, które współcześnie stworzyły hippizm i jego pochodne, jakże daleka od pozytywistycznego „dorabiamy się!”, od kapitalistycznego „szczurzego wyścigu” oraz od konsumpcyjnego modelu lansowanego w realnym socjalizmie, szczególnie polskim (choć bez szans faktycznego urzeczywistnienia tego modelu). Abramowski ubolewa, że w człowieku został stępiony zmysł używania życia. „Stoimy pod tym względem bez porównania niżej od barbarzyńcy, który umie uczestniczyć duszą swoją w życiu całej przyrody, lub od dawnego Greka, który otaczał się pięknem sztuki, lubo wał się w igrzyskach i zabawach i zdolny był interesować się żywo dialektyką filozofów,

dla takich typów potrzeba swobody próżnowania jest tak silna, iż wolą oni nieraz znosić głód i niedostatki fizyczne, niż poddać się regularnemu jarzmu pracy”.

Nic nie wiadomo, by Abramowski bliżej interesował się filozofią i obyczajowo-moralnym klimatem Wschodu, szczególnie indyjskiego kręgu kulturowego; a jednak dokładnie wyraził to, co jest dlań szczególnie charakterystyczne.

„W jakim sposób – zapytuje Abramowski – propaganda mogłaby rozszerzyć zakres życia robotnika i wyrwać jego duszę z deptaka utylitaryzmu. Nasamprzód musiałaby pojęciowo wyswobodzić przyjemność człowieka z więzów panującej etyki, wpoić to przekonanie, że wszelkie dążenie ludzi do wspólnej przyjemności, chociażby zupełnie bezcelowej, jest samo przez się cnotą, i że nigdzie nie ma grzechu, gdzie nie ma krzywdy ludzkiej...”

Formułuje Abramowski „prawo do próżnowania” (tak je właśnie nazywając), w miejsce „prawa do pracy”. Jeśli powiąże się prawo do próżnowania z etyką braterstwa, to w pełni rozkwitną uczucia wzajemnej sympatii i przyjaźni, przyziemne interesy bytowe zejną na plan dalszy, a na pierwszy wysunie się atmosfera swobodnej zabawy.⁵ Jeśli kogoś taka wizja śmieszy, to dlatego, że wychował się w tradycji europejskiej; w Azji, w Afryce taki stosunek do pracy i przeżywania życia, jaki zalecali Abramowski i Znaniński, cechuje wiele społeczności. Tam również sądzą, iż praca nikogo nie uszlachetnia, nie jest niczym więcej, jak koniecznością życiową, a zwiększanie jej wymiaru i intensywności jest oślepianiem i ogłupianiem człowieka, sposobem jego uzależnienia od dzierżycieli władzy.

A przecież, dowodzi Abramowski, istotą polityki socjalistycznej powinno być dążenie do coraz większej demokratyzacji władzy, do przenoszenia wszystkich jej atrybutów na masę ludową. To jest następny kluczowy punkt traktatu *Etyka a rewolucja*. Jak do tej demokratyzacji zmierzać? Oczywiście, przez masową walkę polityczną; lecz ona może być tylko „faktem czasowym, nie zaś rzeczą ciągłą”, a nawet nie wszędzie może być przedsięwzięta. W krajach niekonstytucyjnych i zacofanych – stwierdza Abramowski – musi ograniczać się „do czysto teoretycznego uświadamiania antypaństwowego”, które powinno prowadzić w konsekwencji do „rewolucji ciągłej”: praktycznej negacji państwa. W tej tezie tkwi zarodek niezwykle ważnej, rozwiniętej w późniejszych latach doktryny *Zmowy powszechnej przeciw rządowi*. Powrócimy do niej w innym rozdziale.

Tymczasem Abramowski zajmuje się przede wszystkim demaskowaniem nieszczęść spowodowanych przez państwo. Nie oszczędza także drugiego nurtu II Międzynarodówki: reformizmu socjaldemokratycznego. Ci marksistowscy „demaskatorzy” Abramowskiego, którzy uparcie kojarzą go z prawicowym nurtem w ruchu socjalistycznym, przypominają geografę, który by twierdził, że świat składa się tylko z dwóch biegunów. Abramowski zarzucał zachodnim, „pokojujnym” socjalistom, że są rewolucyjni tylko w słowach, godzą się na wszelkie kompromisy z partiami burżuazyjnymi, byle wcisnąć się do współrządzenia, całą energię wyładowują w gadaniu parlamentarnej, akceptują politykę zagraniczną

⁵ Tezy te szerzej rozwinął kolega Abramowskiego z Genewy, Florian Znaniński, głosząc wyższość „ludzkiej zabawy”. Może to nie wychowawcze, ale szczerze...

„najwsteczniejszych odłamów burżuazji”. Ale najcięższy ich grzech jest w gruncie rzeczy podobny temu, jaki popełniają ortodoksyjni marksiści: dążą do budowy ustroju bezklasowego mocą państwowej biurokracji. Jedni i drudzy niczego pożytecznego nie zwojują. Reformiści dlatego, że są i będą zmuszeni do ciągłych kompromisów, ortodoksi dlatego, że swe „prometejskie” ideały chcą osiągnąć policyjną pałką.

Sama idea państwa, dowodził Abramowski, jest nierozłączna z władzą biurokratyczno-policyjną „za pośrednictwem której społeczeństwo styka się z jednostką”. Moralność policyjna „pod rozmaitemi postaciami szuka tego samego, mianowicie przymusu społecznego, organizacji władzy, mogącej uciskać jednostkę w imię kodeksu, jaki uznaje za słuszny”.

(Myśl, że władza policyjna mogłaby uciskać jednostkę nawet wbrew kodeksom, które sama ustanowiła – Abramowskiemu nie przyszła do głowy. Tak daleko nie sięgnęła jego imaginacja.)

Uważał on, że idea przymusu jako środka zwalczania zła, jak również pojęcia „dyktatury rewolucyjnej” i „państwa przyszłości” wkradły się do socjalizmu z arsenału idei totalitarnych. Kwestionuje także przekonanie, do dziś niestety powszechne, że system karny, sądy i więzienia są najlepszą odpowiedzią społeczeństwa na szerzące się zło. Nie, one są właśnie „szkołą występków”. Państwo biurokratyczne nie omieszka podciągać pod kategorię przewinień „takie nawet uczynki i zamiary, które ani indywidualnie, ani społecznie przewinieniem nie są”. Tkwi w tym groźba rozbudowy narzędzi ucisku politycznego oraz rozszerzania pojęcia zbrodni „na wszystko, co przeczy ustalonym prawidłom porządku”.

W tych wróżbach intuicja go nie zawiodła, przewidział wszystko z idealną dokładnością.

W następnej ważnej pracy *Socjalizm a państwo*, wydanej w 1904 roku we Lwowie pod pseudonimem A.A. Czajkowski - Edward Abramowski nadal rozwija i ukonkretnia swe poglądy etyczne. Warto zacytować na stępujący fragment:

„... dlaczego ruch społeczny tak silnie i tak głęboko wchodzący w zagadnienia życia ludzkiego, jak socjalizm współczesny, wpływa stosunkowo tak mało na moralność i na życie prywatne człowieka, że może skupić pod swoim sztandarem najrozmaitsze typy etyczne poczynając od ludzi ideału, a skończywszy na zwyczajnych aferzystach; dlaczego ten sam ruch, który w programie swoim stara się rozstrzygnąć zagadnienia wszystkich niemal klęsk życia społecznego – nędzy, prostytucji, alkoholizmu, zbrodnicstwa itd. – pozostawia jednak niekniętą dziedzinę sumienia, etyki indywidualnej, życia osobistego, to jest to, co stanowi prawdziwego człowieka, głęboki podkład duszy ludzkiej (...) dlaczego socjalizm, redukujący się coraz bardziej do polityki państwowej, nie może ogarnąć sobą całej sprawy wyzwolenia się człowieka i zadowolić tych, których dążności rewolucyjne przerastają zagadnienie kolektywizmu ekonomicznego.”

Niestety, odpowiedzi na te pytania brakuje nadal.

W książce *Socjalizm a państwo* powraca także – chociaż ubocznie – wątek narodowy, niepodległościowy. Jest osobliwe i warte odrębnego studium, czemu w „genewskim” okresie

swej twórczości teoretycznej – najbardziej płodnym intelektualnie – Abramowski w ogóle, nawet aluzyjnie, nie nawiązywał do problematyki narodowej? On, który stworzył Zjednoczenie Robotnicze *przeciwko* nieokreśloności narodowej II Proletariatu i kompletnej w tej kwestii obojętności Związku Robotników Polskich, on, który był współtwórcą niepodległościowej PPS i ostrym antagonistą Róży Luksemburg – na kilka lat w ogóle zamilkł na ten temat, jak gdyby zapomniał swej poprzedniej żarliwości niepodległościowej. Jego idee filozoficzne i myśli polityczne z dzieł *Zagadnienia socjalizmu* oraz *Etyka a rewolucja* były czysto uniwersalistyczne, wyprane ze specyfiki polskiej – tak jak u pierwszych proletariataczków, może nawet bardziej konsekwentnie. Czemu nagle zamilkł jako patriota? Czemu w praktyce wyłączył się z działalności w PPS, której przywódcy zatem – nie tracąc doń sympatii – mieli pełne prawo położyć krzyżyk na teoretyzowaniu Abramowskiego i dystansować się od jego myśli w „Przedświcie”?

Oto zagadka! Jej wyjaśnieniem powinni się zająć historycy. Nasuwa się taka hipoteza, iż porzucenie przez Abramowskiego problematyki na rodu było jego reakcją na fakt, że właśnie w tym czasie PPS traciła zainteresowanie dla społecznej, klasowej treści doktryny socjalistycznej, nie omal całkowicie koncentrując się na kwestii niepodległości; a przecież w paru pierwszych latach istnienia PPS o niepodległości (nawet w początkowych numerach „Robotnika”) mówiono ledwie półgębkiem, żeby nie straszyć robotników w kraju. Jeszcze wyraźniej podobną ewolucję prze szedł obóz Ligi Polskiej, która już się przemianowała na Ligę Narodową i szparko zmierzała ku nacjonalizmowi. Z tym się Abramowski nie godził. Zauważmy jednak, że symetrycznie przestał też zastanawiać się głębiej nad problematyką klasową, nad walką klas, zrażony (czego nie krył) do monotematyzmu SDKPiL, która – odwrotnie niż PPS – cały swój teoretyczny wysiłek koncentrowała właśnie na klasowym polu, problem na rodowy ignorując. Takie rozszczepianie dwóch nurtów socjalistycznych skłoniło Abramowskiego nie do poszukiwania „złotego środka” między sprzecznymi tendencjami, nie do prób zsyntetyzowania doktryny powstańczo-niepodległościowej z rewolucyjno-internacjonalną, lecz do decyzji, że należy wznieść się *ponad* te rozbieżności i skonstruować nową wizję socjalizmu, atrakcyjną dla całej ludzkości, opartą na nadrzędnej kategorii braterstwa.

To tylko hipoteza, aliści uprawdopodobniona logiką rozwoju myśli Abramowskiego: od dogmatyzmu, przez służbę idei narodowej, ku uniwersalistycznej syntezie „etycznej”, a następnie znowu ku sprawie niepodległości – wtedy mianowicie, gdy zarysowała się *realna* szansa wyzwolenia Polski.

Pod koniec XIX wieku taka szansa się jeszcze nie rysowała, trwał w najlepsze porządek ukształtowany przez Kongres Wiedeński i „Święte Przymierze”, zaś Zachód całkowicie już zapomniał o Polakach; szczególnie Francja, zafascynowana Rosją i zabiegająca o względy cara. Uważał zatem Abramowski, że skoro nic pomyślnego nie rysuje się na horyzoncie politycznym, to trzeba chwilowo pracować nad umoralnieniem człowieka, ażeby był on zdolny do wielkich powołań, gdy nadejdzie pora Czynu.

Właśnie u progu XX wieku, choć jeszcze bardzo mgliście, taka szansa zaczęła się pojawiać, po-wiedeński porządek chwiał się, pękały szwy Europy. Dlatego zapewne w pracy Socjalizm a państwo Abramowski (acz na dal trwa przy abstrakcji „socjalizmu bezpań-

stwowego”) daje wiele całkiem praktycznych wskazań politycznych, a przede wszystkim powraca do myślenia o losach narodu. Polemizuje z antypolskim stanowiskiem socjaldemokracji niemieckiej, wyrażonym na kongresie drezdeńskim w 1903 roku. W debacie nad „sprawą polską” Gerisch wyraził pogląd, że trzeba bronić Polaków od ucisku narodowego (był to, pamiętajmy, okres nasilenia działań Hakaty, rugowania Polaków z ziemi i oporu dziatwy szkolnej, zapoczątkowanego we Wrześni), lecz trzeba też przeciwstawiać się polskim dążeniom, które nie tylko nie mają nic wspólnego z ruchem robotniczym, lecz mogą mu szkodzić”. Chodziło, rzecz jasna, o dążenia niepodległościowe. Gerischowi wtórowała niezmordowanie internacjonalna Róża Luksemburg; przyjęty został jej wniosek, że „Zjazd wyraża swą zgodę na postępowanie zarządu przy układach z polską organizacją i przecho- dzi nad tą sprawą do porządku dziennego”. Owo postępowanie zarządu esdecji polegało na tym, iż żądał on od PPS – jako warunku porozumienia i zgody – podpisania tajnego proto- kołu, że PPS nie dąży do odbudowania narodowego państwa polskiego! Tutaj Abramowski przypomina oburzają ce wydarzenia wyborcze na ziemiach zaboru pruskiego: socjaldemo- kracja niemiecka postawiła kandydatury zdeklarowanych „polakożerców” z Hakaty, zaś w okręgu grudziądzkim robotnicy niemieccy, wbrew poleceniom własnej partii socjaldemo- kratycznej, głosowali gremialnie za kandydatem niemieckich konserwatystów, żeby utra- cić kandydata polskich demokratów.

Kolejny zwrot Abramowskiego, ku zainteresowaniom politycznym i walce niepodległo- ściowej, nie od razu został w polskim społeczeństwie dostrzeżony. W tym czasie znacznie głośniejsze były inne jego, nader osobliwe inicjatywy, a zwłaszcza oblekanie „religii bra- terstwa” w realny kształt „Kół Etyków”.

POLSKI MODEL HIPPIZMU

Temperament Abramowskiego nie pozwalał mu długo trwać przy jednym zajęciu lub temacie. Przerzucał się od jednej do drugiej dziedziny nauki, wszędzie wyciskając swój indywidualny ślad, w kilku dziedzinach ważny i niezatarty biegiem czasu. Ale nauka nigdy całkowicie nie wypełniła jego pasji życiowych. Potrafił na długie miesiące zamknąć się w bibliotekach czy laboratoriach, lecz nie mógł powstrzymać się od interludów życia czynnego w polityce i od osobistych kontaktów z ludźmi, którzy liczyli się czy to w sferze myśli, czy rewolucyjnego spiskowania. W Genewie, acz była dlań najlepszym azylem psychicznym, brakowało mu tempa i zmienności wrażeń, brakowało ludzi z pasją. Trzymał się zatem na uboczu, snuł się samotnie blady i patetyczny. Zwano go „kolegą-duchem”; miał w oczach wyraz taki, jakby widział rzeczy niedostępne zwykłemu widzeniu.

Szwajcaria już wtedy była śmiertelnie nudna. Nawet rewolucjoniści, którzy znajdowali schronienie w jej granicach, przepoczwarzali się w mole książkowe. Nic się w tym kraju nie działo, co mogłoby działać pobudzająco na ludzi, którym wstrętna była mentalność cierpliwie dorabiającego się burzua. Wiosnę i lato Abramowski spędzał w wiejskim odosobnieniu, w Pinchat koło Genewy, patrząc na alpejskie szczyty i jeziora.

Czytał głośno Słowackiego. Tęsknił.

W 1897 roku postanowił rzucić to i powrócić do nieszczęśliwego kraju.

Nie był to powrót łatwy po pięcioletniej emigracji. Nie był łatwy psychicznie, bo czuł, wiedział, że dla starych towarzyszy partyjnych nie będzie już Edkiem-aktywistą, ale ekscentrykiem, głoszącym jakieś niezyciowe hasła etyczne. Nie był łatwy także ze zwykłych powodów zdrowotnych: choroba płuc podleczone w Szwajcarii górskim powietrzem, które wtenczas musiało zastępować PAS i streptomycynę, mogła się odnowić w klimacie warszawskim. Nie był także łatwy z powodów politycznych. Abramowskiego już w 1893 roku, po aresztowaniu, dokładnie obfotografowała policja francuska i jego zdjęcia trafiły oczywiście do rosyjskich teczek policyjnych. Także z Genewy przeciekały agenturalne informacje, nie wiadomo, czy od policji szwajcarskiej, czy od rosyjskich wtyczek wśród emigrantów.

Dossier Abramowskiego („Spisok lic rozyskiwajemych”) w petersburskim Departamencie Policji było szczegółowe: pełne dane o stosunkach rodzinnych z adresami, gdzie i czego się uczył, cechy paszportu z 1889 roku, informacje o jego kontaktach z rewolucjonistami w Galicji i perypetiach z policją austriacką, nielegalny wyjazd zagranicę w 1893 roku, z kim się kontaktował w Paryżu („sostojal w osobiennio blizkich snoszenijach s izwiestnym emigrantom Alieksandrom Dembskim”), jak został ekspulsowany z Francji, że w Anglii zachorował na suchoty, że jest poszukiwany jako obwiniony o udział w tajnym stowarzyszeniu „Proletariat” (o działalności w PPS donosu brak!), że w Genewie od lutego 1895 mieszkał na Chemin de la Cluse 4 – a także, iż został powiadomiony, że w razie powrotu do Imperium

będzie odpowiadał nie tylko za samowolne przekroczenie granicy, lecz także za przestępstwa przeciw państwu, które staną się przedmiotem śledztwa i ewentualnego ukarania; co przyjął do wiadomości.

(Jest także rysopis Abramowskiego: wzrost 167 centymetrów, szczupły, włosy i brwi jasno-rude, oczy niebieskie, twarz podłużna, regularna, nos i usta w normie, podbródek krągły, broda ryża, włosy zawsze w nie porządku, chód porywisty, mówi przeciągle i lekko się jąka, znaków szczególnych brak.)

Przyjaciele te znaki szczególne w nim widzieli. Mówili o profilu sępa, o jego podobieństwie do portretów Filipa IV pędzla Velasqueza, o zniewalających oczach, o ruchach żbika. Bardzo zresztą lubił ten swój przydomek „Żbik”.

Na granicy istotnie Abramowski został zatrzymany, bo wszędzie rozesłano za nim listy gończe, lecz żandarmeria nakazała mu jedynie stały pobyt w Warszawie, aż do wyjaśnienia „sprawek”. Ostatecznie represji żadnych nie było, skończyło się na dozorze policyjnym. Abramowski powrócił do legalności.

Wyjechał z kraju jako socjalista, wrócił jako anarchista, bo do anarchizmu sprowadzano doktrynę „socjalizmu bezpieczeństwa”, aczkolwiek był to anarchizm szalenie osobisty, na wskroś przesiąknięty „etyzmem” (jeszcze bardziej niż u Kropotkina) oraz spokrewniony z francuskim syndykalizmem. Więc: anarchosyndykalizm, aczkolwiek wtedy jeszcze nie używano tego terminu. Sam Abramowski za anarchistę się zresztą nie uważał.

Inni także woleli łagodne słowo „etyzm”, więc pod tym hasłem skupia koło siebie nowe grono adoratorów. Zaczyna od 1899 roku tworzyć w Kongresówce *ruch etyczny*, który postanawia walczyć z potrójnym złem, ucieleśnionym w państwie, własności i pracy.¹ Chodzi z zebrania na zebranie, namawia pojedynczych ludzi. Nie na wiele zdają się spazmatyczne ataki, jakie teraz – z pozycji prawowiernego marksizmu – przypuszcza nań dawny antagonyista Ludwik Kulczycki, który sam był przecież poprzednio (i znów będzie) anarchistą jak się patrzy, i to w terrorystycznym, bakuninowskim wydaniu.

Młodzieży, w tym również robotnikom, podoba się moralna tonacja nauk Abramowskiego, jego irracjonalizm i intuicjonizm, antydogmatyzm i antyklerykalizm, kult piękna i miłości oraz pewien mistycyzm, połączony z fascynacją przyrodą. Wszystko to odpowiada nastrojom okresu Młodej Polski, które opanowały Kraków, lecz i Warszawy nie ominęły bokiem, ku irytacji pozytywistów. To, że Abramowski głosi też dziwaczne hasło „bezpieczeństwa” nikogo specjalnie nie zraża, wszak lepsze to, niż despotyczne państwo carów. O państwie polskim na serio myślą tylko nieliczni pepesowcy, nawet narodowcy traktują to marzenie jako niedosiężną utopię i coraz wyraźniej kolaborują z rosyjskim zaborcą. Zatem, choć Abramowski ich druch stary, starzy pepesowcy (byli na ogół między trzydziestką a czterdziestką) istotnie patrzą nań kosym okiem. Nadal uważają go za swojego, nawet go poważają jako zasłużonego działacza, lecz zarazem widzą w nim dziwaka i maniaka. Oni są

¹ Józef Grabciec-Dąbrowski w *Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem* (1925) napisał: „Tchnęło to anarchizmem” i dodał, nieco złośliwie, że wykluły się z tego „instytucje oświatowe bez domieszki partyjnej (tworzenie półinteligencji socjalistycznej).”

nadal rewolucjonistami-niepodległościowcami, walczą o Państwo Polskie, zaś on w kółko powtarza swe etyczne androny, jak jakaś stara panna.

W „Przedświcie” krytykuje go Tytus Filipowicz. Kurczy się grono dawnych adoratorów, jedynie Stanisław Wojciechowski i Kazimierz Pietkiewicz nadal patrzą nań z admiracją, zaś Kazimierz Kelles-Krauz, już wybitny i uznany nawet w Paryżu teoretyk PPS, pisze o jego pracach z zainteresowaniem, choć nie ukrywa krytycyzmu. Szczególnie zafrapowała go rozprawa po francusku: *Le matérialisme historique et le principe du phénomène social* z 1898 roku (przedrukowana jako część *Zagadnień Socjalizmu*). Zgadza się generalnie z Abramowskim, że technika i kultura (pepesowcy unikają określeń „baza” i „nadbudowa”) „wywołują się na wzajem”, że wzajemnie ciągną od siebie żywotne soki niezbędne dla ich rozwoju, a także, iż żadnej strony życia społecznego nie da się odosobnić od pozostałych, bo wszystkie uzupełniają się i warunkują. Uważa jednak, że pierwszeństwo w tym przenikaniu ma jednak rozwój form produkcji, a ściślej: przemiany narzędzi pracy, na co Abramowski zbyt niewiele uwagi nie zwracał. Kelles-Krauz jest wierniejszy marksizmowi; nawet jest mu całkiem wierny w większości swoich tez, co nie zmienia jego przywiązania do PPS, obwinianej przez dogmatyków-internacjonalistów z SDKPiL o reformistyczne odszczepieństwo, zaturę klasowości i zdradę rewolucji.

Starzy przyjaciele nie zaprosili nawet Abramowskiego, w 1904 roku na zakopiańską konferencję sympatyków PPS, chociaż był na niej bliski esdecji Krzywicki! Byli literaci Żeromski i Daniłowski! Ale do Abramowskiego garną się całe zastępy młodych. Spotyka się z nimi na wielu polach działania, albowiem w Abramowskiego, gdy tylko znalazł się w Warszawie, wstąpił na nowo niespokojny duch społecznikowski. Wygłasza cykle wykładów dla inteligencji warszawskiej, powraca na spotkania robotnicze, poświęca się propagandzie czytelnictwa. No i lubi życie towarzyskie...

Wkrótce po przyjeździe do Warszawy spotkał się, po raz pierwszy z Piłsudskim. Przedtem znał go tylko korespondencyjnie i chyba pod pseudonimem. Spotkanie opisał Stanisław Stempowski, od dawna będący z Abramowskim w zażyłości:

„Wojciechowski, z którym spotykałem się kilkakrotnie, jechał do Anglii na dłuższy odpoczynek, chciał się pożegnać i przedstawić swojego zastępcę. Spotkanie odbyło się w mieszkaniu Abramowskiego przy ul. Kruczej, gdzie często bywałem na czarnej kawie, którą pan Edward świetnie sam przygotowywał. Wojciechowski zjawił się w towarzystwie wy smukłego mężczyzny z sumiastym wąsem i szampanką (model brody - przyp. W.G.) zakrywającą bezzębne usta. Mówił trochę sepleniąc i wydymając usta. Był to towarzysz Wiktor. Dopiero później dowiedziałem się, że był to Józef Piłsudski, o którym słyszałem jeszcze w Dorpacie od Noniewicz i wilnian.”

Innym razem, u Krzywickiego na Złotej, zeszli się przypadkowo Abramowski z... Dzierżyńskim! Starły się dwie skrajności kresowej szlachetczyzny. Dzierżyński z zimną konsekwencją perorował, że wszystkim rządzi prawa historii, zaś ludzie są jak atomy wody (!) niesione prądem rzeki – a pan, panie Abramowski uważasz, że od tego atomu zależy prąd?

Abramowski popadł w ferwor polemiczny, szermując wolnością ludzkich czynów, które mają moc przeobrażania świata. Dzierżyński był impregnowany na jego argumentację: jesteś pan takim samym atomem wodnym, ty le że zadufanym, skoro myślisz pan, iż możesz zmienić bieg rzeki. Rozstali się wzajemnie nieprzekonani, rozeźleni i niechętni.

Mniej więcej w tym samym czasie Abramowski zetknął się bliżej z Żeromskim. Obaj krążyli po tych samych salonach postępowej inteligencji warszawskiej, brali udział w wieczornicach, urządzanych przez „Piękną Panią” Marię z Koplewskich (później Marię Piłsudską) i przez Marię Paszkowską, niezrównaną „Gintrę”, która bezbłędnie kierowała całym systemem kolportażu „Robotnika” i bibuły przerzucanej z zagranicy, dyrygowała sztabem dramaderek. Były nimi przeważnie panny z bardzo dobrych domów, jej prywatne uczennice. Panowie Stefan i Edward spotkali się jeszcze wcześniej na początku lat dziewięćdziesiątych, chyba w Zurychu, gdzie Żeromski był częstym gościem: zapisał: „Milczy zawzięcie mały, chudy, nikły Edward Abramowski o oczach mgłą mistyczną zawleczonych”. Ale ani wtedy, ani potem w Warszawie nie było między nimi przyjacielskiej zażyłości – raczej wzajemne zainteresowanie. Systematycznie zaczęli się spotykać w latach 1897-98 na konspiracyjnych zebraniach u państwa Marii i Władysława Bukowińskich, gdzie i Kelles-Krauz był przyjacielem domu² i Krzywicki bywał, i Stanisław Posner, cała śmietanka postępowej Warszawy. Dyskutowano tam odbitki tekstu „Etyka a rewolucja” oraz „Programu wykładów nowej etyki”. U Żeromskiego zaś, Żabia 4, radzono nad założeniem nowego pisma – był Sieroszewski, Radziwiłłowicz, Stempowski i był Abramowski. Żeromski bardzo się przejął jego ideologią społeczną, co wyraźnym echem odbiło się w *Ludziach bezdomnych*. Gdy w Judymie zapada postanowienie, że będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wzięł od niego – dokładnie powtarza młodzieżowe zdanie Abramowskiego z pogadanek w „Zorzy”, a dysputy Korzeckiego z Kalinowiczem – to dokładne odtworzenie dyskusji, jakie się w salonie Bukowińskich toczyły wokół etycznych haseł Abramowskiego. Sama zresztą postać Korzeckiego – wedle Henryka Markiewicza – jest wymodelowana na wzór osobowości Abramowskiego: miał halucynacje, cierpiał na rozstrój nerwowy, uparczywie powracał do teorii etycznych. I wygłaszał takie kwestie, na przykład: „Miłość między ludźmi należy siać jak złote zboże, a kąkol nienawiści trzeba wrywać i deptać nogami. Czcij człowieka! – oto nauka”.

Te słowa, na życzenie Abramowskiego, umieszczono jako motto na przekładzie – który onże zainicjował – książki Kamila Lemmoniera *Pocziwi sąsiedzi*, propagującej braterstwo i wzajemną pomoc.

Profesor Stefan Kawyn, autor wnikliwej pracy „Edward Abramowski i jego idee w twórczości Żeromskiego”, przytacza list, jaki otrzymał od Konstantego Krzczakowskiego, który stale przebywał tuż przy Abramowskim i najlepiej znał jego biografię:

„*Ludzie bezdomni* była to książka, która sprawiła, zwłaszcza na młodzieży, wrażenie największej epopei świata. Książkę czytano po wielokroć, pochłaniano ją, podziwiano walory estetyczne i społeczne, a zwłaszcza wielki i tajemniczy

² Bukowiński i Kelles-Krauz należeli w swoim czasie do „kółka młodych” na Uniwersytecie Warszawskim, które było pod wpływami Zjednoczenia Robotniczego; stąd zażyłość z Abramowskim.

świat konspiracji. To był wielki wstrząs dla nas wszystkich młodych – zbliżenie do przeważnie nieznanego świata. Chciałbym dodać, że 'Ludzi', garstka nas (około 30) dostała w więzieniu, gdzie siedzieliśmy w zbiorowej celi. Książka była rozrywana i czytana głośno przy największym wzruszeniu. Najsilniejsze wrażenie robił jednak świat konspiracji. To głównie widziano. Doktryna nie była przez wszystkich ściśle ujmowana, brano ją w całości za światopogląd socjalizmu, subtelności odcieni nie odróżniano. Książka była tak emocjonująca że każdy współczesny odłam socjalistyczny znajdował w niej coś swojego. Nie można powiedzieć, że dzieło Żeromskiego wyrosło z atmosfery Abramowskiego – ono urodziło się w atmosferze życia społecznego konspiracyjnego, bardzo bujnego i bogatego, jako rezultat dobrej obserwacji i znajomości ludzi i spraw. Upatrywano nawet portrety różnych konspiratorów w osobach powieści. Może to świadczy o nastawieniu zbiorowym i niewyrobień, ale niewielu wtajemniczonych widzieć mogło bezpośredni wpływ Abramowskiego.”

W czasie, gdy Żeromski pisał *Ludzi bezdomnych*, jego znajomość z Abramowskim była bliska, lecz jeszcze nie serdeczna. Przyjaźń miała się zrodzić nieco później, pod Giewontem.

W końcu XIX wieku jednym z odcinków społecznej pracy Abramowskiego stała się Komisja Katalogowa Wydziału Czytelni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności; za tą niezachęcającą nazwą kryła się ważna instytucja. WTD było osłonką 23 placówek czytelniczych, rozsianych po Warszawie – tej ubogiej Warszawie; tam i tylko tam warstwy proletariackie mogły mieć kontakt z książką, na ich kupno stać było jedynie zamożną publiczność. Te czytelnie nie były zasobne w księgo zbiorów, przeto dobór najodpowiedniejszych tytułów przy zakupach miał istotne znaczenie kulturalne i polityczne; preferowano książki pisarzy patriotycznych oraz literaturę w zawołany sposób propagującą idee socjalistyczne. Posiedzenia komisji ściągały intelektualną elitę Warszawy. Stale był na nich Abramowski, ale i jego adwersarz Krzywicki. Przychodzili Ignacy Matuszewski, sławny już krytyk, młody publicysta i satyryk Benedykt Hertz oraz dostojny Jan Karłowicz – etnograf i językoznawca. Przychodził historyk Stanisław Krzemiński, członek Rządu Narodowego podczas Powstania Styczniowego, zawiadujący wtedy propagandą. Był w komisji wielce poważany Adam Mahrburg, filozof i krytyk nauki, był też Andrzej Niemojewski, duch niespokojny, „osobisty wróg Pana Boga”, a u schyłku życia fanatyczny antysemita. Wszyscy przeglądali książki dobierane dla plebeuszy i opatrywali je recenzjami: polecona, obojętna, szkodliwa. Abramowski konsekwentnie optował za takimi dziełami, które budziły uczucia braterskie i wstręt przemocy. Działalność ta skończyła się wreszcie politycznym skandalem, wywołanym napaścią „Przeglądu Katolickiego” i klerykalnej „Roli”, które zarzuciły WTD, iż pod jego szyldem szerzy się bezbożnictwo. Niektórzy z „komisjantów” poszli na kilkumiesięczną odsiadkę do Cytadeli. Abramowskiego wśród nich nie było, bo akurat wyjechał gdzieś za granicę.

Jeździł w tych latach bardzo dużo – do Genewy, Brukseli i Włoch, wielokrotnie do Zakopanego (które też było za granicą), do rodzinnego Stefanina, do Wisły, żeby się podleczyć, w tym samym celu do Chateau d'Oex w Szwajcarii, a nawet parę razy do Barnaułu na Sy-

berii, gdzie po zesłaniu osiedli rodzice jego drugiej żony, Emilii z Andronowskich, którą poznał i poślubił w 1901 roku w Genewie. Nie było to małżeństwo szczęśliwe, rozeszli się po kilku latach.

W tym samym roku rozpoczyna w genewskim laboratorium prof. Flournoy eksperymentalne badania psychologiczne. Jeździ też do laboratorium fizjologicznego w Lozannie. Uczy się metodami psychometrii badać funkcjonowanie serca i oddechu oraz złudzenia wzroku. To trwa krótko, bo odnawia się choroba. Wróci do eksperymentów psychologicznych dopiero za kilka lat.

Ciężko w 1902 roku przeżywa śmierć ojca, z którym czuł się bardzo związany, któremu ze wszystkiego się zwierzał. Co zrobić ze Stefaninem? Nie ma głowy do interesów, choć roi fantazyjne projekty: może intensywna gospodarka hodowlana? Może sadownictwo? Koniec końców z ulgą znajduje jakiegoś zarządcę, przestaje się frasować o majątek, zwala z siebie ciężar głupich, denerwujących spraw materialnych – choć to oznacza zdecydowane uszczuplenie dochodów.

Ilekróć Abramowski wpada do Warszawy, nie ociąża się w pracy społecznej. Po wyspie WTD tworzy własne Koło Ocen, w podobnej intencji; zbiera się ono prywatnie „najczęściej w mieszkaniu czyściutkiej i krąglutkiej panny Zofii Bassak” – jak zanotował Stempowski. Uczestnicy spotkań czytali fragmenty polskich i zagranicznych książek, kwalifikując je do spisu rzeczy „dobrych” lub odrzuconych. Obcojęzyczne, o ile zyskały aprobatę, kierowano do tłumaczenia i wydania. Abramowski wyklócał się o względy dla pisarzy-anarchistów, na przykład Lwa Tołstoja. Po którejś z kolejnych podróży Abramowskiego robota się rozpadła, a on sam stracił do niej serce i wenę. Zapalił się natomiast do organizowania „etyków” w koła i komuny.

Jedną z najbardziej znanych była komuna genewska, złożona z polskich studentów. A raczej – ze studentek, bo oprócz Abramowskiego był jej uczestnikiem tylko jeden bliżej nieznany pan Jełowicki. Pań zaś było jedenaście, w tym żona Emilia i jej siostra. Z pozostałych dziewięciu, parę później zdobyło sobie wysoką reputację w świecie towarzysko-politycznym i dobrze wyszło za mąż. Niewykluczone, że nienajlepsze pożyście państwa Abramowskich miało związek z taką dysproporcją składu komuny. Braterstwo braterstwem ale wiadomo, że panie szalały za demonicznym i otoczonym legendą Edwardem, zaś punkt 5 rozdziału II Ustawy Stowarzyszenia „Komuna” (którą on ułożył) głosił ulubione hasło Abramowskiego w nieco zmienionej wersji: „Komuna uważa, że jedynym grzechem jest krzywda ludzka, a jedyną cnotą braterstwo, poza tem każdy może robić, co mu się podoba”. Można domniemywać, że cnotę braterstwa intensywnie umacniano, choć nie wiadomo, jakimi praktykami. Znaczący też był podpunkt a) przytoczonego punktu: „Członek komuny traktuje z jednakowym poszanowaniem wszelkie stosunki miłości między kobietą a mężczyzną; uważa, że jest to nietykalna dziedzina indywidualnej swobody, do której żadna etyka wtrącać się nie powinna; zło zaczyna się wtedy, gdy wynika krzywda ludzka”.

O obowiązku wierności małżeńskiej Ustawa nie mówi nic. Zdanie pani Emilii na temat „umacniania braterstwa” pomiędzy członkami i członkiniami komuny nie jest znane, jak również nie wiadomo, czy czuła się krzywdzona. Nie można jednak tego wykluczyć, albo-

wiem o Abramowskim cała Polska mówiła, że odznacza się niepospolitym temperamentem (co ponoć znamionuje gruzlików), kult piękna i natury głosił on sam, zaś powodzenie miał niewątpliwe. A lat miał 33, przy ogromnym już autorytecie; był też szczególnie predestynowany do tego (wedle Marii Dąbrowskiej), żeby „być rozumianym i odczytanym przez kobiety”, bo znalazł „życiową nieracjonalną harmonię między sprzecznościami”.

Ustawa jest dokumentem szczegółowym, ośmiostronicowym, a jej po krewieństwo z ideologią hippizmu, „dzieci kwiatów”, chyba też Zielonych, jest niewątpliwe; można dopatrywać się prekursorstwa Ustawy w stosunku do tych prądów. Abramowski oczywiście zawarł w ustawie, w uproszczonej, hasłowej postaci, główne wątki swej „religii braterstwa”, lecz są w niej także pewne nowe pomysły i wskazówki. Rozdział I – „Zasady ogólne” – można pominąć; to streszczenie jego prac filozoficznych i etycznych. Znowu powtarza, że „Kommunizm utrzymywany przymusowo, sam sobie zaprzecza i staje się tylko nową postacią ucisku państwowego”. Ciekawsze są wytyczne rozdziału II, pod tytułem „Praktyka”. Warto je przytoczyć w obszernych fragmentach.

- 1.a) Jeżeli komuna jest robotniczą lub chłopską, i zachodzi wypadek skrzywdzenia człowieka przez fabrykanta, majstra, właściciela lub rządcę majątku itp., natenczas, zamiast wzywania pomocy inspektora lub sądu, za pokrzywdzonym ujmie się komuna i żądaniem zbiorowym, strajkiem lub bojkotem wymaga naprawienia krzywdy.
- 1.c) Jeżeli pozostają dzieci bez opieki, dzieci te nie są oddawane do domu podrzutków, lecz opiekuje się nimi komuna.
- 2.a) Komuna dba o to, aby podstawy życia, tj. odżywianie się były jednakowe dla wszystkich jej członków.
- 2.b) Członek komuny nie korzysta z dochodów z kapitału lub majątku ziemskiego, jeżeli takowe posiada.
- 2.c) Nie pożyczka nigdy nikomu na procent i weksel.
- 2.d) Nie upomina się nigdy u nikogo sądownie o pożyczone pieniądze.
- 2.e) Nie prowadzi żadnego przedsiębiorstwa, opartego na wyzysku.
- 2.f) Zwraca się swobodnie i szczerze do towarzyszy, gdy potrzebuje pomocy, nie uważając tego ani za jałmużnę, ani za pożyczkę.
- 2.g) Nie procesuje się sądownie o spadki, podziały familijne itp. i nie czyni około tego żadnych zabiegów z krzywdę innych.
3. Komuna nie uznaje żadnego państwa i dąży do tego, aby wszystkie potrzeby ludzkie zbiorowe, wymagające organizacji, zaspakajane były przez swobodne stowarzyszenie.
- 3.a) Członek komuny nie podaje skarg do sądu.
- 3.c) Nie świadczy przed sądem, chyba w celu ocalenia podsądnego.

- 3.f) Nie denuncjuje złodziei ani zbrodniarzy przed policją.
- 3.h) Nie przyjmuje żadnej posady w służbie policyjnej lub jakiegobądź służbie rządowej.
- 3.k) Nie bierze udziału w żadnych objawach legalizmu rządowego, ani w żadnych składkach przez rząd inicjowanych (jak np. proponowane gminom wiejskim składki na pomniki, szkoły, czytelnie).
- 3.l) Jeżeli nie może odmówić złożenia przysięgi (jak np. w wojsku), to jednak nie przywiązuje do niej żadnej wartości wewnątrz sumienia swego.
- 3.o) Nie oddaje dzieci do szkół rządowych. (Następuje szersze rozwinięcie obowiązków członków komun, takich jak propagowanie tajnego nauczania, zakładanie wolnych szkół i uniwersytetów, stowarzyszeń do walki z alkoholizmem oraz polubownych sądów do rozpatrywania sporów międzyludzkich.)
- 4.c) Dla ułatwienia pracownikom handlowym walki o skrócenie dnia roboczego, komuna bojkotuje te sklepy, magazyny, które nie dają odpoczynku swym najmitom, w dni świąteczne, lub gdzie warunki pracy są zbyt ciężkie.
- 5.d) Członek komuny potępia etykę „honoru”, nie przyjmuje pojedynków i nie wyzywa; nie czuje się obrażonym żadną obelgą, uważa że obelga płami tylko tego, kto ją popełnia.
- 5.e) Nie uznaje obowiązku prawdomóstwa ani przysięgi, jeżeli powiedzenie prawdy lub dotrzymanie przysięgi może przynieść krzywdę człowiekowi.
- 5.f) Potępia wszelkie objawy szowinizmu narodowego, ponieważ ten przeszkadza braterstwu ludzi.
- 6.a) W komunie nikt nikogo nie potępia, nie uznaje się wyższości i niższości moralnej; każdą wadę lub występki uważa się za zjawisko naturalne, dające się zupełnie usprawiedliwić; uważa się, że w każdym człowieku są zaczątki zarówno wszystkich złych, jak i wszystkich dobrych rzeczy, przewaga zaś jednych lub drugich zależy tylko od warunków życia.

Czy ten katalog co nieco przesadnych bądź całkiem nierealnych zasad wywarł jakiś wpływ na młodzież tamtego pokolenia? Bezspornie tak. Był on intensywnie kolportowany i dyskutowany na wielu zgromadzeniach młodzieżowych, pisała o nim prasa uczniowska i studencka. Koła samo kształceniowe, dyskusyjne, wykładowe, przesączone „etyzmem” mnożyły się masowo, pod rozmaitymi szyldami, w różnym stopniu aprobując „abramowszczyznę”. Kilkadziesiąt powstało jeszcze przed ogłoszeniem Ustawy, lecz podług wskazań Abramowskiego, znanych szeroko w społeczeństwie i bezskutecznie ośmieszanych przez wszelkich „poważnych ludzi”, bez względu na ich światopogląd: przez marksistów ortodoksyjnych i pepesowskich, przez narodowych demokratów, przez klerykałów. Jedynie radykalna inteligencja sympatyzowała, choć nie bez zastrzeżeń, z młodzieżowym nurtem,

jaki poruszył Abramowski. Ta właśnie radykalna inteligencja i ta młodzież miała się stać wkrótce trzonem „pokolenia niepodległościowego”.

Rzecz jasna, wiele kół się szybko rozpadło, lub przejawiało znikomą aktywność, inne odrzucały część „nieżyciowych” przepisów Ustawy. Ale wiele trwało, promieniowało na szerokie kręgi młodzieży, nawet robotniczej. Formalnie, zgodnie z zasadą samorządności, nie zawiązała się żadna organizacja, scalająca koła etyków i im pokrewne „komuny” czy grupy oświatowe. Działy one samodzielnie, na skalę własnych możliwości, upodobań i przekonań. Faktycznie wytworzyło się jednak luźne centrum kierownicze ruchu „etyków”, programujące go wedle wytycznych Abramowskiego, nie traktowanych rygorystycznie; te wątki, które stały w zbyt już rażącej sprzeczności z wymogami życia i utrwalonymi zasadami obyczajowymi były pomijane. Obok Abramowskiego energicznie działała filozofka Zofia Bassakówna, Konstanty Krzeczkowski, Stanisław Berent i Ryszard Gieysztor, który propagował nauki Abramowskiego wśród młodzieży polskiej w Lipsku, a przede wszystkim Władysław Michalski i Maksymilian Zand.

Oprócz Krzeczkowskiego, nikt z wymienionych nie zapisał się trwale w dziejach polskiej myśli, ale dwaj ostatni – obaj przedwcześnie zmarli – za służą choćby na kilka zdań. Michalski był chyba najżarliwszym fanatykiem nowej etyki, wszystkie poświęcone jej wydawnictwa z pomocą siostry hektografował i rozprowadzał, organizował kółka studenckie, instruował robotnicze. Zand – wedle słów Krzeczkowskiego – „był duszą organizacji robotniczej etyków. Człowiek niezwykle skromny i łagodny, głęboko odczuwający krzywdy, poniżenie ludzkie, miał wielką wytrwałość czynu w najtrudniejszych warunkach. Miał talent grupowania ludzi. Dzięki jego staraniom i wysiłkom organizacja urosła i rozwinęła się poważnie i przetrwała do okresu wielkiego masowego ruchu w 1905 roku.”

Historycy w swych opracowaniach albo pomijają ruch etyczny, albo – zwłaszcza gdy są marksistami – piszą o nim z pobłażaniem, jako o zjawisku bezpłodnym, ekscentrycznym i utopijnym. Dokładnie tak, jak pisano o Zielonych w RFN, póki nie zaczęli awansować do Bundestagu. Historycy, poza chlubnymi wyjątkami, zwykli bowiem lekceważyć takie okoliczności w badanych epokach, jak klimat moralny, ludzka psychika oraz konwencje obyczajowe i towarzyskie, wskutek czego pomijają obojętnie *główne* motywacje ówczesnych postaw i zachowań politycznych, kształtujących tok dziejów. W konsekwencji, nic z tego nie rozumiejąc, skłonni są wspierać się wymyślonymi przez siebie „prawami historii”, które są jedynie projekcją ich własnych przekonań ideologicznych, rzutowanych wstecz i ilustrowanych wybiórczo faktami, które owe projekcje podbudowują – z pominięciem tych, co im przeczą.

Ruch etyczny wychował wiele setek, a oddziałal na tysiące młodych ludzi, którzy na zawsze pozostali wierni idei służby społecznej; to oni po tem tworzyli Legiony albo polityczne zaplecze ruchu niepodległościowe go, a jeszcze później budowali wolną Polskę. Cóż z tego, że „koła etyków” nie mieszały się, albo programowo odcinały od polityki? Przecież to też było polityką, mającą na celu nadanie priorytetu wartościom głębszym, z pominięciem partyjniactwa, małych gier politycznych. Wielka Gra jeszcze nie była możliwa, lecz trzeba się było do niej sposobić duchowo. W tym był ideologii Abramowskiego sens polityczny.

Zresztą, jeśli zdarzała się szansa i rzeczywista potrzeba, „etycy” od działań politycznych nie stronili. Po wpadce łódzkiej drukarni „Robotnika” i aresztowaniu Piłsudskiego w 1900 roku, PPS była zagrożona rozsypką. Rolę jej rozbijacza podjął niezmordowany intrygant (i zajadły wróg Abramowskiego) Ludwik Kulczycki, który przeciągnął na swoją stronę lwowską organizację PPS i na tej bazie skrzykiwał dalszych dysydentów do Polskiej Partii Socjalistycznej „Proletariat”, zwanej potocznie III Proletariatem. Strategią jej miał być terroryzm, stara i obsesyjna myśl Kulczyckiego, chociaż od dawna nie tylko PPS, ale i SDKPiL odrzuciły ten oręż walki rewolucyjnej. Spora część robotników, tych najmniej świadomych, lubiła jednak zamachy, gardłowała, żeby się nie patyczkować tylko strzelać, więc dawała kredyt zaufania Kulczyckiemu.

Koła etyków, optyjące za tworzeniem organizacji masowych i zdecydowanie przeciwne stosowaniu przemocy, podjęły rozległą i skuteczną kontrakcję propagandową, kształtując opinię publiczną przeciwko metodom gwałtownym i tym samym oddając wielką przysługę PPS. III Proletariat nie rozwinął skrzydeł. PPS odbudowała się prędko, spora część dysydentów powróciła w jej szeregi, jeszcze więcej młodych inteligentów i robotników (wśród nich wielu „etyków”) zasiłło podziemie. Ta pomoc *nota bene* nie spotkała się z wdzięcznością, przeciwnie, PPS – podobnie jak SDKPiL – uporczywie walczyła przeciw ruchowi etycznemu, co jeszcze bardziej mroziło stosunki Abramowskiego z byłymi towarzyszami. Skądinąd brakuje informacji, czy on osobiście dyrygował kampanią „etyków”, wspierającą PPS po secesji Kulczyckiego; ale musiał ją przynajmniej aprobować. Trudno przypuścić, aby mogło być inaczej, skoro miał na ten ruch wpływ decydujący. Ponadto, czyż można sobie wyobrazić, by tak dogłębnie przejął się własnymi naukami etycznymi, że aż wielkodusznie wymazał z pamięci wszelkie podjazdy Kulczyckiego przeciwko niemu osobiście?

W ważnej pracy Bohdana Cywińskiego o myśli politycznej Abramowskiego zawarty jest wywód o dużym dynamizmie wychowawczym i aktywności społecznej ruchu etyków, mimo że był on przez konkurentów ideowych traktowany z przymrużeniem oka. Pamiętnikarstwo z owych lat w pełni potwierdza tezę Cywińskiego, choć przeoczył on (chyba nie z nie świadomości?), że „etycy” w parę lat później stanowili także zrab wolnomularstwa, które było zapleczem ruchu niepodległościowego w Kongresówce po klęsce rewolucji 1905 roku. Ale chwilowo jesteśmy przed rewolucją. Warto tedy, za Cywińskim, podkreślić, że Piłsudski był w pełni świadom dużego błędu, jaki jego partia popełniła, lekceważąc „dziwaczne” inicjatywy inteligentkie. W 1903 roku, gdy jego wpływy w kierownictwie PPS przejściowo osłabły, pisał do Tytusa Filipowicza:

„Tak! – spadliśmy – i nie dlatego, że jesteśmy słabsi absolutnie, niż dawniej, że mniej mamy ludzi, pieniędzy i tak dalej, że się nie rozwijamy, lecz dlatego, że nas przerosło, albo jeśli chcecie – przerasta społeczeństwo. Zmieniliśmy się nie my, lecz środowisko nasze i to, co wystarczało dawniej, by panować nad wyobraźnią i uczuciem ludzi, rewolucyjnie na stawionych, to obecnie nie wystarcza (...) Oczekiwano od PPS długo rozwiązania tych lub owych wątpliwości i jakiegoś nowego słowa w polityce, bo każdy odczuwał jakieś zmiany zachodzące wkoło i oczekiwał odpowiednika w PPS. Rzucano się na różne dro-

gi – etyka, kultura, oświata, nauka itd., na każdej z tych dróg tej tajemniczej PPS nie spotykano, owszem widziano, że na wszystkich tych drogach nie PPS, lecz oni sami są pionierami, początkującymi to lub owo (...) Deptaliśmy dawne ścieżki, trzymaliśmy się, jak dawniej, utartej drogi, powtarzaliśmy z uporem fakirów: niepodległość, konspiracja, bibuła, bibuła, niepodległość, konspiracja i tak w kółko... Pomyślcie o tym, że wszędzie zastajemy już narodową demokrację (na prowincji), opierającą się właśnie na tej inteligencji, przy. pomnijcie, że wszystkie nasze postępowe pisma hołdują zasadom socjalizmu, wyobraźcie sobie, że jak w Warszawie, tak na prowincji co krok spotkać można grupki lub pojedynczych inteligentów chcących coś robić, dłubiących taką lub inną robotę, chcących książek nie broszur (...) a zrozumiecie, że tej inteligencji rozmaicie nastrojonej, a często wyraźnie socjalistycznej jest huk... Musimy koniecznie się tym zająć, musimy dać strawę tej masie inteligencji, musimy postarać się stworzyć jakieś łączniki między nami – partią a socjalistycznie usposobioną inteligencją...”

Taki łącznik w istocie był: Abramowski, stale wierny głównym ideałom PPS, przewodzący etykom, popularny wśród inteligenckich radykałów.

Piłsudski go doceniał wbrew wielu swoim adiutantom; czy jedynie przez stary sentyment? Wydaje się, że pewne związki mieli nadal, mimo odrębności filozofii i założeń taktycznych.

W lutym 1905 roku zjawił się w Zakopanem Stanisław Downarowicz, z koła młodzieży lwowskiej, prosząc Piłsudskiego, aby przyjął go do PPS. „Ziuk” postawił warunek: musi być wpierw oczyszczony z zarzutów prowadzenia przeciwko PPS akcji „destrukcyjnej i samozwańczej” w szeregach III Proletariatu, po secesji Kulczyckiego.

Zwołano sąd obywatelski. Piłsudskiego reprezentował Michał Sokolnicki. Downarowicza bronił Dionizy Beck. Superarbitrem – po odmowie Żeromskiego – przyjaciele Piłsudskiego zgodnie wybrali Abramowskiego.

Downarowicz odzegał się od błędu Kulczyckiego i sąd uznał go zdatnym do dalszych czynności politycznych.

Zakopane było wtenczas stolicą kultury, nie tylko zimową, a także maleńką enklawą polskiej niezależności. Często lub stale przebywają tam Żeromski, Strug, Orkan, Daniłowski, Kasprowicz, zajeżdża „od czasu do czasu znakomity już, ale nieuleczalnie chory Edward Abramowski” - odnotował Michał Sokolnicki, wybitny piłsudczyk. Istotnie, całymi tygodniami leży w łóżku, kończąc pracę „Socjalizm a państwo”. Ale ma i okresy wielkiej aktywności towarzyskiej. Na Krupówkach spotykało się wszystkich ludzi polityki i kultury z zaborów austriackiego i rosyjskiego. Na nartach jeździli nieliczni śmiałkowie, popijano tego, lecz nade wszystko politykowano.

Abramowski znajduje licznych i chętnych słuchaczy, choć na ogół nie spośród tych, którzy grupują własne kręgi zasłuchanych w ich słowa. Tuż przed rewolucją 1905 roku modyfikuje on nieco zasady swych komun, ponieważ zupełnie nie sprawdzało się pryncypium wspólnoty materialnej; ku wielkiemu jego żalowi ludzie nie wyrzekali się własnościowych

nawyków. Komuny zatem ograniczają się do wspólnoty duchowej. W Zakopanem należą do niej Józef Beck (ongis działacz Związku Robotników Polskich, teraz społecznik w Limanowej i ojciec małego Józefa, który będzie sanacyjnym ministrem spraw zagranicznych), oraz Dionizy Beck zjednujący do komuny górali-rzeźbiarzy. Należy mistyczny myśliciel Julian Kowalczyk, człek niezwykłego ponoć talentu, którego nie obrócił w słowo drukowane. Należy Romuald Minkiewicz, autor egzaltowanego manifestu „O pełni życia i o komunie duchowej”, rozwijającego idee braterstwa w sposób czułościowy i pompatyczny, ale nie pozbawiony polemicznego zmysłu: „Utopia, mówicie? A czyż socjalizm nie zaczął się od utopii, od marzeń?” Z pań znana jest Irena Zielińska. Do ścisłego kręgu zakopiańskich etyków dołącza Władysław Orkan. I on uległ urokowi Mistrza. Jego Pieśni czas noszą znamiona inspiracji duchowej Abramowskiego. W późniejszym eseju *Bractwa żywe i nieżywe* Orkan napisze:

„Każde poczynanie gromadne, skupieniowe, którego założeniem jedność, rozsypie się, jeśli na pokrewieństwie dusz nie jest oparte (...) Zrozumiał to śp. Edward Abramowski, gdy kooperatywy (...) doradzał – po zawodach – oprzeć na związkach przyjaźni.”

Przygotowując się do obszernego dzieła *Teoria socjalna* Orkan sporządził konspekt pracy oraz spis lektur, które zamierzał przestudiować. Jest to taki ciąg nazwisk: „Stirner. Prodhon. Bakunin. Marks. Kropotkin. Tołstoj. Abramowski. Schopenhauer. Kant. Bergson. Nietzsche. Giordano Bruno.”

Przynosi zaszczyt towarzystwo, w jakim znalazł się Abramowski.

Nieco z boku, ale też blisko Abramowskiego, trzymali się Jan zwany „zakopiańskim Sokratesem” i Stanisław (ojciec Witkacego) Witkiewiczowie. W „chacie” Stanisława znowu spotykają się, teraz już bardzo zaprzyjaźnieni, Żeromski z Abramowskim. Często bywają u siebie, a to znów na spotkaniach w Bibliotece Publicznej, albo na spacerach do Doliny Białego. Wielki pisarz jest urzeczony wielkim filozofem. „Myśliciel ten w otoczeniu Żeromskiego był tym, który krystalizował dlań poglądy epoki” – zauważył prof. Kawyn, a jego myśli, luźne bądź ujęte w pełne systematy – oraz sama jego osobowość – znajdują stałe odbicie w dziełach Żeromskiego.

Dostrzegł prof. Kawyn, że postacie z opowiadań Żeromskiego:

- mają na ustach społeczną etykę,
 - „widzą brata w człowieku”,
 - są wrażliwe na nieszczęście,
 - odczuwają braterstwo z ludźmi pracy,
 - wystrzegają się egoizmu jak grzechu,
 - tworzą jakby „kooperację serc umęczonych”,
 - są bezwzględnie wierne idei,
- i tak dalej; słowem – są ilustracją i przekąźnikiem tez Abramowskiego. Jan Witkiewicz przytwarza:

„O Abramowskim mówił Żeromski zawsze z entuzjazmem; powoływał się często na jego autorytet.”

Kiedyś nazwał go „jasnym duchem” swej epoki. Była to sympatia odwzajemniana. Abramowski był rad, że wielki pisarz objawił tak żywą chęć upowszechniania jego naukowych poglądów, albowiem intuicji artystów dowierzał znacznie bardziej, niżeli krytycyzmowi uczonych.

Jan Witkiewicz: „Często słyszałem z ust jego (Abramowskiego) szczery zachwyt o Żeromskim jako artyście”.

Nie tylko chwalili się nawzajem. W *Dziejach grzechu* zawarł wręcz Żeromski portret przyjaciela, „pana z mglistoniebieskimi oczami, z mocno przerzedzoną czupryną i ryzawą bródką”, który spełniał funkcję urzędnika od kooperatyw w folwarku Bodzanty, urządzonym... dość wiernie po dług Ustawy Stowarzyszenia „Komuna”. W powieści realizacja idei Abramowskiego była znacznie łatwiejsza niż w życiu.

Abramowski promieniował na zakopiańską młodzież – i ceprów, i górali, zjednywał inteligencję. Szeroko dyskutowano *Socjalizm a państwo*, którą to pracę Żeromski ocenił entuzjastycznie, acz spierał się o pewne definicje. Uczestnicy jednego z zebrań zobowiązali się do szerzenia słowem żywym i pisaniem idei Abramowskiego, co Żeromski potraktował z powagą i wkrótce założył w Nałęczowie Stowarzyszenie „Światło”, oparte stricte na pomysłach swego idola. Obaj panowie lansowali pomysł, ażeby Jan Witkiewicz zaprojektował w Zakopanem gmach Uniwersytetu Wakacyjnego, który ściągałby młodzież z trzech zaborów.

Bliscy sobie byli wrażliwością na krzywdę, kultem twórczej swobody, niechęcią do wszelkiego doktrynerstwa i sekciarstwa, poetycznością, poglądami na istotę sztuki, gorliwością w służbie społecznej, no a zwłaszcza sympatią dla socjalizmu w PPS-owskiej wersji, choć z lekkim skłonem na lewo. „Szkicem programu” – jednokartkową notatką, projektującą postępowe, demokratyczne urządzenie Polski, którą Abramowski dał Żeromskiemu, tenże przejął się tak żarliwie, że zaproponował od razu... ośmiu przyszłych wykonawców projektu. Niezbyt trafnie skądinąd. Był wśród nich Stanisław Brzozowski, który Abramowskiego (z wzajemnością) starał się nie dostrzegać. I był papież ludzi myślących „realnie” – pozytywistów, Aleksander Świętochowski, który odpowiedział Żeromskiemu chłodno, że zawsze stał z daleka od pomysłów Abramowskie go. Nic dziwnego. Krążyli po zupełnie odmiennych orbitach społecznego myślenia.

Dzieje grzechu – to następny etap wchłaniania filozofa przez pisarza. Literacką transpozycją Abramowskiego jest motyw działania ku prze kształceniu człowieka w anioła (a raczej jego wyzwolenia w człowieku), motyw wyrzeczenia się własności prywatnej i władzy nad ludźmi, motywy pomocy wzajemnej, solidarności, życzliwości. Idea kooperatywności. Prometejska walka jednostki ze Złem na świecie. Projekcja idealnej konstrukcji społecznej, „państwa słońca”. No i miłość, bez pruderii, miłość wyzwolona...

Patrząc z dystansu, bez emfazy, cały ten zakopiański okres abramowszczyzny (w latach 1903-1905) nie był szczególnie płodny w myśli trwałe i wartościowe, ani w działania, które się zapisały w historii. Idee Abramowskiego, zaaplikowane w snobistycznym światku

zakopiańskiego „lepszego towarzystwa”, uległy konwencjonalizacji i spłaszczeniu. Formy wyparły treść. Piękna ideologia „etyzmu” zaczęła się zmieniać w burleskę, gdy zaszczycono ją na gruncie przesączonym młodopolskimi nastrojami egzaltacji, rodem z Przybyszewskiego; nabrała cech tak mistycznych i ezoterycznych, że aż groteskowych. Taki był wtedy psychomoralny klimat podtatrzański, taka obyczajowość, kapitalnie sparodiowana w *Zakopanoptikonie*, zapomnianej powieści Andrzeja Struga.

Rzeczywiście, było to panopticum. Przeplatały się w nim mętniactwo pseudofilozoficzne, czułościowość artystowska, histeria, hucpa niedouczonej ideologii, frazes, poetycka tromtadracja, mitologia chłopomańska, kwik zachwytu nad góralszczyzną i jurnością górali, a wszystko nasączone rują i poróbstwem. („Teraz już nie tylko panna Prześciera-dlanka oraz parę pań uprzywilejowanych, ale całe dziesiątki niewiast, dotychczas nieposzlakowanych, pokazywano sobie palcami. Jakaś trudna do wiary jawnogrzeszność zastąpiła dawne kulturalne formy przyzwoitego, dyskretnego kochania” – pisał Strug. — „... górale prowadzą na powrozie osiemdziesięcioletniego szanownego starca złapanego w lesie na gorącym uczynku z niedoroślą pastuszką”).

A na Gubałówce zbierali się zwolennicy Kultu Słońca, aby o świecie modlić się do Jutrzenki.

Nie ulega wątpliwości, że Strug w swej książce w krzywym zwierciadle przedstawił krąg adoratorów Mistrza Abramowskiego. I można przypuszczać, że jego ironia celnie ówczesne śmieszności dotykała.

Nie od rzeczy będzie przytoczenie większego fragmentu groteski Struga:

„Koło Ochrony Ciszy i Majestatu Gór postanowiło opuścić splugawiony teren uzdrowiska i uczynić masowy i manifestacyjny exodus członków, zarządu oraz Straży Górskiej na Halę Waniliową, gdzie w zaciszu mgieł mieli zająć przewiewne koleby i w otoczeniu krów i owiec odpocząć na łonie natury, żywić się kwaśnym mlekiem i żentycą oraz nadzieją na rychłą pogodę.

Koło Wskrzesicieli Ducha dopiero w czwartym tygodniu deszczu spostrzegło, że deszcz pada i że w ogóle stosunki w Zakopanem są niezupełnie normalne. Stało się to wskutek obicia doktora Siemienieczki przez patrol numer trzy Samoobrony. Obicie to było nieoficjalne, gdyż patrol nie urzędował wówczas, lecz w charakterze zupełnie prywatnym powracał z jakiejś pijatyki. Było to proste nieporozumienie, wywołane zresztą przez samego okulistę. Doktor miał obyczaj rozmawiać ze sobą podczas samotnych mistycznych przechadzek, myślał zaś i mówił do siebie w języku hermetycznym, łańciscko-chaldejsko-sar-peladonowskim (...)

Ten wypadek poruszył jednak braci-wskrzesicieli. Zetknąwszy się z ludźmi dowiedzieli się o wielu klęskach ludzkości. A ponieważ byli to wszystko ludzie do ostateczności uduchowieni, a jako tacy płacili dobrem za złe, więc na naradzie odbytej z zachowaniem zwykłego rytuału postanowiono siłą woli, mocą zaklęć i nieodpartą potęgą pewnych obrzędów powstrzymać nawałę deszczu.”

Andrzej Strug nie tylko nie należał do zakopiańskiej komuny Abramowskiego i trzymał się od niej z daleka, lecz – jak widać – z palącym sarkazmem podpatrywał jej śmieszności.

Zabawnie się toczą ludzkie losy. W kilkanaście lat później Strug objął władzę nad masonerią, którą zainicjował i patentem Wielkiego Wschodu zalegalizował Abramowski.

Nie wybiegajmy w przyszłość. Chwilowo jest zima, otwierająca rok 1905 i z Warszawy nadchodzą porażające wieści o masakrze na Placu Grzybowskim. Zaczyna się rewolucja. Dość tych zabaw i dość filozofowania.

Abramowski zaczyna – po raz wtóry – swoje Dni Polityczne.

REŻYSER ZZA REWOLUCYJNEJ SCENY

„Nadeszła ta chwila, kiedy musimy powiedzieć sobie i światu, to nowe, a ważne słowo: *wypowiadamy walkę*. Wypowiadamy walkę rządowi rosyjskiemu o wolność Polski i o wolność każdego człowieka w Polsce. Od tej chwili zaczyna się dla nas nowe życie i nowa epoka w historii naszej...”

Tak Abramowski rozpoczął broszurę pod buńczuczным tytułem *Zmowa powszechna przeciw rządowi*, która na początku 1905 roku wyszła w Krakowie. Pomimo skromnego, dwutyśnecznego nakładu broszura dociera szeroko. Ludzie przepisują ją po domach, wyrwijają sobie z rąk.

W kraju sensacja: Edward Abramowski wypowiada wojnę rządowi! Odzew przekracza wszystko, co mógł sobie do tej pory zapisać na koncie życiowych sukcesów. Wysublimowany inteligent powraca na usta robotników, przemawia do ledwie rozbudzonych chłopskich serc. Z zapartym tchem czytają:

„Dotychczas, jakkolwiek wszyscy sarkaliśmy na ucisk moskiewski i przeklinaliśmy go w duszy swojej, jakkolwiek propaganda rewolucji ludowej, zabronione słowa prawdy, rozchodziły się szeroko między ludem pracującym, jakkolwiek strajki i manifestacje robotnicze od wielu lat już nie dają spokoju władzom, to jednak na ogół, w całym mnóstwie spraw życia byliśmy posłuszni rządowi.

Tak, byliśmy posłuszni. Przyjmowaliśmy bez oporu wszystkie jego prawa i rozporządzenia; korzystaliśmy dobrowolnie ze wszystkich jego urządzeń i instytucji; pomagaliśmy w jego piętężnych, oświatowych i kulturalnych przedsięwzięciach. Polska zespała się coraz bardziej z państwem carów, przyzwyczajając się do jego praw i administracji, ulegała we wszystkim i pomimo nurtujących ją myśli buntowniczych była posłuszną znieawidzonemu rządowi. Tak jednak zawsze być nie mogło, i oto nadeszła chwila, kiedy to posłuszeństwo wypowiadamy.”

Lecz w jakim sposobie posłuszeństwo wypowiedzieć? Otóż, przez *strategię bojkotu*, która musi wesprzeć strajki robotnicze, uliczne demonstracje i akcje zbrojne. *Zmowa* stanowi pełny wykład tej strategii.

Determinacja Abramowskiego nie jest jakąś nagłą erupcją jego duchowego zbuntowania, lecz wynikiem kalkulacji politycznej, którą w broszurze wyklada systematycznie. Wojna japońska osłabiła carski rząd. 200 tysięcy straconych żołnierzy. Zatopiona flota. Gwałtownie

rosnące długi państwowe. Podkopana materialna i moralna potęga caratu. Bunty rezerwistów, poskramiane siłą. Naród rosyjski rozpoczął wreszcie walkę pod hasłem wolności! Powszechne żądanie konstytucji. Wielkie strajki robotnicze. Bunty chłopów.

„Wróg nasz, rząd carski, słabnie!” – woła Abramowski. Godzina wybiła.

„Czekaliśmy na to sto lat przeszło, znosząc najstraszniejszy ucisk; czekaliśmy na chwilę odpowiednią, w którejby nasze marzenia o wolności na czyn zamienić się mogły; więc kiedy ta chwila nadeszła, było by naszym samobójstwem politycznym, gdybyśmy ją przeczekali z założonemi rękami. Stalibyśmy się wtedy narodem niegodnym wolności, narodem który sam siebie skazuje dobrowolnie na wieczną niewolę. Nie myślmy bowiem, że ktokolwiek da nam wolność bez nas samych. Gdyby nawet naród rosyjski wywalczył ją teraz od cara, to wywalczył by ją dla siebie, a nie dla nas, i Polska, gdyby dziś jeszcze zachowywała się biernie, nie starając się wyzyskać dla siebie chwili obecnej, to po zostałaby i nadal niewolnicą tego nowego rządu, jaki by Rosja sobie stworzyła.”

Wizjonerstwo i w tym punkcie nie zawiodło Abramowskiego. Jasno też widział, że świadomość rodzi się w walce:

„Znajdą się jednak tacy co powiedzą, że zamało jest jeszcze ludzi uświadomionych między nami, abyśmy mogli już teraz przystąpić do czynów. Ale w tym właśnie tkwi wielki błąd. Nic bowiem tak nie uświadamia ludzi jak samo życie, jak czyny dokonane. Słowami nie każdego można prze konać. Wiele rzeczy ludzie słuchają, ale im nie wierzą. Jeśli zaś zobaczą na przykładach, że można nie poddawać się rządowi, że można urządzić sobie życie ludzi wolnych, że można z rozporządzeniami władzy walczyć i im się opierać skutecznie, to wtedy dopiero zrozumieją, że wolność, o której się mówi, nie jest sprawą gadania tylko, ale sprawą życia, i przyłączą się do niej.”

W ten sposób, ogłasza Abramowski, zmusimy w końcu zarówno rząd rosyjski, jak i świat cały, by uznał, że Polska jest żywą i wolną. Zapowiada, że ziści się hasło rzeczypośpolitej ludowej polskiej. Ale jeszcze nie używa tu wielkich liter, nie wypowiada słowa: „państwo” ani „niepodległość”. Chyba w momencie pisania *Zmowy* nie jest jeszcze przekonany, iż możliwa jest niepodległość państwowa Polski w oderwaniu od Rosji, myśli raczej o obaleniu caratu, o konstytucji i autonomii, o szerokich wolnościach *kraju* i obywateli. Wolności te wylicza i omawia.

„Potrzeba sejmu polskiego zwołanego do Warszawy. Sejm taki, jest to wiec całego narodu, złożony z jego przedstawicieli (...) Sejm polski po winien trwać ciągle i być najwyższą władzą w kraju”.

Teoretykowi „bezpaństwowości” nadal „państwo” nie chce przejść przez usta.

„Potrzeba nieograniczonej wolności słowa, zebrań, strajków i stowarzyszeń, zatwierdzonej jako wiekuiste i nietykalne prawo narodu, którego żaden rząd ani sejm nawet nie może nigdy odebrać. Bez tego bowiem przy najlepszym rządzie ludzie byłiby zawsze niewolnikami.”

Tutaj znów przenikliwa intuicja Abramowskiego przestrzega przed zawierzeniem władzy, zdolnej deptać własne decyzje człowieka.

„W stowarzyszeniach spoczywa siła narodu i wolność człowieka. Gdzie stowarzyszenia są liczne i rozmaite, tam życie ludzkie jest swobodne od policyjnej administracji, a wszelkie zamachy rządu na wolność spotykają się z niezwalczonym oporem. Gdzie zaś stowarzyszeń nie ma, tam policja panuje wszechwładnie, sama wszystkim administruje i rządzi, nie zwracając uwagi na rozmaite potrzeby i interesy mieszkańców. Ludzie niestowarzyszeni nie mogą oprzeć się żadnym gwałtom rządu, są na jego łasce.”

Kolejny postulat Abramowskiego – to potrzeba wolności sumienia:

„Wszelkie sprawy religijne, jak zakładanie stowarzyszeń religijnych, bractw, kościołów, naznaczanie biskupów i księży, powinny być zupełnie usunięte z pod dozoru policji i państwa.”

Jak na człowieka, oskarżanego przez klerykałów i narodowców o bezbożnictwo, trudno o bardziej jednoznaczną deklarację.

Dezyderaty następne:

„Potrzeba nietykalności osoby i domu, to jest, ażeby policja nie miała prawa wchodzić do niczyjego mieszkania, gwałcić spokoju domowego i więzić ludzi samowolnie nie czekając nawet na wyrok sądu.”

Tego punktu Abramowski nie rozwinął, był wystarczająco jasny.

„Potrzeba szkoły wolnej, to znaczy, żeby nauczanie nie było pod wyłączną władzą ani rządu, ani gminy, lecz żeby każdy człowiek i każde stworzenie mogło zakładać szkoły, jakie uważa za potrzebne i nauczać według swoich przekonań (...) Bez wolnej szkoły nie ma wolności duszy ludzkiej. Szkoła urabia człowieka, urabia jego pojęcia i jego charakter; jest to więc zbyt ważna rzecz, abyśmy ją w ręce rządu jakiegokolwiek oddawać mieli. Szkoła rządowa trzymać się musi ściśle programów nauczania ułożonych przez ministra oświaty i z tego powodu wpaja ona w umysły młodzieży te tylko pojęcia i przekonania, jakie wyznają przedstawiciele rządu. Wszystkie zaś inne pojęcia i uczucia są w szkole rządowej zabronione; wszystko, co myśl ludzka stwarza nowego, wszystko, co jest odmiennem od sposobu widzenia ludzi, stojących u steru władzy, chociażby

to były rzeczy najbardziej piękne i prawdziwe, wszystko to nie ma dostępu do szkoły rządowej. I dlatego szkoła, która zostaje pod wyłączną władzą rządu, wypacza umysły młodzieży i tamuje ich rozwój, urabia je wszystkie na jedną modłę i zabija najcenniejszy dar człowieka - wolność myśli.”

W tej kwestii ani jedno słowo Abramowskiego nie wymaga korekty ani aktualizacji. Był on świetnym pedagogiem, ubóstwianym przez młodzież, wychowawcą wyczuwającym groźby edukacji totalitarnej.

Dalsze punkty Zmowy wyrażają potrzebę zniesienia wojska i zastąpienia go, w razie konieczności, powszechnym uzbrojeniem ludu, na wzór szwajcarski; potrzebę zupełnego uniezależnienia gminy wiejskiej od rządu („Powinna być ona małą republiką”); potrzebę samorządności miast („Policja miejska powinna zależeć wyłącznie od rady miejskiej; rada zaś tylko od swoich wyborców”); potrzebę równouprawnienia wszystkich mieszkańców kraju, bez różnicy wyznań i narodowości, ani płci.

Kluczowe znaczenie ma III Rozdział Zmowy, dotyczący zalecanej taktyki walki o wolność:

„Przyjdzie zapewne czas i warunki odpowiednie, kiedy będziemy mogli i musieli walczyć z przemocą moskiewską z bronią w ręku. Ale ruch zbrojny nie jest jeszcze całą walką: jest to tylko jeden rodzaj walki. Chcąc zaś, aby walka nasza była zwycięską, trzeba rozwinąć wszystkie sposoby walki, atakować rząd carski ze wszystkich stron, szkodzić mu wszędzie, we wszystkich jego urządzeniach i czynnościach. Takim ciągłym atakowaniem i niszczeniem rządu będzie *zmowa powszechna* przeciw niemu.”

Następuje omówienie rozmaitych form zniewolenia i *dobrowolnego* ubezwłasnowolnienia się społeczeństwa, poprzez płacenie podatków, służenie w wojsku, korzystanie z sądów i opieki policji, posyłanie dzieci do szkół państwowych, przyjmowanie rządowych posad, grę w państwowej loterii (Toto-Lotka nie znano) przez składanie oszczędności w bankach i kasach rządowych itd. To wszystko łącznie powoduje, że zaborca „rozpanoszył się, zorganizował się u nas potężnie, rozpostarł całą sieć swoich urządzeń i instytucji, połączył się z nimi tysiącem węzłów, by tem silniej nami rządzić”.

Jak się bronić?

„Zanim przyjdzie czas, kiedy powiemy rządowi moskiewskiemu: precz z ziemi naszej! - stajemy teraz przed nim ze słowami: *precz z życia naszego!*” – odpowiada Abramowski. Należy tworzyć społeczeństwo niezależne, do minimum ograniczając kontakty z władzą. „Od tej chwili rząd moskiewski ma być *rządem wyklętym* w Polsce, którego nikt nie uznaje, do którego nikt się nie zbliża”.

A zatem:

- rządowe szkoły niech stoją pustkami,
- jego sądy nie będą żadnymi naszymi sądami,

- od jego policji niczego nie chcemy i nie damy jej żadnej pomocy,
- papierów wartościowych nikt kupować nie będzie, aby straciły wszelką cenę,
- żaden Polak nie przyjmie dobrowolnie służby państwowej,
- ani grosza na rządowe potrzeby, na żadne składki.

Zmowa taka jest dla rządu straszna, oprzeć się jej długo nie może. Jest ona tem straszniejsza, że przy każdej innej walce rząd może osiągnąć swego przeciwnika, uwięzić, zabić, ukarać – ale przy zmowie powszechnej nic zrobić nie może. Wróg jego jest wszędzie i nigdzie; zadaje ustawicznie ciosy, a sam jest niepochwytny.”

Tu wyobraźnia zawiodła jednak Abramowskiego. Nie przeczuł, iż zmasowany terror plus napór propagandy może skutecznie przeciwdziałać tak tyce „zmowy”. Co nie znaczy, że bojkot jest skazany na niepowodzenie. Gandhi podobną bronią wyrwał Indie z pęt kolonializmu. Ale jest też prawdą, że kolonializm kolonializmowi nie równy: bywają zmurszałe i bywają twarde jak żelazo. Póki nie zardzewieją.

Rozwinął i ukonkretnił Abramowski pozytywne wskazówki¹, jakie zawarte były już w innych pracach politycznych, szczególnie w Ustawie Stowarzyszenia „Komuna”: że należy tworzyć własne życie społeczne, zakładać sieć tajnej oświaty, spory rozstrzygać przez sądy polubowne, tworzyć własne straże ochronne (takie, jak obecnie służba parkingowa), zakładać związki pomocy wzajemnej, budując w ten sposób zręby przyszłej Rzeczypospolitej ludowej polskiej. Całą akcją powinny kierować tajne, zaprzysiężone „związki zmowy”, tworzone od dołu: we wsiach, miasteczkach, osadach fabrycznych, zakładach przemysłowych, kopalniach, skupiskach rzemiosła.

Abramowski ma pełną świadomość, że musi to być proces długi, liczony na lata, nie miesiące i że napotyka na przeciwdziałanie:

„Wiele też mocy i hartu potrzeba będzie, aby w tem postanowieniu wytrwać, zawczasu to sobie powiedzmy, że będziemy wystawieni na liczne pokusy i namowy, usiłujące postanowienie nasze złamać. Będą namawiać nas do tego i urzędnicy carscy, i ludzie przez rząd przekupieni, i wszyscy ci, dla których łaska rządu milsza jest, niż wolność kraju, niż ich własna dusza. Będą też pewnie odmawiać nas od zmowy i niektórzy księża, tacy, co po stronie rządu stoją, zapomniawszy o nauce Chrystusa.”

Tym księżom Abramowski, w zasadzie nadal obojętny religijnie, oznajmia, iż zmowa przeciw rządowi jest prawdziwym wyrazem nauki Chrystusa, podbudowując swe stwierdzenie cytatami z Ewangelii Łukasza, Mateusza i Jana. Niestety, ówczesny episkopat stał

¹ Zapewne roztargnieniu, bo chyba nie złej woli ani tym bardziej ignorancji pana X.Z. W „Spotkaniach”, niezależnym piśmie młodych katolików (Nr 19-20), można przypisać fakt, iż w zbiorze tekstów o strategii Non-Violence zamieścił kilka zdań ze *Zmowy*, z komentarzem, iż Abramowski „mówi raczej o akcji biernego oporu”. Cytowane teksty należy znać w całości; to chroni przed głupstwami.

na stanowisku, żeby oddawać carowi co carskie... Jeszcze naród nie mógł się spodziewać poparcia w swych niepodległościowych dążeniach ze strony hierarchii. Kościół myślał tylko o przetrwaniu.

Zmowa, acz nie wszystkie jej zalecenia dawały się od razu wcielać w życie (nawet autor przestrzegał, by chwilowo płacić podatki i nie unikać poboru do wojska, gdyż to pociągnie represje) stała się busolą dla wielu organizacji, które zawiązały się w trakcie rewolucji i wspierały ruch po lityczny. Nie tylko czerpały ze *Zmowy* inspirację, ale niektóre nawet zwróciły się do Abramowskiego o kierowniczy udział w ich pracach.

Filozof „oderwany od życia”, księżycowy „kolega-duch” znowu zna laź się w oku cyklo-nu.

Niespodziewanie dla samego siebie, w styczniu 1905 roku został dokooptowany do Komitetu Głównego Polskiego Związku Ludowego – pierwszej w Kongresówce politycznej organizacji chłopskiej, założonej przez nauczycielstwo, pod przewodnictwem inż. Stefana I. Brzezińskiego. Abramowski zawsze doceniał pracę oświatową i społeczną na wsi, pod tym względem wyróżniał się spośród socjalistycznych działaczy; jako pierwszy z nich tworzył nawet coś w rodzaju programu sojuszu robotniczo -chłopskiego, ale jego osobista znajomość wsi była nikła. W Stefaninie z chłopami kontaktował się przecież z pozycji panicza; choćby stosunki te były życzliwe, nawet familiarne (a takie podobno były), to klasowy dystans nie zacierał się, przynajmniej ze strony chłopów. Poza tym, o ile wiadomo, z ludnością wiejską stykał się jedynie pod postacią zakopiańskich juhasów.

Zdumiewa zatem, że *Zmowa* i inne jego teksty zdobyły na wsi poczytność i popularność. To, co kompozycyjnie stanowiło owych tekstów irytującą słabość - wielokrotne powtarzanie tych samych myśli, a nawet dosłownych zwrotów – było właśnie ich zaletą agitacyjną wobec niewyrobionych czytelników. Wbijał w ich umysły kilka zasadniczych tez, sentencji i wskazówek, utrwałał je w pamięci. Twórcy PZL przyjęli Abramowskiego entuzjastycznie i natychmiast zlecieli mu napisanie kolejnej broszury *Nasza polityka*, która ukazała się w 1906 roku. Obie one i w generalnych ideach, i w poszczególnych sformułowaniach, zostały wykorzystane w projekcie programu PZL. Pisał ponadto Abramowski artykuły do tajne go „Głosu Gromadzkiego” i pism jawnych: „Zagon”, „Życie Gromadzkie” i „Wieś Polska”, wygłaszał odczyty na kursach wakacyjnych nauczycieli wiejskich, wykładał w szkole rolniczej w Pszczelinie, uczestniczył w pracach kierownictwa; „utopista” był świetnie rozumiany przez „zdrowo myślących” działaczy chłopskich! Jednoznacznie wynika to z relacji tych, wśród których Abramowski wtedy pracował – i jest jednomyślnie pomijane przez obecnych historyków ruchu ludowego. Podobnie jak ich koledzy od ruchu robotniczego, najchętniej by w ogóle Abramowskiego wykreślili z historii, bo zupełnie im nie pasuje ani do „klasowych”, ani do „ideowych” szufladek, w których ładnie układają – co postępowe a co reakcyjne, tu lewica, tam prawica. Abramowski w tych szufladkach się nie mieści.

To nie znaczy, że między kierownictwem PZL a Abramowskim istniała idylliczna zgodność. Szczególnie Brzeziński zachowywał wobec niego krytyczny dystans i słusznie zwracał uwagę, iż zbyt optymistycznie ocenia szanse bojkotu państwa. Przecież władze podejmą wszelkie możliwe represje, by przywrócić porządek administracyjny! Podejmując tak stanowczą akcję – perswadował – trzeba się liczyć z przeciwdziałaniem tych, wobec któ-

rych jest wymierzona. Nadmierne nadzieje – sądził – wiąże Abramowski ze stowarzyszeniami. Mimo zastrzeżeń, PZL przyjął *Zmowę* do swego ryzostunku propagandowego, albowiem operowała „mocny mi hasłami i obrazowymi słowami”; już sam jej tytuł budził nastrój bojowy. Przyznał też Brzeziński, że etycznie-kooperatywno-bezpaństwowy socjalizm Abramowskiego miał większy wpływ na kształtującą się ideologię ruchu ludowego, aniżeli wszelkie inne orientacje socjalistyczne. Istotnie; późniejszy *agrarium* stronnictwa chłopskich opierał się na ideach Abramowskiego: forsowaniu spółdzielczości, wierze w to, iż droga postępu wiedzie nie przez rewolucję, lecz przez doskonalenie postaw moralnych, oraz na humanizmie i priorytecie dobra jednostki.

Na Zjeździe PZL w 1906 roku Abramowskiego nie było, lecz odczytano jego projekt programu i w zasadniczych zrębach – akceptowano. Nie w całości jednak i nie bez głosów krytycznych. Chłopi kręcili nosem na dziwaczne pomysły „bezpaństwowości” oraz na „komunizm” – nawet taki, jak go pojmował Abramowski. Mimo nieporozumień i niesnasek do zerwania nie doszło; tyle, że filozof usunął się na dalszy plan, jak zawsze zwykł był czynić, gdy nie godzono się na całość jego poglądów. Wkrótce zresztą władze wyaresztowały kierownictwo PZL, organizacja upadła.

Później, w latach 1910-1915, Abramowski nawiązał kontakty ze Związkiem Chłopskim, pilotowanym przez PPS. Niewątpliwie wpływał też na myśl polityczną PSL „Wyzwolenie” – przez swych masonskich „braci”, którzy stanowili kierowniczą kadrę tego wielkiego, postępowego i dynamicznego stronnictwa chłopów byłego zaboru rosyjskiego.

Powróćmy do ideotwórczej działalności Abramowskiego.

Brozura *Nasza polityka* powiela treści *Zmowy*, lecz zawiera parę nowych akcentów. Oповіда się Abramowski za bojkotem wyborów do rosyjskiej Dumy, zdecydowanie krytykując odwrotne stanowisko endecji. Ponieważ nie udało się spolonizowanie gmin, proponuje: „... niech nie będzie żadnej gminy! gminy kasujemy i basta!” – co chłopi przyjęli powściągliwie. Konkretyzuje też program praktyczny: w każdej *parafii* trzeba założyć spółki gospodarskie, stowarzyszenie spożywcze, kasę pożyczkowo-oszczędnościową oraz związek robotników i służby; w wielu wsiach instytucje te powstały istotnie.

Najciekawszy jest jednak następujący fragment:

„Taka gmina, to podstawa nowej wolnej Polski... Im więcej takich gmin, takich stowarzyszeń powstanie, tem lepiej będzie rozszerzać się nasza polska rzeczpospolita... Przejdzie ona kordony austriackie i niemieckie, oprze się o góry i morza... i w końcu ogarnie sobą i zjednoczy wszystkie ziemie ludu polskiego!”

Jest to *novum* w politycznej myśli Abramowskiego; pierwszy raz tak jasno wysunął hasło zjednoczenia Polski.

Oczywiście (tu pozostaje wierny hasłom starym) rząd w nowej Polsce „nie będzie mógł wtrącać się ani do religii, ani do oświaty, ani do gospodarstwa, ani do przemysłu”. Jego rolą będzie tylko obrona granic, które obejmą – pisze – nie tylko Królestwo, ale i Galicję, Śląsk, Poznańskie, Prusy...

Skoro już mowa o granicach, o polskiej Rzeczypospolitej, o scaleniu trzech zaborów, o rządzie i sejmie w Warszawie, to w końcu musi paść słowo: państwo. Abramowski jest niezmiernie przywiązany do swej „beipaństwowości”, obróconej przeciw państwu carskiemu i zarazem traktowanej jako dalekosiężny ideał ogólnoludzki. A jednak decyduje się z nią rozstać, gdy dostrzega szansę wyzwolenia Polski. Psychologicznie musiała to być decyzja trudna, dramatyczna. Toż dopiero przed rokiem wyszła jego główna praca *Socjalizm a państwo*, w której teoretycznie dowiódł zbędności tego ostatniego... Czy narazić się na zarzut niekonsekwencji w nauce, czy też na posądzenie o niedostatek patriotyzmu? Oczywiście, wybiera niekonsekwencję, lecz, jak to naukowiec, próbuje chociaż cokolwiek uratować ze swej doktryny beipaństwowości, przenieść ją na inny horyzont dziejowy.

W rękopisach przejranych po śmierci Abramowskiego odnaleziono no tatkę bez tytułu i nie datowaną, lecz niewątpliwie pochodzącą z momentu łamania się jego dawnych poglądów, które w opinii publicznej były z nim całkiem zrośnięte.

„Niemożliwość beipaństwowości. O zasadniczej niemożliwości nie można twierdzić, jeżeli nie ma nic tak zasadniczego w życiu ludzkim, co by wymagało państwa (takiego zasadniczego jak np. potrzeba zrzeszania się). Inna kwestia niemożliwość *historyczna* chwili obecnej lub przyszłej, tj. pytanie, czy zostanie co z państwowości? Odgadywać przyszłość jest niemożliwe. Można to tylko twierdzić, że przetwarzanie państwa zależy od przetwarzania tych czynników ludzkich, które go wymagają i od ich przeciwwagi, mogącej lub nie sprowadzić wyraz spół-państwa do niezbędnego historycznego minimum.”

Owo „spół-państwo” oznaczało niezbędne nadal współistnienie państwa z kooperatywizmem, którego teorią właśnie w tym czasie Abramowski był wielce zajęty i zafascynowany. Ogólnie zaś z notatki powyższej widać, że Abramowski ustalił sam dla siebie: aczkolwiek państwo krępuje swobodę człowieka, to jego odrzucenie jest jednak w danym momencie historycznym niemożliwe, ludzie do tego nie dorośli, trzeba zatem kompromisowo myśleć o *zwężeniu* tych funkcji państwa, które najbardziej ograniczają wolność człowieka. Takim zresztą myśleniem jest przeniknięta cała broszura *Nasza polityka*; broszura skromna i niedoceniana, lecz będąca punktem zwrotnym w stosunku Abramowskiego do spraw państwowości, a ściślej: państwowości *polskiej*. Będzie to państwo wprost idealne: wolne gminy, powszechne głosowanie, całkowita swoboda człowieka, nietykalność stowarzyszeń, które zaspokoją wszelkie ludzkie potrzeby... Żadnej biurokracji, żadnego etatyzmu! Niepodległa i Zjednoczona będzie zacisznym, ciepłym domem wszystkich Polaków, i nie tylko Polaków, bo także Rusinów, Litwinów, Żydów i wszystkich innych ludzi zamieszkałych w jej granicach.

Jest to po prostu wizja „szklanych domów”, bezsporne źródło inspiracji Żeromskiego.

Ale oto zachodzi ciekawa rozszada w myśleniu dwóch wielkich twórców.

Abramowski zaczyna ułaskawiać państwo, bo przecież będzie to państwo polskie, jego państwo. Żeromski zaczyna zawczasu frasować się, gdy jeszcze Polski nie ma, czy będzie

ona tak piękna, jak marzenie o niej? Znakomite świadectwo tej rozterki Żeromskiego, zrodzonej oczywiście wskutek interioryzacji przekonań Abramowskiego, daje Michał Sokolnicki:

„... nim jeszcze zaczęła się walka, zanim jeszcze cieniem rzeczywistości stała się Polska, już się wzbudziły wątpliwości myślowe i etyczne: czy Polska ta aby nie będzie zbyt silna, czy przypadkiem nie spróbuje też sądzić i karać, pilnować i wymagać, nakładać obowiązki i trzymać ludzi w ryzach społecznego rygoru” (...) „Oderwany od życia charakter poglądów Żeromskiego wzbudził we mnie reakcję. Nie mogłem się pogodzić z poświęceniem szeregu dlatego, aby nie została przypadkiem poświęcona jednostka. Nie byłem w stanie uznać tej trącej do stojewszczyzną zasady moralnej, że jeśli ktoś został oskarżony, to pewnie jest niewinny, jeżeli był o coś podejrzany, to właśnie dlatego jest prawdopodobnie czysty jak ła...”

Istotnie, z perspektywy *praktyków* walki niepodległościowej ta cała abramowszczyżno-żeromszczyżna musiała się jawić jako zgnilizna inteligencka. Dlatego, ażeby odświeżyć się tężyzną duchową, ale przede wszystkim fizyczną, Sokolnicki brał pod rękę Kazimierza Sosnkowskiego, już pierwszego pomocnika „Ziuka” i za Byrcynem-Gąsiennicą łazili po Tatrach, tam, gdzie można było spać. W ten sposób – jak opisuje – wyzwalał się z miazmatów psychicznej zniewieściałości. I miał Sokolnicki za złe Żeromskiemu jego *Różę*, w której pytał, czym stanie się Polska pełna „sołdatów z białymi orłami na kaszkietach”. Zareplikował mu zatem w „Przedświcie”, a Żeromski się na niego śmiertelnie obraził.

Kto wie, czy pisarz nie miał trochę racji.

Róża kwitowała klęskę rewolucji 1905 roku. Wybiegliśmy w przyszłość. Tymczasem rewolucja jest w rozkwicie, a w niej rozkwita Abramowski.

Dzieje rewolucji 1905 roku należą do najbardziej zmistyfikowanych i zakłamanych kart polskiej historii, i to pomimo istnienia ogromnego zaplecza źródłowego – dokumentów, pamiętnikarstwa, prasy – które umożliwiają rzetelną syntezę. Takowej nie ma. Nie powstała ani w okresie międzywojennym, ani powojennym. Ideologiczne potrzeby mitotwórcze (i wtedy, i teraz) wypaczyły prawdę o tamtych dramatycznych dniach, w których społeczeństwo polskie uległo głębokiej transformacji psycho logicznej i politycznej.

W Polsce niepodległej historiografia eksponowała bohaterstwo niepodległościowych akcji terrorystycznych Organizacji Bojowej PPS, którymi dyrygował Józef Piłsudski, a dowodzili wspaniali ludzie – Stefan Okrzeja, Henryk Baron, Józef Montwiłł- Mirecki, ofiary carskich szubienic. W Polsce komunistycznej historiografia uwypukla, rzecz jasna, rolę SDK-PiL, jako rzekomego motoru tej rewolucji i podkreśla jej epokowe znaczenie dla rozwoju klasowej świadomości proletariatu.

Obie te interpretacje, dyktowane celami ideologicznymi, bardzo łatwo podeprzeć całym prawdziwymi przykładami, dowodzącymi ich zasadności. Z chaosu rewolucyjnego można wypreparować linie „patriotyczną” lub „internacjonalną”, a także obmierzłą linię endeckiej ugody i reakcyjności. Rzeczywistość jednak była bardziej złożona, a w jej obrazie

historycy nie dostrzegali wielu postaci, nawet pierwszoplanowych – na przykład Abramowskiego – jeśli nie można ich było włączyć do tej czy tam tej legendy politycznej, służącej władzy.

Unikają także historycy stwierdzenia podstawowego: że rewolucja 1905 roku była klęską obu tych obozów, niepodległościowego i klasowego, choć później zdobyły się one mitami, czerpanymi z różnych rewolucyjnych epizodów.

To, że w 10 lat po rewolucji wkraczające do Kongresówki Legiony spotkały się z chłodną obojętnością lub wrogością społeczeństwa – było bezpośrednim skutkiem defetyzmu, jaki rozpanoszył się po klęsce i rosyjskich represjach, znacznie bardziej krwawych niżeli po poprzednich powstaniach narodowych.

To, że PPS rozpadła się na „starych” (PPS-Fracja Rewolucyjna) i „młodych” (PPS-Lewica), że obie straciły swój dynamizm i zerwały z pierwotnymi założeniami, także było bezpośrednim skutkiem przegranej rewolucji. Frakcja stała się niewrażliwa na problematykę społeczną i przekształciła w „obóz Piłsudskiego”, zaś Lewica zobojętniała na niepodległościowe tęsknoty narodu, a skończyła swój żywot utopieniem się w partii komunistycznej.

SDKPiL na długo przestała się w Polsce w ogóle liczyć, prowadziła żywot marginalny i wstrząsany drgawkami sekciarskich sporów. Jej kierownicza kadra rychło podzieliła się na tych, co stali się bolszewikami radzieckimi, na czele z Dzierżyńskim i Marchlewskim, i na tych, co próbowali się stać bolszewikami niemieckimi, na czele z Różą Luksemburg i Tyszką.

Nawet narodowa demokracja przegrała w rewolucji, chociaż w inny sposób: moralnie. Obrzydliwy i jawnie deklarowany lojalizm wobec caratu odstręczył od niej znaczną część dawnej klienteli.

Czyż zatem pozostało puste pole? Wszyscy przegrali? Klęska była ostateczna?

Nie. Nie istnieją klęski ostateczne, jedynie śmierci przysługuje ten przymiotnik.

Społeczeństwo, choć tak ciężko doświadczone, choć – który to raz? – wyzute z wiary w szansę walki zbrojnej, choć zrażone do orientacji, jakie wskazywały mu dawne partie polityczne, nie uległo atomizacji. Przeciwnie, zbierało się i konsolidowało w innych, niepartyjnych konfiguracjach, realizowało nowe cele. Służyły one ratowaniu narodowej tożsamości, mimo że ideę niepodległościową odsuwały na dalszy horyzont.

Wiele było powodów do żalu i rozpacz, ale nie mało też przesłanek do optymizmu.

Krótkotrwały, lecz powszechny strajk szkolny przeobraził się w wieloletni bojkot państwowej szkoły rosyjskiej. A to doprowadziło do nie bywałego rozkwitu tajnego polskiego nauczania na wszystkich szczeblach. Cała generacja „niepodległościowa” zdobywała wiedzę potajemnie lub na emigracji; gardzono tymi, co pozostali w szkołach rządowych.

Na miejsce rozbitego aresztami Polskiego Związku Ludowego szybko wyłoniła się grupa ludowców (głównie inteligentów doceniających chłopstwo) skupiona wokół pisma „Zaranie”. Bardzo skutecznie realizowała ona hasło „Sami sobie”, krystalizujące idee Abramowskiego; organizowała społeczne i gospodarcze życie wsi, rozbudzała patriotyzm chłopów.

Powstał wreszcie, z dużym opóźnieniem wobec Zachodu, zwarty i masowy ruch spółdzielczy, z programem nie tylko gospodarczym. Polską specyfiką było mocne akcentowa-

nie społeczno-wychowawczej funkcji spółdzielczości, a także jej roli narodowej, trafnie przeto Stanisław Thugutt nazwał to „budowaniem twierdz polskości”.

Te i im podobne inicjatywy organicznikowskie nie były – trzeba to podkreślić – inspirowane, jak w XIX wieku, przez pozytywistów; ich patriarcha Aleksander Świętochowski w ogóle w tym czasie przestał się liczyć jako autorytet społeczeństwa. Były one inspirowane i prowadzone przez inteligentnych radykałów, zupełnie odmienną formacją moralno-intelektualną, która odwoływała się nie do kategorii *dorabiania się*, lecz *powinności* i na piedestał podniosła ideał „służby społecznej”.

Inteligency radykałowie w większości, tak jak Abramowski, byli po przednio działaczami albo sympatykami PPS, lecz zrazili się do metod konspiracyjno-powstańczych, uznali po klęsce rewolucji, że są przedwcześnie, niedopasowane do sytuacji ogólnopolitycznej. Teorie i praktyczne wskazania Abramowskiego były do tych nastrojów i przekonań idealnie adekwatne; „odkryto Abramowskiego” na nowo. Jego *Zmowa*, przedtem (a i dziś) obwiniana o „utopizm”, okazała się najbardziej płodną, realistyczną (dziś też) propozycją *polityczną*.

Strajki, rezygnowanie z posad rządowych, bojkot szkolny, tworzenie tajnej oświaty – to *expressis verbis* było w *Zmowie*. I to robiono.

Samoorganizowanie się społeczeństwa w nielegalnych związkach, skupianie się większych gmin wokół parafii – gorąco propagowała *Zmowa* i *Nasza polityka*. To też robiono.

Kooperatyzm i samorządy – sprawy ze szczególną mocą podnoszone przez Abramowskiego, również realizowano w praktyce.

Odrodzenie moralne, w tym tępienie elementarnych plag społecznych, jak alkoholizm – było nadrzędną dyrektywą jego ideologii. I to także wywierało spory wpływ na masowe postawy, np. zmalało pijaństwo i rozszerzała się samopomoc społeczna. Ta ideologia uformowała „Judymów”, niezliczonych, cichych społeczników i „kulturników”, którzy przysposobili masy ludowe do życia dla Polski – a potem w Polsce. Thugutt oszacował na 60 tysięcy kadre spółdzielców „nie tylko wyrobionych już jako tako w życiu społecznym, ale stanowiących doskonały materiał, z którego przyszłe Państwo Polskie mogło czerpać swoich funkcjonariuszy”. Kiedy Henryk Jabłoński, w 1947 roku, pisał pracę „Z dziejów obozu legionowo-peowiackiego”, zwrócił uwagę na „socjalizm” Pierwszej Brygady, który: „dokładniej i ściślej należałoby może nazwać radykalizmem inteligencko-mieszczzańskim, przepojonym zresztą do szpiku kości szlachecką fantazją, w najlepszym tego słowa znaczeniu”. Nie dostrzegł natomiast, że tyleż w tym etosie było z Piłsudskiego, co z Abramowskiego. Wszak do Pierwszej Brygady zaszerogowali się przeważnie ci właśnie uczniacy z Kongresówki, którzy po 1905 roku – wedle nakazu Abramowskiego – bojkotowali szkołę rosyjską, uczyli się na kompletach, a na studia gremialnie przyskali do Galicji.

Jeśli zatem przyjąć za marksistowskimi krytykami, że ideologia Abramowskiego była anarchosyndykalizmem, to trzeba dobitnie powiedzieć, iż anarchosyndykalizm był w Polsce wyjątkowo owocną doktryną.

Na przełomie czasów rozbiorowych i niepodległych wniósł w rozwój społeczeństwa nie mniej, niż narodowo-organicznikowski prąd Dmowskiego, a znacznie więcej niż chudziutki nurt klerykalny, nie wspominając już o rewolucyjnym marksizmie, którego rola organizatorska była znikoma; ograniczał się do negacji. Co najważniejsze zaś: prawicowa ideolo-

gia – nacjonalistyczna, chadecka, konserwatywna, były w *praktyce* antyniepodległościowe, a skrajnie lewicowa, internacjonalna była antyniepodległościowa także z założenia. Abramowszczyzna zaś była nasycona ideą walki i pracy dla Ojczyzny.

W kobiecy, może w nazbyt egzaltowany sposób wyraziła to Maria Dąbrowska: „Abramowski był z tej samej rasy ludzi, co Mickiewicz... Nie dzieje się w Polsce nic naprawdę wielkiego, mądrego i dobrego, coby nie było przeniknięte świadomie, albo podświadomie, ideami Abramowskiego”.

Myśląc chłodniej: nie wszystko z bujnej twórczości teoretycznej Abramowskiego i z jego praktycznych dyrektyw sprawdziło się. On sam stopniowo odrzucał myśli, które uschły lub nie wykiełkowały. Czy jednak istniała kiedykolwiek kompletna doktryna, która by się kompletnie sprawdziła? Od chrześcijaństwa po marksizm nie sposób takowej znaleźć. I dalej na nic podobnego się nie zanoszą. Dlatego właśnie trzeba zamyślić się głębiej nad Abramowskim – jakież to wspaniałe zadanie dla filozofów – bo z jego doktryny sprawdziło się jednak i sprawdza bardzo wiele. Zapewne dlatego, że – jak dostrzegł Andrzej Flis – „... najbardziej znamionym rysem socjologii teoretycznej Abramowskiego jest nieustanne dążenie do unikania stanowisk skrajnych, wyrażające się w tendencji do syntetyzowania poglądów przeciwnych. Zaś jego oryginalny system stanowi – naszym zdaniem – próbę pogodzenia materializmu z idealizmem”.

Należy jednak zadać ważne pytanie: czy to rzeczywiście myśli i działania Abramowskiego wywarły tak duży wpływ na pozytywne zjawiska psychomentalne i społeczne, jakie się w Kongresówce ugruntowały po 1905 roku?

Nie powinno być co do tego wątpliwości. Nie mieli ich ci, którzy wtedy żyli i kształtowali polską rzeczywistość. W Abramowskiego, choć był ciężko schorowany wstąpił, jakby demon aktywności: pisał, przemawiał, doradzał, dopingował innych – przerzucał się do różki z ulicy na ulicę.²

Helena Radlińska, która stworzyła Koło Wychowawców – organizację nauczycielską, najenergiczniej wspierającą strajk i bojkot, podjęte przez młodzież – wielokrotnie w swych wspomnieniach podkreślała *decydujący* wpływ ideologii Abramowskiego na prace tego Koła. To on „poddawał tok myślowi i odczuwaniom, sprowadzał utopie do nakazów moralnych”. To jego bezpośredni uczniowie z „kół etyków” (już nazywani abramowszczykami) nadali strajkowi powszechny charakter, zjednali dlań poparcie społeczności rodziców, stworzyli podziemną sieć edukacji – ściśle wedle paragrafów *Zmowy*.

O roli Abramowskiego w PZL i późniejszych organizacjach ludowych była już mowa.

Najrozleglejším polem ówczesnej aktywności Abramowskiego był Związek Towarzystw Samopomocy Społecznej – półjawna, nigdy nie zalegalizowana federacja piętnastu stowarzyszeń, głównie oświatowych. O wielu z nich wiadomo niewiele, lub zgoła nic, ale warto je przypomnieć choć z nazwy:

² Samochody były jeszcze rzadkością, zresztą nie prześcigały dorożek. „Gazeta Polska” z 31.X.1905 roku zamieściła rozporządzenie oberpolicmajstra Warszawy, że „Szybkość jazdy w mieście nie może przenosić 12 wiorst (ok. 13 kilometrów) na godzinę”.

Koło Wychowawców, założone już wczesną jesienią 1904 roku, było wiodącą organizacją postępowego nauczycielstwa.

Ludowe Koło Oświaty stanowiło przykrywkę Polskiego Związku Ludowego.

Organizacja Uniwersytetu Wolnego była kontynuacją sławnych „uniwersytetów latających”, protektorką tajnej nauki.

Koło Bibliotek Miejskich grupowało działaczy Wydziału Czytelni WTD.

A oto dalsze organizacje członkowskie ZTSS: Towarzystwo Pedagogiczne, Nauczycielskie Koło Samokształcenia, Kobiectwo Koło Samokształcenia, Koło Oświaty Miejskiej, Koło Wychowawców, Koło Wychowania Przedszkolnego, Koło Nauczania Służących, Prowincjonalne Koła Oświatowe, Koło Wydawnicze, Koło Bezpłatnego Nauczania.

I wreszcie: Towarzystwo Kooperatystów, które wymaga odrębnej charakterystyki.

Sądząc z nazw, działalność zdecydowanej większości tych stowarzyszeń ząbębiała się lub pokrywała. Nie dążono jednak do ich scalenia, a tylko do luźnego sfederowania w duchu wspólnoty naczelných ideałów. Nie wiadomo, czy było to odbiciem taktycznych sugestii Abramowskiego, który w *Zmowie* zalecał tworzenie wielu organizacji samodzielnych i samorzędnych, czy też efektem podziałów ideowych, albo ambicji i rywalizacji personalnych. A może istniała już świadomość, że dyspersja podziemnych komórek czyni cały system konspiracji mniej wrażliwym na ciosy represyjne, natomiast ich centralizacja ułatwiłaby policyjną inwigilację?

Zarząd ZTSS dał znać o swoim istnieniu małą ulotką w marcu 1905 roku; informowała, iż celem związku jest organizowanie społeczeństwa do walki z rządem nie w drodze walki bezpośredniej, lecz bojkotu życia państwowego oraz budowania własnych organizacji społecznych przez obywateli podbitego kraju. Było to więc dokładne odzwierciedlenie intencji *Zmowy*: ZTSS powstał po to, by je realizować. W czerwcu ukazała się obszerniejsza odezwa, pod którą figurowały już nazwy wszystkich zrzeszonych organizacji.

Wśród założycieli i czołowych działaczy ZTSS roilo się od „etyków” oraz członków „komun duchowych” związanych od lat z Abramowskim. Helena Radlińska tymi słowami scharakteryzowała tę zbiorowość:

„Pragnienia były dalekie od pożądania władzy, panowania. Zwycięstwo wyobrażano sobie jako doprowadzenie do 'powszechnego współuczestnictwa' (...) Zainteresowanie rozległymi dziedzinami kultury (u wielu i sztuki), pragnienie przetwarzania życia codziennego sprawiało, że społecznicy nie mogli się pomieścić w ramach partii czy zaprzysiężonych organizacji spiskowych. Tęsknili do pracy w słońcu, do jawności, do prawdy; lubowali się w różnorodności życia gromadnego. Poczucie rzeczywistości zmuszało ich do stanięcia w obozie walki (...) Stąd zwiążanie się z ruchem rewolucyjnym. 'Dopiero od obalenia rządu carskiego zacznie się nowe życie'. Cechą najbardziej swoistą ZTSS jest stałe bezustanne podkreślanie łączności walki i tworzenia (...) Uważali, że najskuteczniejszą walkę można prowadzić poprzez budowanie nowych instytucji, rozsadzających więzi niewoli”.

Związek Towarzystw Samopomocy Społecznej był zrośnięty z politycznymi i moralnymi wskazaniem Abramowskiego, realizował jego pomysł, ażeby budować Polskę jako organizm niewidzialny, niepostrzeżenie wymykający się panowaniu zaborców. Uderzające jest podobieństwo z ideałami, aspiracjami i metodami działań „Solidarności”, szczególnie od momentu, gdy zmuszona była przejść do podziemia.

Do głównych organizatorów ZTSS, oprócz samego Abramowskiego, należeli ludzie z jego bezpośredniego otoczenia. Stefan Brzeziński przewodził działaczom ludowym. Maksymilian Zand był najczynniejszy w kołach robotniczych. Konstanty Krzczkowski zbierał „etyków”. Radlińska, poza kręgiem nauczycielskim, sekretarzowała także całemu ZTSS, a z drugiej strony – to ważne – należała do najbliższych pomocnic Piłsudskiego. Dr Rafał Radziwiłłowicz organizował Towarzystwo Kooperatystów i pierwsze, jeszcze nieformalne kółka masońskie.

Koncentracja wysiłków ZTSS wokół oświaty była wyrazem przekonania, że trzeba gotować się do długofalowej walki z caratem, a nie do kolejnej rewolucji w bliskiej perspektywie. Ale dwie, i to najtrwalsze organizacje, realizowały inne zadania: Ludowe Koło Oświaty wspierało wszelkie formy integrowania się mas wiejskich, zaś Towarzystwo Kooperatystów – miejskich warstw pracujących.

Poza ZTSS, lecz także w łączności z Abramowskim, inteligencja techniczna zrzeszała się w Związku Polskich Inżynierów i Techników, który w swym programie zawarł szereg postulatów ze Zmowy. Dla działaczy kulturalnych Abramowski pisze – bardzo zresztą zdawkowy i powielający tezy kooperatyizmu – program „organizacja kultury polskiej”; przeszedł on bez echa. Natomiast prawnicy, wśród nich jego przyjaciele, utworzyli Koło Obrońców Politycznych, które wkrótce stało się drugą – obok Towarzystwa Kooperatystów – komórką krystalizacyjną masonerii Wielkiego Wschodu.

Wszystkie inicjatywy, które uruchomił Abramowski w latach rewolucji – bądź uruchomiły się wedle jego pomysłów – okazały się doskonałymi inwestycjami na przyszłość. Owszem, doznały represji, poniosły straty w czasie reakcji stołypinowskiej, lecz rozwijały się nadal: i niezależna oświata, i samorządny ruch chłopski, i spółdzielczość. Rolę koordynatora przejęła kapituła masońska i kontynuowała dzieło Abramowskiego.

On sam wiosną 1908 roku wyjechał do Brukseli. Coraz ciężiej schorowany uznał, że chwilowo niczego więcej nie zdoła zrobić dla kraju. Postanowił wrócić do swojej ulubionej psychologii doświadczalnej, ażeby zostawić trwałe ślady także w nauce.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ I MASONERIA – BLIŹNIACZE CÓRY ABRAMOWSKIEGO

Dla niewtajemniczonych zestawienie absurdalne: co wspólnego mają sklepy spożywcze „Społem” z ezoterycznymi obrządkami łóż masońskich? Dziś rzeczywiście nie mają nic wspólnego (zwłaszcza, że loże dawno w Polsce istnieć przestały). Ale ongiś miały łączną genezę i pokrewną ideologię. Mówiąc ściślej, pokrewieństwo to istniało tylko w Kongresówce, gdyż w zaborze pruskim i austriackim tworzenie spółdzielczości (głównie kredytowej) szło zupełnie innymi torami. A i w Kongresówce spółdzielnie (głównie spożywcze) powstawały na długo przed wskrzeszeniem masonerii, która uległa kasacji w 1821 roku, na mocy nakazu cara Aleksandra I. Pierwsza – warszawski „Merkury” – zawiązała się w 1869 roku, gdy Edward leżał w kołysce.

Nieliczne spółdzielnie, które za wzorami zachodnimi tworzone w Kongresówce pod koniec XIX wieku, były efemerydami i nie miały charakteru ludowego czy demokratycznego. Ich zarządy spoczywały w rękach sfer bogatych, które traktowały swe udziały jako dobrą lokatę kapitału: dywidendy parokrotnie przekraczały stopę bankową. Bariera wysokich udziałów członkowskich skutecznie zagrażała dostęp robotnikom. Wyjątkiem była spółdzielczość przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Zresztą, nawet owe „mieszczańskie” spółdzielnie niemal w komplecie upadły w rezultacie kryzysu ekonomicznego na początku XX wieku. W 1902 roku figurowało ich w rejestrach Królestwa Polskiego zaledwie 44, ale i z nich „Żywych w tym właśnie roku zostało tylko pięć – pisał Thugutt. – Wynika stąd, że łatwość upadania była znacznie większa, niż trudność powstawania”.

Do przełomu doszło w trakcie rewolucji 1905 roku, a zwłaszcza zaraz po jej załamaniu; każdy rok przynosił setkę lub więcej nowych spółdzielni. Historycy podkreślają, że warstwy posiadające, przerażone rozmachem ruchu robotniczego, usiłowały kanalizować go w łóżysku bezpiecznym dla burżuazji (niemało spółdzielni założyły kręgi chadeckie i narodowe). A ponadto – dowodzą – ujawniona w trakcie rewolucji dynamika mas torowała drogę spółdzielczości – „taborom ruchu robotniczego” – bo nie wszyscy przecież mieli odwagę być bojownikami z bronią w ręku.

To prawda. Był jednak jeszcze trzeci, najważniejszy czynnik: w 1906 roku, ściśle wedle nauk Abramowskiego, powstało w Warszawie Towarzystwo Kooperatystów, które zjednoczyło żywiłowy ruch, nadało mu sprawne formy organizacyjne i przyciągnęło warstwy proletariackie. „Utopista” okazał się realistą: skoro antyrządowa walka otwarta ustała i wzmagają się naciski władzy, to trzeba robić to, co robić nadal można.

Stefan Żeromski zanotował w „Sen o szpadzie i sen o chlebie”, że w 1905 roku:

„... w małym pokoju na Chmielnej czterej panowie mniej wykwintnie ubrani zakładali redakcję czasopisma 'Społem'! z zamiarem szerzenia w kraju ruchu kooperacyjnego.”

Byli nimi: sam Żeromski, który zaproponował tytuł pisma (istniejącego do dziś, jako skromna, szara branzówka), dr Rafał Radziwiłłowicz, który działał w charakterze motoru niezliczonych inicjatyw społecznych, Stanisław Wojciechowski, pierwszy redaktor tego czasopisma – potem Prezydent RP, oraz Edward Abramowski, który upraktyczniał swój anarchosyndykalizm propagowaniem spółdzielczości i tworzeniem jej kompletnej teorii. Już w książce *Socjalizm a państwo* Abramowski wspierał doktrynę bezpieczeństwa prezentacją zalet związków zawodowych, a przede wszystkim kooperatyw spożywczych, rolnych, mleczarskich i innych. Posługiwał się bardzo szeroką egzemplifikacją korzyści, jakie spółdzielnie przy noszą ludziom w Szwajcarii, Belgii, Anglii, Danii i Francji.

Broniąc ruchu spółdzielczego przed atakami marksistowskich doktrynerów, Abramowski przeprowadził ważny wywód, pokazujący jego styl myślenia politycznego. Ważny także dzisiaj.

Doktrynerzy nie uznają – pisał, że cokolwiek „może mieć swoje własne życie, niezależne od logicznie ustalonych pojęć”. Jeśli spotykają się z jakimkolwiek zjawiskiem, oceniają je tak, jakgdyby było produktem doktryny, a nie samorodnej *potrzeby* życiowej. Tym doktrynerom „bruździ nieustannie narzucony sobie kapłański obowiązek czystości ideału”. Dlatego obwiniają kooperatywę o podwójny grzech. Po pierwsze – że jest ona z natury zachowawcza i stroni od gwałtownych przewrotów, jak każde przedsiębiorstwo dbałe o dochody. Po drugie – kooperatywy (jak też związki zawodowe) dążą do podzielenia proletariatu na dwie klasy: swych członków, których stać na udział, oraz półproletariacką biedotę, dla której spółdzielnie są niedostępne (robotnicy wiejscy i czeladź dworska, robotnicy bez stałego zajęcia, proletariatus włóczęgów i proletariatus niefachowy, niezdolny do żadnej organizacji). Ci ostatni byli „stanem piątym”, którego interesy byłyby sprzeczne z interesami „arystokracji robotniczej”, zorganizowanej w syndykaty i kooperatywy.

Na te zarzuty, które powodowały chłodny stosunek socjalistów (PPS) i wrogów komunistów (SDKPiL) wobec kooperatywności¹ Abramowski odpowiada pryncypialnie.

Oskarżenia owe zakładają – stwierdza – że istnieje jakaś wszechobejmująca formuła rewolucji, wedle której ocenia się „rewolucyjność” określonych faktów zupełnie tak samo, jak „spowiednik według katechizmowej formuły grzechu i cnoty ocenia sumienia ludzkie”. Po wtóre, traktuje się fakty społeczne tak, jakby były one czymś skończonym i znieruchomiałym, to jest przypisuje się im właściwości doktryny, „która musi być za wsze logicz-

¹ Jan Hempel, który skądinąd, zanim został fanatycznym komunistą sam był mistycznym „etykiem”, kooperatystą i masonem, w 1931 roku piętnował - w broszurze „Utopia kooperatystyczna i jej apostołowie w Polsce” - Abramowskiego i jego idee: „Kooperatywność wyrósł w Anglii jako pasożyt na robotniczym ruchu spółdzielczym (...) Do Polski Kooperatywność przeniesiony zostaje w celach zdecydowanie antyrobotniczych”. Abramowskiego nazywa mąciwodą, fanatykiem, szerzącym kościelno-mistyczne brednie (a sam Hempel tworzył poprzednio Religię Słońca!), sługusem burżuazji i czarnosecinnyim nacjonalistą, a nawet posłusznym agentem faszystów na terenie spółdzielczym. Komuniści nie przebierali w słowach, by zdyskwalifikować swych ideowych kuzynów, i nigdy w swych epitetach nie byli wyrafinowanie pomysłowi...

nie ustalona, wyodrębniona, niedostępna dla obcych sobie pierwiastków myśli i zazdrośnie strzegąca tej swojej odrębności”. (Już za czasów Abramowskiego marksizm był zatem skamieliną pojęciową, która wyrzekła się dialektycznego spojrzenia na samą siebie i swoim immobilizmem broniła się przed posądzeniami o rewizjonizm bądź inne odchylenia.) Tymczasem zaś – ciągnął Abramowski – ani kooperatywy, ani związki zawodowe, czy tym podobne asocjacje nie posiadają *żadnej ideologii skodyfikowanej*, która by raz na zawsze wytyczała im granice i zakreślała kierunki rozwoju. Są to formacje zmienne „jak wszystko, co wynika samorodnie z potrzeb życia”. Mogą zjawić się wszędzie tam, gdziekolwiek istnieją jakieś żywotne interesy grupy, ścierającej się z warunkami społecznymi.

Wedle doktryny socjalistycznej – dowodzi Abramowski, mając na myśli marksistowską ortodoksję – rewolucyjne jest tylko to, co dąży do przeobrażenia państwa w kierunku kolektywizmu, lub do katastrofy, z której ma się wyłonić państwo nowe. Nie ma rewolucji bez upaństwowienia i wedle tej definicji należy oceniać, czy jakiś nowy fakt społeczny jest czy nie jest rewolucyjny. Dlatego, zdaniem ortodoksów, wszystko, co odciąga klasę robotniczą od walki politycznej i od ideału katastrofy społecznej nie jest rewolucyjne. Tak więc nie jest rewolucyjne, jeśli jakaś spółdzielnia zaprowadza u siebie 8-godzinny dzień pracy i znosi pracę najemną; jest natomiast rewolucyjne, jeśli demonstracja robotnicza żąda – choćby bezskutecznie – zaprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy i zniesienia pracy najemnej.

„Możemy jednak całą kwestię postawić wprost odwrotnie – replikuje Abramowski – i żądać, by pojęcie rewolucji nie stawiało się *a priori*, na zasadzie pewnych teorii historiozoficznych, lecz przeciwnie, ażeby wyprowadziło się z tych *faktów* nowych, które samorodna walka klasowa wyrzuca na widownię historii; ażeby nie rewolucyjność faktu oceniała się według pojęcia rewolucji, lecz na odwrót, żeby fakty służyły do oceny wartości tego pojęcia.”

Pod względem politycznym jest to stwierdzenie kapitalne. Przeciwwstawia się ono uzurpacjom „socjalizmu realnego”, którego zarządcy za rewolucyjne uznają to, co pokrywa się z głoszoną przez nich doktryną (w dodatku przykrawaną odpowiednio do aktualnych potrzeb władzy), nie troszcząc się o weryfikację teorii przez społeczną rzeczywistość, przez praktykę – natomiast za nierewolucyjne (albo kontrrewolucyjne) uznają fakty samorodnie przez aktywność mas zrodzone i odrzucające niepożądany „stan zastany” (np. pojawienie się ruchu robotniczego, który kwestionuje „awangardową rolę partii komunistycznej”, tak jak to uczynili marynarze z Kronsztadu albo stoczniovcy z Gdańska).

Następnie Abramowski wraca od teorii ogólnej na węższe poletko kooperatywności. Jego rewolucyjność uzasadnia tym, iż nie daje się on trwale pogodzić z rynkiem kapitalistycznym; a więc – naruszając interesy pośredniczącego kupiectwa – ma charakter „przewrotowy” i stanowi etap przejścia do gospodarki zorganizowanej społecznie. Oddala też zarzut, że stowarzyszenia (w tym związki zawodowe) mogą objąć i służyć tylko arystokracji robotniczej, chociaż tego argumentu nie lekceważy; zauważa ostrożnie, że w łonie ruchu stowarzyszeniowego „drzemią zapewne nowe formy i nowe postacie zrzeszeń”. A przede wszystkim widzi szansę *pośredniego* oddziaływania na położenie proletariackiej biedoty:

„Zależność rynków od stowarzyszeń spożywczych, ograniczenie dnia roboczego przez związki zawodowe, zmniejszenie współzawodnictwa w pracy najemnej na wsi wskutek rozwoju towarzystw rolnych włościańskich, żywe przykłady zrzeszonej pomocy, gospodarki i oporu, wszystko to idzie w kierunku podkopania tej samowoli wyzysku, jaka ciąży na proletariacie niefachowym.”

Gospodarczy aspekt spółdzielczości, szansa poprawy bytu ubogich warstw – to jednak nie była pasja Abramowskiego. Traktował spółdzielczość dalekowzrocznie. Za jej pośrednictwem chciał wpajać ludziom aktywność, samodzielność, demokratyzm, poszanowanie drugiego człowieka, a więc uzbrajać masy przeciw biurokracji, moralnie odradzać naród i odbudowywać poczucie podmiotowości, zgaszone stuleciem niewoli. Uważał kooperatyzm za czynnik rewolucyjny, którego powołaniem jest pokojowe wyparcie kapitalizmu i współudział w budowie socjalizmu bezpaństwowego.

Kooperatyzm w takiej postaci, jaką zakładał Abramowski, był poszukiwaniem „trzeciej drogi” socjalizmu, odrębnej od reformizmu i jakobinizmu (jak często zwał dogmatyczno-sekciarski nurt marksizmu). Stale podkreślał, że jeśli partie robotnicze choćby z przyczyn taktycznych, chwilowych, odwrócą się od socjalistycznego ideału wyzwolenia człowieka (czy to głosząc konieczność przejściowej „dyktatury proletariatu”, czy też godząc się na doraźne kompromisy z burżuazją), to już nigdy do tego ideału nie powrócą, odstąpią odeń nieuchronnie i definitywnie, albowiem *środk*i zajmą miejsce *celu*. Ci, co w imieniu proletariatu pochwycą władzę dyktatorską – przyzwyczają się do władzy na stałe. Ci, co będą negocjować z kapitalistami tylko o lepsze płace dla robotników – ostatecznie zredukują swe aspiracje do sfery profitów materialnych. Ideału nie wolno odłączać od codziennej praktyki, od sposobów jego urzeczywistniania. Andrzej Flis następująco streścił ten wątek rozumowania Abramowskiego:

„Cóż pozostanie z idei socjalizmu, gdy przywódcy partyjni dołączą do niej globalny kompromis? Globalny kompromis zabezpieczający żywotność kapitalistycznego sposobu produkcji! Cóż przyniesie idea socjalizmu dopełniona dyktaturą proletariatu? Dyktaturę proletariatu i poszerzenie niewoli! Prometejski ideał wymaga metody prometejskiej, kooperatywne go, pokojowego i bezkompromisowego ruchu prostych, skrzywdzonych ludzi, w przeciwnym przypadku zginie rozdarty terrorem państwowym lub rozcieńczony parlamentarną retoryką.”

Abramowski dokładnie przewidział, jak ideał socjalistyczny będzie się zmieniał w swe przeciwieństwo. Wolność ekonomiczna zrzeszeń przeobrazi się w przymusowe upaństwowienie. Hasło „wolności” zacznie być uważane za niebezpieczną dywersję przeciwko wszechwładzy państwa. Tym bardziej hasło „braterstwa”, któremu dzierżyciele władzy postawią zarzut, że jest klerykalnym trikiem, mającym na celu uśpienie antagonizmów klasowych. Przeczul Abramowski groźbę matactw propagandowych. „Trzeba z umiarem i 'dialektycznie' wygłaszać zasadę wolności – ironizował – ażeby umieć przerobić ją umiejętnie na knut dla reakcyjnych wrogów; trzeba przemilczać dyskretnie niebezpieczne

postulaty poszanowania człowieka i braterstwa ludzi, gdyż polityka realna wymagać będzie na każdym kroku wyszydzenia tych utopii. Tym sposobem wytwarza się uprawione, podniesione do znaczenia mądrości politycznej okłamywanie idei, podniesienie do znaczenia mądrości politycznej okłamywanie idei, rozterka pomiędzy ideowością wyznawaną a życiem i sumieniem. Wytwarza się nowy gatunek ludzi – apostołów obłudy i jej nieświadomych wyznawców.”

Gdybyż jeszcze Abramowski mógł przewidzieć, że apostołowie obłudy będą mieli monopol na tak potężne środki zniewolenia umysłów, jak radio i telewizja... Że knut policyjny zostanie uzupełniony przez bliźniacze narzędzie totalitaryzmu, jakim jest mały, szklany ekran... Ale wtedy nie istniała groźba terroru audiowizualnego, przeto Abramowski mógł być przekonany, że rewolucja moralna względnie łatwo będzie przekształcać świadomość szerokich mas ludowych w pożądanym kierunku ideowym: przeciw wyalienowanemu państwu. To go łączyło z syndykalistami – chociaż nie wierzył, iż samym związkom zawodowym uda się strajkiem generalnym obalić istniejący ustrój; bardziej ufał w systematyczną pracę wszelkich zrzeszeń (w tym owych związków), które podetną ustrojowi korzenie, pozbawią go żywotności. Z anarchistami spierał się także, bo chociaż głosił „socjalizm bezpaństwowy”, to wcale nie dążył – odkąd rozwinął doktrynę kooperatystyczną – do unicestwienia państwa, jedynie do zminimalizowania jego funkcji; to od anarchistów wyraźnie go oddzielało. Jeśli nawet są podstawy, by zespół doktryn Abramowskiego nazywać anarchosyndykalizmem, to trzeba pamiętać, iż zarazem stanowczo polemizował ze skrajnościami obu tych orientacji, dążył do „trzeciej drogi”, do syntezy.

Teorię kooperatywną Abramowski rozwinął w pracach *Znaczenie spółdzielczości dla demokracji* (1906), *Idee społeczne kooperatywności* (1907) i *Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego* (1912). Prace te – szczególnie ostatnia – zawierają nie tylko ideologię stowarzyszeń, albo też wykład praktycznych zasad organizowania różnego typu spółdzielni, ilustrowany mnóstwem przykładów zagranicznych. Ogromna ekspansja spółdzielczości przed I wojną i w Polsce międzywojennej była oparta na tych pracach, a więc stanowi poniekąd dorobek anarchosyndykalizmu. Inna sprawa, że sam Abramowski niewiele się przykładał do prac organizacyjnych, ku temu nie miał predylekcji. Ograniczył się do kreowania Towarzystwa Kooperatystów i nadania mu pierwszego impulsu.

Spełniało to towarzystwo rolę dwojaką. Legalnie – było sztabem głównym ruchu spółdzielczego. Tajnie – zarodkiem i przykrywką masonerii.

Historycy i socjologowie, badający dzieło Abramowskiego, jakby z zażenowaniem milczą na ten temat. Nic o tym u Cywińskiego (chrześcijańskiego demokraty) ani u Walickiego (liberała), skądinąd najlepszych znawców abramowszczyzny; ani słowa u naukowców-marksistów. Spośród adoratorów Abramowskiego jedynie Maria Dąbrowska sygnalizowała jego związki z masonerią. Milczy o tym jego biograf Krzeczkowski, milczy Żeromski, związany zasadą nieujawniania sekretów wolnomularskiego zakonu. Milczy nawet w swoich pamiętnikach, z tegoż powodu, Stanisław Stempowski, który w latach trzydziestych był zwierzchnikiem całej polskiej masonerii. Tylko dwaj współcześni badacze masonerii, Ludwik Hass i Leon Chajm, nie mogli pominąć Abramowskiego, aczkolwiek i oni z powodu szczupłości źródeł formalnych skąpo relacjonują jego rolę.

Leon Chajm, badacz-amator, lecz dobrze rozumiejący i cele, i metodę, i klimat prac masonskich, napisał:²

„... założycielem powstałego w 1906 roku Towarzystwa Kooperatystów był związany z francuskim wolnomularstwem Edward Abramowski. Zakładane przez niego 'koła etyków' i 'związki braterskie' – odrzucające środki gwałtu, propagujące braterstwo i moralne odrodzenie człowieka ja ko sposób rozwiązywania społecznych konfliktów – stanowiły już przed pierwszą wojną światową propagandę wolnomularstwa.”

Jest to stwierdzenie trafne: ideologia „etyków” i masonów Wielkiego Wschodu (a ten właśnie ryt powstał w Polsce) była tożsama, pomijając drobne niuanse, wynikające z polskiej specyfiki. Pisze też Chajm, szkoda, że bez podania daty, iż „Dyplom uznania przywiózł z Paryża wybitny socjolog Edward Abramowski”.

Taka legalizacja loży („wniesienie światła”) mogła nastąpić, wedle reguł masonskich, dopiero w pewien czas po jej faktycznym stworzeniu, gdy loża osiągnęła statutową liczbę pełnoprawnych członków. Wspomniany patent Abramowskiego przywiózł najwcześniej w listopadzie 1910 roku, gdy powrócił z Brukseli i Paryża do Warszawy po paroletnich badaniach psychologicznych (a może jeszcze później). Natomiast luźne kółka, nie formalne loże i ich doraźny organ centralny, zwany Kapitułą, zawiązywały się w Kongresówce, też pod egidą Abramowskiego, przynajmniej od 1906 roku, równoległe i spójnie z tworzeniem Towarzystwa Kooperatystów.

Nie wiadomo nic konkretnego o związkach Abramowskiego z masonerią francuską. Bardziej prawdopodobne zresztą, że w pierw – może już około 1895 roku w Genewie – zetknął się z masonerią szwajcarską, a potem z belgijską. We Francji bywał rzadko i krótko. Nic istotnego w tej kwestii, poza dezinformacjami, nie wniósł historyk profesjonalny, Ludwik Hass;³ nie wie on nawet, że Abramowski był założycielem Towarzystwa Kooperatystów i członkiem jego pierwszych władz, zaś rolę inicjatorów masonerii przypisuje Jerzemu Kurnatowskiemu i Andrzejowi Niemojewskiemu, gdyż oni najwcześniej (co w przypadku Niemojewskiego jest wątpliwe) zostali przyjęci do łóż francuskich. Taki formalistyczny punkt widzenia jest nieprzydatny przy badaniach masonerii Wielkiego Wschodu, która lekceważyła obrzędowość, zasadniczą wagę przywiązując do działań politycznych, choćby za pośrednictwem ludzi niezaprzysiężonych w lożach, lecz ideowo pokrewnych i mających rozległe wpływy w społeczeństwie. Pod tym względem Kurnatowskiemu nie można nawet porównać z Abramowskim.

Wcale nie jest wykluczone, że Abramowski w ogóle nie był oficjalnie zaprzysiężonym w którejkolwiek z łóż, tak jak nie był Żeromski, chociaż dla propagowania masonerii uczynił chyba najwięcej (ciekawe, że obaj nie należeli też do PPS, będąc jej czynnymi sympatykami;

² Leon Chajm, *Polskie wolnomularstwo 1920-1938*, 1984.

³ Ludwik Hass, *Ambicje, rachuby, rzeczywistość. Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej 1905-1928*, 1984.

ludzie wielkiego formatu często czują awersję do dyscypliny organizacyjnej). Z całą pewnością natomiast Abramowski był duchowym inspiratorem masonerii, co rozumiał Chajm. Potwierdzeniem tego jest zapis ojca autora tych słów, Witolda Giełżyńskiego, uczestnika prac kapituły masońskiej i jej łącznika z lożą lubelską:

„Nie ulega wątpliwości, że myśl powołania do życia wolnomularstwa powstała w r. 1905 lub 1906; można to łatwo sprawdzić, badając genezę powstałego wtedy Towarzystwa Kooperatystów, jako zaczątku ruchu ma sońskiego w Polsce XX wieku. Założycielami Towarzystwa Koop. byli działacze Towarzystwa Kultury Polskiej (po zamknięciu Macierzy), prócz Świętochowskiego, wrogiemu masonerii. Ideologiem głównym był filozof Edward Abramowski. Organizatorami: dr Radziwiłłowicz, inż. Wierzchlejski, dr Antoni Natanson, Józef Dąbrowski (Grabiec) i inni”. A dalej: „Organizatorami pierwszej loży w Polsce byli: Edward Abramowski, dr Rafał Radziwiłłowicz, dr Antoni Natanson, adw. Patek (po przyjeździe z Rygi, gdzie prawdopodobnie był już w loży).”

Należy się nieco bliżej przyjrzeć owemu dziwnemu Towarzystwu Kooperatystów. Powstało w Warszawie dokładnie w tych samych dniach listo pada 1906 roku, w których w Wiedniu, na IX Zjeździe, rozpadła się PPS na PPS-Lewicę i PPS-Frację Rewolucyjną. Był to oczywiście zbieg okoliczności. Ale wcale nie było przypadkiem, że oba fakty zaszły w tym samym czasie. Ich geneza była wspólna: sfrustrowanie po kolejnej klęsce ruchu rewolucyjnego i szukanie nowych dróg ku niepodległości – nowej ideologii, stosownej do sytuacji.

Taka ideologia istniała, wśród inteligencji była kultywowana od szeregu lat, przesączała się także do środowisk ludowych i robotniczych. Była nią właśnie abramowszczyzna, ściślej zaś mówiąc niektóre jej wątki: etyzm, hasła rewolucji moralnej i „apostolstwa braterstwa”, ponadklasowej tolerancji oraz solidaryzmu, splecionego ze szczególną troską o interesy warstw upośledzonych. Jak już wiemy, syndykalizm a szczególnie kooperatyzm miały być środkami realizacji tych ideałów. W płaszczyźnie politycznej „abramowszczyca”, w większości dawni socjaliści, sympatyzują i współpracują z grupą piłsudczykowską, która schroniła się po klęsce rewolucji do Galicji, by tam tworzyć bazę ruchu niepodległościowego. Masoni i piłsudczycy są jednak dwoma odrębnymi kręgami, które zachodzą na siebie marginalnie, łączy je identyczna wizja Polski Niepodległej i Zjednoczonej – demokratycznej, lewicowej, nawet umiarkowanej socjalistycznej (czy to wedle reformistycznego stylu PPS, czy wedle anarchosyndykalistycznego stylu Abramowskiego). Dzieli je ocena sytuacji bieżącej; masoneria uważa, że myśl o kolejnym czynie zbrojnym, szykowanym przez Piłsudskiego, jest przedwcześnie, że trzeba wpieryw umocnić ogólnonarodowe zaplecze, „moralnymi” środkami złagodzić tarcia społeczne, poszerzyć bazę powstańczą na wsi, pokrzepić złamane klęską rewolucji ośrodki klasy robotniczej, ponieść ideę niepodległości do mniej rozbudzonych grup proletariackich.

Spółdzielczość – obok tajnej oświaty – jest idealnym narzędziem politycznych planów masonerii.

Kto zatem wchodzi do pierwszych władz Towarzystwa Kooperatystów? Oczywiście Abramowski. Oczywiście Radziwiłłowicz, szwagier Żeromskiego, zagorzały społecznik, przyjaciel Abramowskiego, wielce szanowany wśród socjalistów, bo to on w 1901 roku nauczył Piłsudskiego symulować w Cytadeli chorobę psychiczną i tym sposobem dopomógł mu w

ucieczce z więzienia. Jeszcze czterej inni masoni (bądź kandydaci na masonów) są w radzie lub zarządzie Towarzystwa: Paweł Leon Jankowski – nieco później mistrz loży lubelskiej, a potem wybitny piłsudczyk i (zarazem) działacz ludowy; Leon Supiński, w odrodzonej Polsce minister sprawiedliwości i prezes Sądu Najwyższego; Antoni Natanson ze znanej z patriotyzmu bankierskiej rodziny żydowskiej, wkrótce mistrz loży „Wyzwolenie”; Alojzy Wierzchlejski, czołowy działacz Stronnictwa Postępowej Demokracji („pedecji”). Skład władz uzupełniali wybitni poprzednio przywódcy PPS i przyjaciele Abramowskiego – Stanisław Wojciechowski i Roman Mielczarski, którzy zrazili się do rewolucyjnych metod walki, Stanisław Berent – zagorzały organizator „kół etyków” oraz *jedyny* w składzie władz doświadczony już spółdzielca Antoni Mędrecki, długoletni prezes spółdzielni kolejarskiej; on jeden nie miał chyba z Abramowskim nic wspólnego, o masonerie się zapewne nie ocierał, był za to fachowcem.

Ponadto, wśród członków Towarzystwa była cała plejada ówczesnych (bądź nieco późniejszych) masonów: Zygmunt Chmielewski, twórca spółdzielczości wiejskiej, historyk Józef Grabiec-Dąbrowski, założyciel „kółek staszicowskich” na wsi, Maksymilian Malinowski, redaktor „Zarania”, które stało się bazą PSL „Wyzwolenie”, Stefan Dziewulski, wybitny ekonomista, który zerwał z endecją, Stanisław Thugutt, wtedy najbardziej zajęty propagandą krajoznawstwa. (To była jeszcze jedna droga stowarzyszania ludzi i krzewienia patriotyzmu; w niemowlęcym okresie krajoznawstwa, turystyki i sportu ze dwa tuziny wybitnych masonów pełniło rolę ich nianieek – a założyciel skautingu, Andrzej Małkowski, sam się wychował w „kołach etyków”.)

Pierwsi masoni i czołowi działacze spółdzielczy – byli to ludzie z tego samego kręgu ideowo-politycznego i towarzyskiego (często też rodzinnego). Najczęściej byli to po prostu *ci sami* ludzie.

Pytanie o charakter związków Abramowskiego z wolnomularstwem francuskim nie doczekało się i już chyba nie doczeka odpowiedzi. Pewne jest to jedynie, że przy jego czynnej pomocy szły z Wielkiego Wschodu nad Wisłę impulsy, w których obok ideologii braterstwa, podstawy „wiary” masońskiej, był też wątek narodowego odrodzenia, wątek polityczny. Loże Wielkiego Wschodu pozostawały uporczywie wierne hasłu „Liberté-Égalité-Fraternité”, na przekór przytłaczającej większości francuskiej opinii, zafascynowanej podówczas potęgą sojuszniczego Petersburga, *ergo* niechętniej wszelkim rewolucjonizmom i knowaniom antyrosyjskim. Na wet wielbiony za humanizm przywódca i idol francuskich socjalistów, Jean Jaures, ogłosił wtedy takie zdanie: „Obowiązkiem każdego Francuza, do póki szerszy system przymierzy nie obejmie i nie pojedna wszystkich na rodów europejskich, jest nie czynić nic takiego, co by mogło zniszczyć albo też zachwiać sojusz z Rosją”.

O pobytach Abramowskiego w Paryżu wiadomo niewiele, lecz są ślady jego kontaktów z Wielkim Wschodem za pośrednictwem znanych polskich domów w Paryżu. Paryska loża „Les Renovateurs”, obarczona zadaniem „wniesienia światła” nad Wisłę, miała stosunki z dr. Józefem Zielińskim, Place de la Nation 30, który był opiekunem emigracyjnego Towarzystwa Robotniczego „Solidarność” i entuzjastą anarchosyndykalizmu; podobnie jego żona Iza, wielbicielka Abramowskiego. U sławnego urologa, działacza PPS, dr. Bolesława Motza także zbierało się towarzystwo lewicowe i radykalne spośród polskiej emigracji. We-

dle Chajna obaj lekarze byli wolnomularzami, Hass o tym powątpiewa, albowiem nie ma bezspornych dowodów. Wbrew jego sceptycyzmowi istnieje jednak mnóstwo świadectw, że obaj byli po uszy zanurzeni w działalność masonerii. (Notabene, Motz w młodości także anarchizował, był związany z Narodną Wolą.) Domy oby dwóch lekarzy były przytuliskiem wszystkich Polaków, przewijających się nad Sekwaną; u Zielińskiego, na przykład, bywał Prus i Krzywicki, bywał Limanowski i Adolf Warski – niuanse ideologiczne nie miały znaczenia – bywał Niemojewski, Żeromski, Kurnatowski, a także Stanisław Padlewski, właśnie wtedy, gdy zabił gen. Seliwestrowa w jedynym bodaj klasycznie terrorystycznym zamachu w dziejach polskiego ruchu robotniczego. Abramowski też u niego bywał. Najprawdopodobniej, to był właśnie główny kanał kontaktowy z Wielkim Wschodem, z radykałami francuskimi.

Po przeszczepieniu idei i prac masońskich do Kongresówki, wokół pierwszych, nieformalnych kółek wolnomularzy, zbieranych przez Radziwiłłowicza, kręciło się bardzo wielu ludzi o zbliżonych poglądach, którzy „jakoś nie mieścili się w żadnej partii” – jak napisała Maria Dąbrowska, też należąca do tej plejady. Był to konglomerat absolutnie niespójny i alogiczny, jeśli rozpatrywać go – jak zwykli czynić uczeni marksiści – wedle kategorii klasowych bądź ideologicznych. Mieścili się w nich ludzie z przeszłością w Wielkim Proletariacie i w Narodnej Woli. Ale także wyznawcy ideałów niepodległościowych, związani ze środowiskiem Ligi Polskiej, zanim stała się Ligą Narodową i zaczęła pełznąć ku lojalizmowi. Ale także wszelkiej barwy mistycy religijni, których rozplenił duch Młodej Polski oraz „protohippisi” z komun Abramowskiego. Byli zawiedzeni socjaliści i zawiedzeni narodowcy, poszukujący nowych natchnień ideowych. Byli nauczyciele-społecznicy i lekarze co wędrowali bezinteresownie po przedmiejskich ruderach proletariackich, byli obrońcy polityczni, którzy wyrwali spod carskich szubienic bojowców rewolucyjnych. Jedni pochodzili ze szlacheckich dworów – takich było najwięcej, inni w młodości wyrwali się z duchoty domów burżuazyjnych. Ale nie brakowało też takich, co wyrosli do inteligentkiego statusu spośród wyrobników młota i kosy. Zarazem ta wielobarwna formacja była wyjątkowo zwarta emocjonalnie, spojona mistyką niepodległościową i więzią wspólnie wyznawanych kanonów etycznych, czerpanych z Abramowskiego. Niezgoda wobec wszelkich przejawów Zła, ideał Dobroci i wzajemnej pomocy, niewzruszona zasad tożsamości postaw z przekonaniem, odwaga cywilna, apoteoza godności osobistej, a przede wszystkim misjonarskie poczucie służby społecznej – oto były cechy etosu tego środowiska, jego wspólny mianownik. Nie deprecjonuje tego fakt, iż niektórzy z upływem lat i ze zmianą okoliczności historycznych uszczuplili w sobie wyliczone cnoty bądź całkiem odstąpili od ideałów młodości. Nie ma stada bez czarnych owiec.

Około roku 1910, gdy cała ta formacja dojrzywała ku realnemu już myśleniu o przyszłej Polsce, Abramowskiego wśród nich nie było, przynajmniej ciałem. Do Warszawy wpadał na krótko. Niesłychanie intensywnie pracuje w Brukseli nad teorią pamięci: „Piszę teraz tak dużo, jak za najlepszych czasów genewskich lub stefanińskich” – donosi swoim przyjacielom. Od rozgwaru polityki przeniósł się w ciszę laboratoriów. Kończy dawniej rozpoczęte prace. Tylko w latach 1908-1912 ukazuje się po polsku lub po francusku ponad *trzydzieści* je-

go prac psychologicznych, głównie z zakresu problemów pamięci i zapominania. Człowiek bez matury, po czterdziestce zaledwie, staje się uczonym światowej rangi.

W Brukseli, w tymże czasie, studiowała młodzianka Maria Szumska. Bardziej jednak niż naukami, zajęta była szczęśliwym przeżywaniem swoich osiemnastu lat; właśnie zawiązywał się jej wielki romans, zakończony małżeństwem z Marianem Dąbrowskim, przymusowym emigrantem, znanym bojowcem rewolucyjnym PPP-Frakcji Rewolucyjnej (poprzednio, w Saratowie nad Wołgą, założył wśród żołnierzy-Polaków koło PPS i wyrwał je spod osobistych wpływów Włodzimierza Lenina!) Spotkało ją jeszcze drugie olśnienie. Już jako Maria Dąbrowska⁴ wspominała:

„Poznałam Edwarda Abramowskiego i jemu to, jak wielu innych ludzi, jak cała Polska, zawdzięczałam moje prawdziwe, duchowe zetknięcie z kooperacją. Zajmował on się wtedy już prawie wyłącznie psychologią, prowadził doświadczenia nad pamięcią, zdaje się, w pracowni wielkiej, zapoznanej w Polsce Józefy Joteykówny. Wydał mi się postacią niezwykle ciekawą, pociągającą i osobiście, i jako myśliciel; na skutek zainteresowania się jego dziełem w ogóle przeczytałam także dwie jego sławne prace – *Idee społeczne kooperatywności* i *Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego*. Olśniły mnie. Czy te rzeczy są tłumaczone? Czy rozeszły się w setkach tysięcy egzemplarzy? Są to przecież jedne z najlepszych na świecie prac, poświęconych propagandzie idei. Blask idący z tych myśli ozłocił w moich oczach niebywałe światłem szarą salę 'Maison du People', odzianych w prążkowane welwety 'towarzyszy', od których się roiło, piwo, warcaby w które grano po kątach, mleczną kawę, dym z fajek i bułki z twardą szynką.”

Działał w Brukseli emigracyjny ruch polskiej młodzieży „Filarecja”, a spośród jego działaczy zawiązało się Stowarzyszenie im. Joachima Lelewela. Przez szeregi obu organizacji przewinęła się cała konstelacja wybitnych działaczy niepodległościowych; inni wygłaszali tam odczyty. Tadeusz Drewnowski w fundamentalnej książce o Dąbrowskiej⁵ wyraża przekonanie, że „Lelewel” miał podłoże masonskie, a sterował nim właśnie Abramowski, który kształtował „czołówkę młodego pokolenia polskiego najgruntowniej i najbardziej wszechstronnie: duchowo, myślowo i praktycznie”. Dąbrowska wielokrotnie podkreśla, że na jej przyjacielski krąg brukselski Abramowski wywarł wpływ decydujący; sama na znak iluminacji zaczęła podpisywać się „Maria Nowa”, stała się na całe życie zagorzałą propagatorką spółdzielczości i etycznych haseł Abramowskiego.

W *Nocach i dniach* ubrała go w postać Tytusa Niechcica, czego nie zrozumiał reżyser Antczak, czyniąc zeń, w telewizyjnym serialu... fircyka i bawidamka. Ona natomiast do końca życia pojmowała idee Abramowskiego bezbłędnie. Gdy rzeczywistość – już w Międzywojniu, tym bardziej w dobie obecnej – przekreśliła wiele jego prognoz, gdy niektóre jego

⁴ „Społem”, nr 20/1931.

⁵ T. Drewnowski, *Rzecz russowska*; 1981.

fiksacje okazały się ślepy m torem, Dąbrowska potrafiła – nawet z pomysłów poronionych, jak przesadna apoteoza kooperatywnu - stale wyłuskiwać płodne ziarna.

Nie wiadomo nic konkretnego o brukselskich działaniach Abramowskiego w masonerii. Trzeba poprzestać na mocnych poszlakach, przedstawionych przez Drewnowskiego: sama nazwa „Lelewel” wskazuje już na masońskie afiliacje (Joachim Lelewel „był założycielem wolnomularstwa belgijskiego”); wszyscy mężczyźni z tego stowarzyszenia wstąpili później, w wyzwolonej Polsce, do masonerii; frazeologia używana na spotkaniach „Lelewela” była wiernie masońska („współbracia”, „warsztat”, „cicha umowa Dobrej Woli”). Na koniec i to jest wyraźną wskazówką, że zebrania „Lelewela” były zamknięte, utajnione, co zresztą doprowadzało do podejrzliwości i konfliktów z szeroką, jawną „Filarecją”.

Abramowski, nawet gdy był pochłonięty badaniami psychologicznymi, nie mógł się powstrzymać od osobistych kontaktów ze spiskującą młodzieżą i korzystał z każdej okazji, ażeby ją zjednywać. Dusza działacza raz po raz zwyciężała duszę uczonego. To właśnie w połączeniu z osobistą charyzmą, czyniło zeń postać porywającą dla otoczenia. Dąbrowska napisała: „Cała ideologia Abramowskiego jest jakby odgadnięciem ideologii każdego Polaka i odsłonięciem tego, co każdy z nas, my wszyscy razem chcielibyśmy sercem ofiarować światu jako nasz własny polski dorobek Powszechnego Braterstwa”.

SENS I CZAR DOZNAŃ PSYCHICZNYCH

19 kwietnia 1910 roku Abramowski napisał list z Brukseli, rue de Corrige 21, do Żeromskiego w Paryżu, rue Ernest Cresson 22, w którym donosił, że propozycję pani Tuhanowskiej otrzymał i z wdzięcznością przyjął, oraz, że wkrótce zabawi parę miesięcy w Paryżu, bo chce się przyjrzeć z bliska dziwactwom paryskich eksperymentatorów. Propozycja dotyczyła założenia w Warszawie „doświadczalni psychologicznej”, którą – można się domyślić – dama ta zamierzała sfinansować. Prywatny mecenat nad nauką na złe jej nie wychodził.

Tak zaczął się kolejny powrót Abramowskiego do Warszawy. Wracał ze sławą psychologa, który zyskał europejski rozgłos. Był szeroko recenzowany i cytowany, krytykowany i wynoszony pod niebiosa. W tytułach jego tekstów, których uzbierała się sarta, najczęściej powtarzały się słowa: pamięć, zapomniane,¹ siła woli, podświadomość, telepatia, a także mało znane: kryptomnezja.

Ktoś, kto by się bliżej interesował psychologią Abramowskiego, jak również jej stykami z filozofią, socjologią, etyką i teorią estetyki, kto by chciał poznać także echa tej twórczości w ówczesnej i późniejszej krytyce naukowej (J.P. Sartre jeszcze w 1950 roku powołał się na jego *Le subconscient normal*) – ma do dyspozycji tom *Metafizyka doświadczalna*, opatrzony świetnym wstępem Stanisława Borzysza oraz wieloma notami wydawcy (PIW, 1980). Zawiera on najważniejsze psychologiczne prace Abramowskiego. Ta tematyka nie jest ściśle związana z zamysłem i tytułem książki niniejszej, lecz dla dopełnienia sylwetki Abramowskiego pominąć jej nie można. Ograniczam się jednak do przytoczenia niektórych myśli Abramowskiego pomijając, jeśli to możliwe, tok jego rozumowania i opis metod badawczych. Poprzestaję na konkluzjach, o ile mają związek z obecnymi dylematami moralnymi bądź żywiej rezonują z myślami, rodzącymi się dziś.

Kiełki dojrzałych teorii Abramowskiego tkwiły już w pracy *Pierwiastki indywidualne w socjologii* (napisał ją jako trzydziestolatek), która wychodzi z analizy potrzeb człowieka. One to, przez swe przekształcenia, powodują istotne przemiany społeczne. Nie rozwój produkcji, ale właśnie potrzeby, które jako całość, stanowią *sumienie* – prowadzą społeczeństwo do socjalizmu (takiego, jaki projektował Abramowski). Aliści zarazem sfera potrzeb „porusza się w duszy człowieka pod wpływem procesów społecznych” – pisze Abramowski; inaczej mówiąc, potrzeby są także subiektywnymi odpowiednikami rozmaitych faktów społecznych. Fakt, że istnieją ludzie bogaci, wywołuje potrzebę bycia bogatym. Zależność jest więc wzajemna, dwukierunkowa. Jednakże pierwotne są potrzeby, skoro: „Rodnikiem

¹ Uczennica Abramowskiego, historyk psychologii prof. Janina Budkiewicz stwierdziła, że nadal duże znaczenie ma jego „metoda dwóch opisów” – porównanie odtworzeń tego samego zdarzenia czy obrazu po upływie różnego czasu; szczególnie jest to ważne do kontroli „psychologii świadka” podczas rozpraw sądowych.

świata społecznego jest sumienie człowieka, pojęciowość, żyjąca w potrzebach osobistych, uczuciowej i praktycznej natury”.

Idee, które nie przenikają do sumienia (czyli nie stają się potrzebami) są bezsilne. Wszystko, co jest od sfery potrzeb oderwane, jest utopią; moralistyka nie dostosowana do warunków życiowych jest skazana na za gładę. Na przykład - dowodzi - teoria kolektywizmu, nie licząca się z ukształtowaną przez wieki potrzebą własności, byłaby nieskuteczna – więc bezsensowna, nawet jeśli by była zbudowana poprawnie pod względem logicznym. Abramowski:

„... jakiegokolwiek by teorie i hasła dana sekta lub partia polityczna stawiała w swoich programach i katechizmach, jakkolwiek daleko by sięgała jej ideologia oficjalna, pozostanie ona w rzeczywistości i w historii tym tylko, czym są sumienia osobników w skład jej wchodzących; w swej roli przekształcającej, społecznej, zredukuje się ona zawsze do tego, co jest *indywidualnie* wyznawane w zbiorowisku, które obejmuje, co jest wyznawane jako potrzeba osobista, jako praktyczne zagadnienie życia; cała reszta pozostanie w sferze intelektualizmu i będzie dla historii *utopią*, która nie dała się urzeczywistnić.”

Można zilustrować te myśli Abramowskiego nie tylko naszym własnym potocznym doświadczeniem, ale też cytatami z prac komentatorów twórczości Abramowskiego, sprzed kilkudziesięciu lat.

Oskar Lange: „Rezultaty rozmaitych ruchów społecznych są często zupełnie odmienne od tego, co głosił ich oficjalny program. Urzeczywistnić bowiem może się tylko to, co wejdzie w sumienie jednostek, biorących w tym ruchu udział, reszta zaś pozostaje pustym frazesem.”

Maria Dąbrowska: „Teorie nie mogą stwarzać ani urabiać życia. Przeciwnie, to ono samo, bogate i różnorodne życie, jest twórcą teorii. Biada nieszczęśliwym ludziom, gdy działacze społeczni chcą odwracać tę rolę”.

Elementarna potrzeba osobista człowieka (np. życia w rodzinie, wspólnej pracy, koczo- wania) powstaje nieświadomie pod wpływem warunków życia, konieczności obrony przed siłami przyrody i wytwórczego na nie oddziaływania. Następnie się *uspołecznia* przez fakt, że i inni, najbliższe otoczenie, mają podobne potrzeby: staje się upowszechnionym zwyczajem danej zbiorowości, wyzwolonym z psychologii osobniczej. Później powraca do swego „środowiska introspekcyjnego” (powiedzmy: do duszy) jednostki, naznaczona pierwiastkiem etycznym: że tak *należy* żyć, jak dyktuje zwyczaj ogólnie przyjęty.

Abramowski:

„Mówiąc ściślej, potrzeba indywidualna, uspołeczniając się, zmienia jednocześnie swój charakter psychologiczny, w introspekcji jednostki; przeistacza się w kategorię obowiązku moralnego, staje się głosem sumienia, dla którego świadomość ludzka poszukuje uzasadnień teologicznych.” Nawet najbardziej przyrodzone uczucia – pisze – nie są zdolne rozwinąć się w etykę i stać się sumieniem kierowniczym jednostki, jeżeli interesy zbiorowości nie pozwoliły na ich uspołecznienie.

W miarę rozwoju społecznego następuje rozszczepienie się potrzeby osobistej i etyki zbiorowej. Abramowski ilustruje to przykładem zwyczaju dzieciobójstwa, jakie istniało w starożytnej Grecji i nadal zdarza się w społecznościach „barbarzyńskich”. Z uwagi na niedobór środków wyżywienia – zabijanie części dziewczynek stało się prawem zwyczajowym, chronią cym interes zbiorowości; ale kolidowało ono z uczuciem ojcostwa, właściwym także dla starodawnych Greków i barbarzyńców. Następował konflikt potrzeby przyrodzonej, która nakazuje ochronę dziecka – z obowiązkiem społecznym, z głosem sumienia, nakazującym jego zabicie, wedle etyki danej społeczności. Dwie rozszczepione i skonfliktowane potrzeby nieuspołeczniiona i uspołeczniiona stają przeciwko sobie, powodując wewnętrzną walkę uczuć.

W społeczeństwach nowożytnych potrzeby uspołecznione nabierają charakteru takich instytucji, jak religia, prawo, państwo, zaczynają działać wedle właściwego sobie automatyzmu biurokratycznego i chronią się siłą policyjno-państwową, która funkcjonowaniu ich nadaje charakter czegoś zupełnie niezależnego od moralnych wierzeń człowieka” – pisze Abramowski.

Nie oznacza to jednak, że całkowicie i bezpowrotnie zostaje przerwany związek pomiędzy etyką indywidualną (wykształconą z potrzeb przyrodzonych pod wpływem zwyczaju), a ustrojem społecznym (który nabrał cech przedmiotowych, zewnętrznych wobec człowieka). Związek ten trwa, lecz jest zamaskowany rzeczowo rozwiniętymi formami współżycia, takimi jak rząd, sądy, policja. Owa maska opada jednak i na nowo ujawnia ją się pierwotne treści związków społecznych w momentach osłabnięcia „strony przedmiotowej” lub jej całkowitego wykolejenia się z torów automatyzmu organizacyjnego.

Ten wywód ilustruje Abramowski przykładami ujawniania się moralnego pierwiastka opinii, które jak gdyby czerpał z doświadczeń, upamiętnionych w przeżyciach późniejszych pokoleń:

„Osłabienie państwa wywołuje zwykle silny wybuch patriotyzmu; na miejsce podatków przymusowych zjawiają się dobrowolne ofiary, rozbitą armię zastępują samorodnie organizujące się milicje ochotników; zdezorganizowana podczas zaburzeń wewnętrznych policja państwowa zastępuje się dobrowolną policją obywatelską (...) Podobnie sakrament małżeństwa kościelnego, pozbawiony swej siły policyjnej tam, gdzie istnieją śluby cywilne, zachowuje się jednak w szerokich kołach ludności, dzięki samemu tylko naciskowi opinii moralnej.”

W niepublikowanych za życia wykładach Abramowskiego, dotyczących *Metafizyki doświadczalnej* (wydanych pod tym tytułem dopiero kilka lat temu), kontynuuje on wątek braterstwa, który nadawał tonację już jego „genewskiej” twórczości filozoficzno-społecznej i był podłożem doktryny socjalizmu bezpaństwowego wraz z jej pochodną: kooperatyżmem. *Metafizyka doświadczalna* to sprzeczność sama w sobie, skoro metafizyką zowie się dział filozofii, który bada przedmioty wykraczające poza doświadczenie; ale, ponieważ zmierza zarazem do poznania „istoty rzeczy”, Abramowski zdecydował się na nazwę prowokującą wobec filozoficznej tradycji.

On bowiem, wzorem Kanta, docieka istoty rzeczy, doświadczając własnych przeżyć psychicznych i analizując cudze.

Taka postawa nieuchronnie prowadzi do mistycyzmu. Mistycyzm, w przypadku Abramowskiego, przybierał różne zabarwienia.

Jednym z nich (pomiędzy chronologię) była wizja stworzenia „nadczołowieka”, snuta z ciągłych reinterpretacji ideału braterstwa.

Ideał ów zaczął się jawić Abramowskiemu nie tylko jako imperatyw stosunków międzyludzkich, organizujący życie społeczne, lecz właśnie jako sposób kreacji „nadczołowieka”. Braterstwo – dowodził – jest jedynym wyrazem rzeczywistości absolutnej, w której zespała się „cały świat ludzki”, a właściwie cały świat istot żywych”. Bardzo interesujące poszerzenie optyki. Czy był to wpływ modnych podówczas filozoficznych koncepcji hinduistycznych, nakazujących ochronę *każdego* życia? Czy raczej kolejne, genialne przeczucie intuicyjne, że ludzkość, by żyć, będzie musiała współistnieć z przyrodą, a nie toczyć z nią walkę? Zarodek myśli ekologicznej, gdy takowa nikomu jeszcze w głowie nie świeciła i nawet wśród mędrców dominowała obsesja „opanowania przyrody”?

Abramowski i jego wielki antagonistą filozoficzny, Stanisław Brzozowski, stanęli równocześnie na antypodach myśli. Brzozowski traktował przyrodę jako „antywartość”, którą trzeba ujarzmić, jako żywioł obcy i wrogi, jako oporną materię czynu ludzkiego – Abramowski zakochany w przyrodzie, pragnął aby człowiek się z nią zespałał duchowo, pogrążał w jej mistycznej kontemplacji.

Intuicja Abramowskiego okazała się bardziej dalekowzroczna, niż intelekt Brzozowskiego, co zresztą w dziejach myśli ludzkiej zdarza się permanentnie.

Jak jednak i kiedy ideał braterstwa absolutnego ma się człowiekowi

objawić, dać się odczuć i poznać? Tylko w stanach „pewnego rodzaju na tchnienia, podczas obcowania z ludźmi i przyrodą, kiedy możemy wyczuć agnostycznie i silnie te składniki swojej jaźni, które stanowią łączność istot żywych” – odpowiada Abramowski.

Bardzo daleko – ale czy bezpłodnie, ku manowcom? – odszedł on od swoich poprzednich konstrukcji myślowych, wyprowadzających ideał braterstwa z realnej kategorii potrzeb ludzkich. „Potrzeby” jakby wyparowały; nawet sumienie (traktowane jako całość potrzeb materialnych i duchowych) nie jest teraz przywoływane do objaśnienia nakazu braterstwa. Powstały inne koncepcje: natchnienie, poznanie intuicyjne. Pokrewieństwo z filozofią Bergsona, rozwijaną równoległe, jest uderzające, choć w systemie Bergsona świadomość, a u Abramowskiego raczej podświadomość jest podniesiona do kosmicznego znaczenia.

Abramowski wylicza warunki powstania takich stanów odkrywczego natchnienia: wzruszenie seksualne, miłość do dzieci, uczucie przyjaźni, uczucie solidarności zbiorowej, ból litości, doznanie piękna, współżycie z przyrodą. „Są to wszystko warunki, w których świadomość ideału braterstwa życiowego zjawić się może jako uczucie i pewnik intuicyjny”.

Nagle, z wysokich pięt abstrakcji, schodzimy więc na obszar który jest tak bliski masowemu doświadczeniu. Są przecież w Polsce miliony ludzi, którzy przeżyli całkiem niedawno ów moment uczucia zbiorowej solidarności, który wyzwolił w nich – bez intelektualnej analizy, ale w sposób nieodwracalny – ideał braterstwa jako pewnik intuicyjny; dokładnie

tak, jak to przewidywał Abramowski i pod wpływem identycznego bodźca strajkowego. On przecież był w Łodzi, w 1892 roku, gdy stały tam barykady robotnicze i rozlegała się pieśń, że najezdniczki z carskiej psiarni będą wisieć na latarni...

Sprawdza się i następna teza Abramowskiego:

„Ideał braterstwa jest ideałem tego typu, który nie może pozostać zjawiskiem wewnętrznym, lecz z natury swej musi zamieniać się na czyny, wywoływać zmiany świata zewnętrznego, przechodzić z dziedziny subiektywnej do obiektywnej, realizować się.”

Czyż inna jest motywacja ogromnej większości ludzi podziemnych? Czy nie ten właśnie imperatyw czynu, wywołany przez „natchniony” ideał braterstwa, zmusza ich do walki przeciw systemowi zniewolenia, którego głównym narzędziem jest atomizacja społeczeństwa, to znaczy przerywanie solidarnościowych więzi międzyludzkich? Oczywiście: nigdy tego nie pojmą „realiści”, którzy z maniackalnym uporem tropią *interesy*, rzekomo dyktujące opozycyjność opozycjonistom i z niewyobrażalną tępotą moralną kwestionują istnienie *powinności* jako motoru ludzkich działań w duchu braterstwa.

Zaproponowana przez Abramowskiego filozofia człowieka może się wydawać czymś biegunowo sprzecznym z filozofią marksistowską, która wszak była jego punktem wyjścia. Orzeknie to z pewnością każdy dogmatyk. Ale to wcale nie jest pewne, przynajmniej na tym etapie poszukiwań myślowych Abramowskiego. Doskonale zauważył to Kelles-Krauz, recenzując (wcześniejsze) *Pierwiastki indywidualne w socjologii*:

„Specjalna ... najwybitniejsza cecha duchowości Abramowskiego którą on też wniósł do teorii materialistyczno-historycznej, a raczej – w tych teoriach odnalazł, i jest – w naszej literaturze przynajmniej tym, co ją na pierwszy plan wprowadził, to kult człowieka, jak sam nasz autor się wyraża – głęboki szacunek i względność dla żywej, konkretnej, cierpiącej i radującej się, zdolnej tworzyć i być kształtowaną - jednostki ludzkiej...”

Godzi się dodać, że kult człowieka znamionował też prace młodego Marksa. Później stopniowo schodził z jego pola widzenia, aż przepadł, przytłoczony „nieuchronnymi prawami historii”, u jego epigonów-marksistów.

Od idei „nadczołowieczeństwa” krok następny, a chyba nieuchronny, wiedzie ku mistycyzmowi religijnemu. Wolnomyśliciel w ostatniej fazie życia jedna się z Bogiem. W eseju *Życie i słowo* (1915) używa terminu *sakrament* braterstwa. Ale nie jest to odwołanie do osobowego Pana Boga. Pisze:

„Ateizm umysłowy jest niewinną zabawą wobec tego wygnania Boga z duszy, jakie wynika z deprawacji woli przez egoizm. Można być ateistą z przekonania, z wyznawanego systemu wiedzy, a pomimo tego obcować z Bogiem i mieć bogate przeżycia religijne, które daje człowiekowi spełnienie braterstwa. Lecz nigdy nie może posiadać ani wyczuwać jakkolwiek Boga ten, który zaprzecza

mu przez życie samoluba. Dlatego to wszyscy mistycy i wszyscy, którzy poznali doświadczenie religijne jako swe własne, twierdzili zawsze, że Bóg jest niczym innym, tylko miłością.”

W homilii, wygłoszonej 18 czerwca 1983 roku w Niepokalanowie, Jan Paweł II – wspominając męczeństwo Maksymiliana Kolbego – powiedział, że centralną prawdą Ewangelii jest prawda o potędze miłości.

Na pozór dwa bieguny: Ojciec Święty i apostoł masonerii. Dwaj mędrcy, których myśl zbiega się w jednym punkcie. Papież, dla ilustracji nauki ewangelicznej, przywołał męczennika, który oddał życie za brata. Abramowski w tej samej intencji przywołał postać Pani O., która „Nie zajmowała się nigdy ani filozofią, ani mistycyzmem; nigdy nie słyszała nawet metafizycznej formuły, że *Bóg jest miłością*”. Tak o owej Pani i jej praktykowaniu religii braterstwa opowiada:

„Jest to jej cicha, wewnętrzna religia, bez słów i dogmatów, tajemnica jej radości, która zdradza się tylko w oczach i uśmiechu. I nie tylko do ludzi ogranicza się jej miłość. Opuszczony, wynędzniały pies, kot albo inne stworzenie, stają się dla niej również przedmiotem trosk i zabiegów; patrzyłem nieraz na to, jak nosiła pokarm dla zostawionego bez opieki kota, jak kupowała pożywienie dla zgłodniałego psa, spotkanego na ulicy. Wszędzie i zawsze zobaczy nędzę, a gdy zobaczy, nie ma już spokoju, dopóki jakkolwiek nie ulży temu. Wtedy dopiero czuje się szczęśliwa (...) Czy myśli kiedy o otrzymaniu za to nagrody pośmiertnej? O tak zwanym zbawieniu duszy? Sądząc z tego, co czasem mówiliśmy o tym przedmiocie, jestem przekonany prawie, że nigdy o tym nie myśli, a szczególnie nie myśli wtedy, gdy dla kogoś czyni istotnie ofiarę ze swego zdrowia i spokoju. W ogóle, kwestie życia zagrobowego nie obchodzą jej wcale, nie lubi i nie umie o tym myśleć.”

Zastanawiając się nad duchowym pokrewieństwem pani O. ze św. Franciszkiem z Asyżu, i chwając postawę bezwiednego bohaterstwa miłości, właściwego duszom wolnym, które przez ową wolność umieją przeniknąć tajemnicę życia, Abramowski konstatuje:

„Typy te nie giną; a jeżeli o nich słyszymy dziś tak mało, jeżeli nie przekazują swego imienia historii, jak za czasów dawnych, to dlatego tylko, że dzisiejsze życie społeczne tłumi wszystko, co nie jest przystosowane do organizacji masowej jego potrzeb, co nie daje się zużytkować dla jego zbiorowych celów. Odradzają się one jednak wciąż jeszcze jako do wód nieustannego poszukiwania Boga przez człowieka, poszukiwania, którego żadna forma życia społecznego, żadna epoka kultury przerwać nie może.”

Gdyby Abramowski żył dziś, także uznałby księdza Jerzego Popiełuszkę za świętego, jak to czynią Polacy wierzący na równi z niewierzącymi, nie oglądając się na kanoniczną formalistykę. Jest bez znaczenia, czy nastąpi urzędowy akt beatyfikacji. Męczennik już jest

świętym, bo z miłości poświęcił siebie dla wolności wszystkich. Niesłychane obelgi, jakie nań miotał jego morderca – podczas procesu toruńskiego – i którym wtórował prokurator (!) – do żywego przypominają casus Piłata, faryzeuszy i Chrystusa (wszak i Chrystusa potraktowano jako burzyciela porządku państwowego, a na krzyżu zrównano z pospolitymi kryminalistami...). Ale oszczerstwa nie gaszą aureoli, lecz ją rozplamieniają.

W późniejszych pracach psychologicznych szczególnie sobie upodobał Abramowski termin „agnozja”, który wprowadził dla oznaczenia szczególnych stanów psychiki, gdy ujawniają się głębokie pokłady podświadomości: ekstaza mistyczna, wieszczanie poetów, prorocze objawienia. W Brukseli, potem w Warszawie, badał eksperymentalnie reakcje człowieka na takie sprzyjające agnozji sytuacje, jak nagłość wrażenia, silne wzruszenie, roztarżenie, dekoncentracja bądź znużenie uwagi, jak zachwyty estetyczny, a przede wszystkim ferwor religijny. Najbardziej frapowała Abramowskiego agnozja etyczna, która wyzwała się pod impulsem aktów braterstwa czy dobroci i objawia jako „specjalny ruch serca”, pozwalający od czuć Dobro i Zło jako pewniki, które ani nie muszą, ani nie mogą szukać intelektualnego uzasadnienia. I to jest stan, nazywany *wiarą*.

Podświadomościowa agnozja etyczna poszerza się poza indywiduum, staje się jądrem najpiękniejszych ruchów społecznych; z niej – twierdzi Abramowski – zrodził się pierwotny chrześcijaństwo, jak również późniejsze bunty rozpaczycy (albigenosów, husytów, duchoborców), mające na celu jego wskrzeszenie w pierwotnej czystości; z niej pochodzi socjalizm w swej utopijnej postaci, z niej też anarchizm i syndykalizm, a także jego własny koncept „socjalizmu bezpaństwowego” – czyli Rzeczypospolitej Kooperatywnej – i najnowsza jego odmiana: Związki Przyjaźni, dążące do tego, że by życie ludzkie odnowić na podstawie braterstwa.

Zestawmy łącznie te pochodne agnozji etycznej: chrześcijaństwo zwrócone ku człowiekowi – plus utopijny socjalizm – plus syndykalizm, doktryna twórczej potęgi związków zawodowych – plus anarchizm w jego ideowym sensie antybiurokratycznym – plus kooperatywność, zespolony z ideą samorządności – plus Związki Przyjaźni, oparte na braterstwie.

To przecież nie jest nic innego jak *IDEOLOGIA „SOLIDARNOŚCI”*.

To synteza wszystkich nacechowanych humanizmem prądów społecznych.

Na tę syntezę złożyły się: intuicyjny odruch mas, wywołany silnym wzruszeniem (solidarność strajkowa), poryw buntu przeciw zniewoleniu, nagłość wrażenia (podpisanie umów społecznych) i eksplozja uczucia patriotycznego, z oczywistych powodów przybierająca formę religijnej ekstazy.

Abramowski był zwiastunem „Solidarności”, jej prekursorem nie tylko w *Zmowie*, politycznym manifestie bojkotu i samoorganizacji, ale też w swych koncepcjach psychologicznych i filozoficznych.

Dlatego właśnie, można sądzić, że wszystkich tekstów ewangelicznych najwyżej cenił „Kazanie na górze”. Określił je jako najbardziej rewolucyjny manifest, jaki kiedykolwiek został wypowiedziany, jako najwyższe piękno życia, zasadzającego się tylko na miłości wzajemnej ludzi i na bez względnym swobodzie jednostki.

Osobliwością myśliciela było także to, że nieustannie oscylował między mistycyzmem, który przekraczał granice świata ludzkiego, a pragmatyzmem, który z rewirów najwyższej

abstrakcji ściągał go co rusz do przy ziemia, zmuszał do uczestniczenia w życiu politycznym. Na jednej stronie *Metafizyki doświadczalnej* głosił: „Urzeczywistnienie braterstwa jest to jedyna forma życia, która zgadza się z istotą wieczną człowieka, a co za tym idzie, umożliwia dalszy rozwój biologiczny gatunku, stworzenie nad człowieka; spełnia więc nie tylko potrzebę i cel ludzkości, ale także potrzebę i cel Wszechświata”. Zaraz na stronie następnej zaczyna referować zadania praktyczne Związków Przyjaciół, kontynuujących idee dawnych „kół etyków”; postuluje – tyle, że w górnolotnych słowach – krzewienie samopomocy, walkę z przemocą i wyzyskiem, rezygnację z bogactw i za szczytów, ignorowanie sądów i policji, zakładanie kooperatyw i tym podobne metody budowania nowego społeczeństwa, znane już szczegółowo z wielu poprzednich prac.

Ażeby uwypuklić ideową przemianę dogmatycznego niegdyś marksisty, kusi przytoczenie w całości krótkiego wyznania, napisanego przez Abramowskiego, gdy sporządzał notatki do wykładów *Metafizyki doświadczalnej*. W tym tekście zawarta jest taka koncepcja Boga i interpretacja własnego doń stosunku, jaka była typowa dla całej rozległej formacji „etyków”, wolnomularzy, inteligentkich radykałów.

Poszukiwanie Boga

„Nędza stworzyła ideę „Boga”. Beznadziejnie zamknięte koło cierpień, zawodów, zburzonych marzeń młodości, chorób, starości, śmierci – koło bez wyjścia, chwytające każdego człowieka z jedynym jasnym celem zniszczenia go – to musiało stworzyć reakcję biednych dusz ludzkich. Rozwijał się bunt przeciwko tej bezmyślnej, niezasłużonej karze, jaką dźwigało na sobie każde istnienie. A bunt ten przeżywały tak samo społeczeństwa w swym rozwoju dziejowym, jak przeżywały jednostki w ciągu życia osobistego.

Wszystkie zawiedzione uczucia i marzenia, wszystkie tęsknoty niezaspokojone nigdy, cały ciężar doznanej krzywdy, a stanowiący porządek natury – wszystko to ogniskuje się w jedno pożądanie wielkiego odwetu, w jedną myśl, która ma być negacją wszystkiego, co istnieje – negacją realnego straszego życia, nieokreśloną nadzieją wyzwolenia.

Tę buntowniczą negację nazwano Bogiem.

Początkowa idea Boga jest na wskroś biologiczna – jako reakcja całej uczuciowości i woli człowieka przeciwko narzuconym mu przez samo życie zawodom i cierpieniom bezcelowym. Później rozwija się ona intelektualnie. Dają jej cechy „pierwszej przyczyny”, Twórcy, jedności, harmonii, doskonałości, wszechmoicy itd. Ale są to tylko dodatki intelektualne, wtórne; istota idei pozostaje zawsze ta sama – tęsknota euforyczna, życie jako radość, życie odnajdujące cel i sens swój, swoją rację bytu.

Nie ma człowieka, który by tej tęsknoty nie posiadał – bo jest ona dalszym ciągiem cierpienia, jego dopełniającą stroną. Im bardziej gnębi i krzywdzi życie realne, tym silniejsza zjawia się owa tęsknota i tym bar dziej potrzebuje się „Boga”, tym pilniej zaczyna się go szukać.

Ale w poszukiwaniu tym są ustawiczne błędzenia, chodzenie po mrocznych labiryntach, po nużących drogach myśli, po jaskiniach patologii. A rzadko, bardzo rzadko uda się komu spotkać ową wąską ścieżkę, zwyczajną, niepozorną, a jednak jedyną, która może zaprowadzić do nasycenia tęsknoty, do odnalezienia *Boga Żywego*.”

Mistycyzm, którego Abramowski nigdy się nie wypierał, który mieszał się w jego twórczości z rzetelną wiedzą i z rozwichrzoną fantazją, to ogromna sfera duchowego życia człowieka – pisał – która łączy się z intuicyjną stroną postrzeżeń. Tak samo jest z estetyką. W pracy twórczej, pisarza czy artysty, spostrzec to szczególnie łatwo, bo „stworzone” nie wydaje mu się zazwyczaj tak pięknym i głębokim, jak „tworzone”, bo wiem w procesie tworzenia zjawia się mnóstwo głębin intuicyjnych, które spływają się, gdy zostaną wyrażone słowami czy farbami. Stany estetyczne, czyli subiektywne zjawisko odczuwania piękna, także jest jednym z wypadków odczuwania „agnozji”. Abramowski protestował przeciw traktowaniu badań „przyjemności”, dawanej przez wrażenia zmysłowe, jako badań pierwiastka piękna. Przyjemność znajduje się także w rzeczach nie pięknych, jak kotlet schabowy, jak powalenie przeciwnika na ringu, trafienie dużej stawki w ruletce, nawet w głupim dowcipie, jeśli ma się akurat ochotę na śmiech. „Każde odczucie piękna jest w pewien sposób przyjemne, lecz bynajmniej nie każda przyjemność jest piękna”. Odczucie piękna ma inną naturę, niż przyjemność, przykrość, zachwyty, żal, gniew czy smutek, choć wszystkie one mogą towarzyszyć stanom estetycznym, które (podobnie jak ekstaza religijna) „nie mają w sobie ciągłości i trwałości uczuć zwykłych”. Są to więc olśnienia albo iluminacje, które „koncentrują się na jednym punkcie świadomości albo raczej podświadomości”. Na ogół oglądamy świat w osłonie intelektualizmu: badamy go i oceniamy. W chwilach agnózki estetycznej ta osłona znika i świat rzeczy „ukazuje nam swoje drugie oblicze, intuicyjne, *oblicze uczucia przedmyślowego* i właśnie zetknięcie się nasze z tym obliczem wyzwolonym od myśli jest narodzinami piękna w duszy ludzkiej”.

Do czynników agnostycznych, sprowadzających do minimum intelektualizm, należy również *wspomnienie*. Świat, rozpatrywany ze strony wspomnień, jest rozpatrywany estetycznie. „Fakty wspomniane posiadają jakiś urok niczym nie usprawiedliwiony; gnieździ się w nich tęsknota pewna, pociąg ku chwilom minionym, nie dający się uzasadnić, i to tym większy, im dłużej przebywają one w sferze *zapomnianego*”.

Pierwiastki piękna zjawiają się też we snach; więc doznajemy zawodu, gdy chcemy opowiedzieć nasz sen, czując ogromną niewspółmierność między tym, co było naszym sennym doświadczeniem, a tym, co daje się wyrazić słowami. Także wrażenia nowe lub nagłe rodzą w nas pierwiastek piękna. Na tym polega fascynacja egzotyką, gdy pierwszy raz znajdziemy się w kraju dalekim. Ale gdy odwiedzamy go po raz drugi, spotyka nas za zwyczaj rozczarowanie: już patrzymy inaczej, dostrzegamy nie cud mauzoleum w Agrze, lecz pospolitość ludzkiej kondycji. Tamto „zapamiętane” było barwniejsze, piękniejsze. Lepiej nie wracać, choć ciągnie nas do miejsc, które nas kiedyś olśniły.

Tegoż pochodzenia, co sen i nagłość wrażenia, jest jednak i tęsknota. Ona przechowuje wspomnienia, które często całkowicie już straciły swą postać „wyobrażeniową” i tkwią w

nas jedynie jako nieokreślone, bez postaciowe wzruszenie. Natchnienie artysty polega na tym, iż potrafi od stworzyć ową „wzruszeniowość”, z dawnych przeżyć pochodzącą („może nawet z przeżyć odziedziczonych, odwiecznych”).

Sztuka zatem – powiada Abramowski – nie może naśladować rzeczywistości. Jeżeli pewien moment życia opisujemy w porządku przedmiotowo-logicznym lub kopiujemy fotograficznie, natenczas, sztuki nie ma. Dzieło sztuki wyrażać musi nastrój tego momentu, jego prawdę uczuciową.

W eseju *Co to jest sztuka* będącym repliką na rozprawę Tołstoja pod identycznym tytułem, Abramowski poparł jego myśl o przyciągnięciu mas do twórczości, odrzucił zaś pogląd, że należy w tym celu zmienić treść dzieła; nie, demokratyzacja sztuki zależy od uzyskania przez masy wolnego czasu na jej kontemplację. (Zdaje się, że pomylili się obaj).

„Celem jest samo piękno – dowodził Abramowski – a sztuka wobec interesów życia jako walki o byt ma raczej charakter zabawy”. Nonsensowne są zatem nie tylko powoływania się na sprawdzian rozumu, ale i poszukiwania normy użyteczności dla sztuki. One są udaremnione samą naturą piękna, które zjawia się dopiero tam, gdzie się kończą „interesy życia i rozumowanie”. Psychologiczną naturą piękna jest zawieszenie czynności intelektu. Piękno musi być na wskroś *indywidualne*, gdyż „Oswobodzenie rzeczy od umysłowości jest zarazem oswobodzeniem jej od strony społecznej”.

Przybyszewskiego *Sztuka dla Sztuki* jest równie dobrze hasłem Abramowskiego. Żaden z nich nie wziął go od swego świetnego rówieśnika; owszem, znali się, ale ... jako działacze PPS. Pokrewieństwo ich poglądów na sztukę było naturalnym owocem okresu modernizmu. Były to czasy uduchowione, bo były to czasy buntu przeciw społeczeństwu, jakie istniało, przeciw obyczajom, ideałom i prawom mieszczańskim. Każde uduchowanie rodzi się z buntu, tak jak trywialny materializm zawsze rodzi się z aprobaty świata, jaki jest.

Estetyczne poglądy Abramowskiego poddał w wątpliwość myśliciel nie mniejszej rangi – socjolog i filozof Stanisław Ossowski, dziedzic jego teorii społecznych i etycznych, który jednak (może właśnie dlatego?) rzadko się doń odwoływał w swych dziełach. W dziedzinie, która była mu szczególnie bliska – estetyki – podjął jednak Ossowski polemikę. Owszem, zgodził się, że przeżycia estetyczne, na przykład przy słuchaniu muzyki lub podziwianiu przyrody mają istotnie charakter aintelektualny. Bywa tak również przy odbiorze pewnych kierunków w malarstwie, jak impresjonizm oraz pewnych typów poezji, ubiegającej się o świeżość, o spojrzenie „okiem dziecka”. Aprobuję mocne podkreślanie przez Abramowskiego ich doniosłości dla życia psychicznego. „Nie możemy wszak zapominać – replikuje jednak – że istnieją przeżycia estetyczne, oparte właśnie na *intensywnej pracy intelektu*. W niektórych tylko wypadkach może być celem sztuki pogrążenie widza lub słuchacza w stan aintelektualny. Kiedy indziej dzieło sztuki wymaga właśnie racjonalnej interpretacji. Nawet w stosunku do muzyki możliwa jest bądź kontemplacja aintelektualna, bierne podanie się nastrojowi, bądź intelektualne wgrzyzanie się w konstrukcję utworu”.

Następnie Ossowski zamyśla się krytycznie nad Kantem, z niego wy prowadzając koncepcję „bezinteresownej kontemplacji”, którą rozwijał Abramowski. To bez wątpienia słusznie wskazuje źródło filozoficznych inspiracji Abramowskiego, nie tylko na polu estetyki. Kantowskie „samo w sobie”, dążenie do poznania absolutu, nękało go ustawicznie. Doprowadziło go aż do dewiacji metapsychicznej, ku błędzeniu w rewirach parapsychologii.

Miał ku nim predylekcje od dzieciństwa zresztą, pasjonował się seansami spirytystycznymi, wirującymi talerzykami i ektoplazmą. Pod koniec życia Abramowskiego coraz bardziej frapuje pomysł, że najgłębsze warstwy podświadomości pochodzą z początków naszej ewolucji, a przynajmniej z życia przodków. Postanawia to też zbadać – doświadczalnie! W jego konspektach wykładów uniwersyteckich metafizyki doświadczalnej zjawiają się następujące notatki:

„Rozwój funkcjonalny może iść także w kierunku:

3) nowej czuciowości, np. tzw. telepatycznej, dziś już powszechnie istniejącej (jak przekonałem się doświadczalnie), albo

4) tzw. psychometrycznej, która odnajduje ślady przeszłości zupełnie konkretnych faktów na wszelkiego rodzaju przedmiotach, w ludziach i rzeczach: tak np. pozostałość dotyku pewnej osoby na papierze, chustce itp. wywołuje wizję tej osoby i jej silniejszych przeżyć, scen realnych zupełnie, przez które przeszła (ankieta Duchatela, doświadczenie dr Kotika).

5) Rozwój funkcjonalny, biologiczny może pójść także w kierunku olbrzymiego spotęgowania woli w tym kierunku, którego zaczątki spotyka my dzisiaj u osobników wyjątkowych u nas, częstszych na Wschodzie, a którego przejawy widzimy w jodze Hindusów, przejawy, wydające się nam cudownymi. Są to zjawiska opanowania wolą przyrody i własnego organizmu, jak również opanowania bezpośrednio wolą całych mas ludzkich nieznanym sobie, albo jednostek, albo dzikich zwierząt.

Znamy tu takie fakty jak: a) przyspieszone, w ciągu godziny wyrastanie na roślinę pod wpływem skupionej woli fakira, trzymającego ręce nad wazonem; b) zatrzymywanie wolą swą serca przez minut kilka (tablica Lutosławskiego); c) możliwość utrzymania się dowolnego w życiu zatajonym przez kilka miesięcy, na podobieństwo zimowego letargu zwierząt (niedźwiedzi, żab itd.) lub roślin (ziarna zboża). Doświadczenia fakirów zakopywanych w ziemię na 2 do 3 miesięcy; d) nakazywanie wolą swą z odległości znacznej pewnego czynu jednej lub wielu osobom. Np. w Indiach wiedzą, że ostatnie powstanie przeciw Anglikom wybuchło wskutek nakazu przesłanego tłumom „telepatycznie” przez kastę kapłanów. Podobne nakazy przychodziły na znaczne odległości w Afryce, podczas walk z Mahdim. Zdziwienie Anglików, skąd w danej wsi, oddalonej o setki mil od placu boju, wiedziano już o rezultatach. (Pewnie nie telepatii użyto, lecz bębnów tam-tam – przyp. W.G.) Niesprawdzone nakazy zabijania się. Praktykowane u nas zmuszenie kogoś do obejrzenia się na przykład. (Tutaj

Abramowski zastrzega, że fakty przekazywania woli na odległość są najmniej pewne, niedostatecznie sprawdzone.)

6) Rozwój wyczuwania przedmiotów na odległość za pomocą czuć skórnych (doświadczenia M. Kuntza i moje).

7) Opanowanie twórcze dziedziny snów (farmakopeja snów dowolnych nieznanego autora, dzięki wydanej w Lipsku w 1746 r. Jak można być szczęśliwym przez sny? Doświadczenia stwarzania snów; w nowej psychologii doświadczalnej zob. R. Meunier).

8) Zmysł autoskopii. Autoskopia wewnętrzna i zewnętrzna (zob. Sollier).

9) Zmysł magnetyczny lub odcyczny – wyczuwanie postaci odcycznej rzeczy (Du Prel). Postać odcyczna działa na zmysł powszechny, z którego wychodzą wszystkie inne i którego siedlisko jest w zwojach słonecznych. Od jest indywidualny w wysokim stopniu. Stąd wyczuwanie człowieka, zanim się go pozna (Du Prel, *Psychologia magii*). W związku z czuciem odcycznym – język wewnętrzny lub język natury somnambulików (Kerner, zob. moja *Logika*).”

Nie wiem, nie zamierzam zajmować żadnego stanowiska wobec tych zjawisk, jakich istnienie (?) sygnalizował w swoich wykładach Abramowski. Nie wiem, chociaż sam wielu podobnych faktów niewytłumaczalnych byłem świadkiem w Indonezji,² i chociaż nie podzielałam zdania tych, którzy np. radiestezję uważają po prostu za „wciskanie ciemnoty”.

Pewien jestem natomiast, że masowe fascynacje astrologią, wróżbami, które gdzieś ktoś kiedyś wygłosił, wahadełkami i piramidkami, trójkątami bermudzkimi i tymi podobnymi tajemnicami świata, cudownymi uzdrowicielami i wszelkimi zjawiskami ponadnaturalnymi – same w sobie są zjawiskami anormalnymi, nieodłącznie towarzyszącymi anormalnym czasom. Takim czasom, w których spętana jest dążność człowieka do autokreacji; w których myślowa i społeczna działalność ludzi jest blokowana bezmyślnymi i aspołecznymi nakazami prawa bezprawnie stanowionego i ozdobionego fałszywą fasadą ideologii, która – co częste w dziejach – z narzędzia wyzwolenia człowieka przekształciła się w instrument jego zniewolenia.

Szczęściem, takie czasy też przemijają. Przemijanie jest jedynym pewnikiem, jedynym „prawem historii”.

Stanisław Borzym, kończąc swój wstęp do *Metafizyki doświadczalnej*, przywołał słowa Marii Dąbrowskiej o Abramowskim:

„Dzieła jego były jedną z tych rzeczy na świecie, które natchnęły mnie wielkim entuzjazmem dla życia; chciałabym, żeby tego doświadczyli wszyscy.”

Następnie w ostatnim zdaniu Borzym wyraża sceptycyzm:

² W. Giełżyński, *Indonezja, archipelag niepokojów*, 1966, rozdział „Raport w sprawie czarnej magii”.

„Czy dziś, mimo historycznego dystansu, który dzieli od tamtej epoki, mimo doświadczeń XX wieku, udzielić się nam może coś z tej frenezji?”

Napisał to pod datą: 1978. Był nadmiernie sceptyczny.

Wizja czekających ludzkość przemian, jaką rozstrzygał Abramowski, miała się ziścić bardzo prędko.

W dwa lata później okazało się dowodnie, że optymizm udzielił się większości Polaków, dokładnie wedle solidarnościowych haseł Abramowskiego, chociaż tylko na 16 miesięcy, przerwanych siłą interwencją. To, co zostało zapamiętane, trwa w świadomości i podświadomości narodu. Będzie trwało...

... aż was, zjadaczy chleba, w aniołów przerobi.

Abramowski, gdy umierał, jeszcze ostatniego poranka czytał Słowackiego. Trzeba czytać *Testament mój* – zarazem Abramowskiego testament – by być normalnym wbrew normalizacji.

NARKOTYK CZYNU

Siły słabną. Ma rozedmę płuc, rozwijającą się gruźlicę, wadę serca. Coraz mniej skutkują zakopiańskie kuracje. Tworzy w gorączce. Nad swymi koncepcjami, z których jedna goni drugą, pracuje w biegu. Podróżuje od syberyjskiego Barnaułu po Paryż i Brukselę. Skarży się w listach do przyjaciół, że nie może się otrząsnąć z pyłu i zgiełku podróznego, który osiada na mózgu, psując spokój wewnętrzny.

Do pracy musi mieć atmosferę skupienia, ale dłuższy spokój go denerwuje; już by gdzieś gnał, łapał się czegoś innego.

Ci, co go znali, potwierdzają, że pomysły rodziły się w nim nagle, w stanie natchnienia, z głębin podświadomości; dokładnie tak, jakby sam był ilustracją swych teorii psychologicznych. Narodzinom pomysłu towarzyszyły jakieś wizje, widzenia, halucynacje. Zapewne i morfina miała w tym udział. Gdy już znalazł intuicyjny „wzór” – punkt oparcia pomysłu, tkwiący gdzieś na granicy świadomości, nie zaczynał od razu pracy intelektualnej, lecz czekał, póki się ów wzór nie wykrystalizuje samoistnie, i póki równoległe kielkująca myśl nie nabierze zgodności z intuicyjnym wzorem. Dopóki tej zgodności nie było, męczył go twórczy niepokój. Sprawiał wtedy wrażenie, że nie kontaktuje ze światem.

To, że wszelkie pomysły rodziły się w nim samorzutnie, niezależnie od woli i pracy intelektu, było jednak plodem zgromadzonego w umyśle ogromnego zapasu lektur. Zbierał, wertował, streszczał niezliczone książki, magazynował fakty i myśli. Pozostał stos brulionów i notesów (niestety, nie zachowały się do dziś), które zwał „baturiałami”, zapisywał je drobnym maczkiem, ze szczegółową dokumentacją bibliograficzną. Odkładał je na długie lata, zapominał o ich istnieniu, dopóki nie zjawił się w nim przebłysk pomysłu teoretycznego, stopniowo obrastający materią następnych skojarzeń, potem przemyśleń. Pomysły w stadium dojrzewania szkicował w innych zeszytach, które nazwał bardzo adekwatnie „embrionarzami”; w rzeczy samej, były to embriony teorii.

Konstanty Krzeczkowski, choć oczarowany swym mistrzem, krytycznie oceniał tę działającą metodykę pracy naukowej:

„W zeszytach tych zawarta jest olbrzymia, systematyczna praca umysłowa uczonego. Śledzić tam można rozwój wielu zasadniczych koncepcyj Abramowskiego, plany prac, których nie dokonał, projekty eksperymentów, umiejętność niezwykłą rozpatrywania zjawisk, słowem całą warsztat badacza. A mimo to trzeba stwierdzić, że Abramowski był i po został całe życie tylko samoukiem. Do końca miał w sobie braki wszystkich samouków: pewien dyletantyzm, brak wykończonego, zamkniętego koła wykształcenia, a stąd bezkrytyczność w ujmowaniu rzeczy, z które mi się bezpośrednio nie stykał. Zdradzał niekiedy ra-

żącą lekkomyślność w sądach i nieodpowiedzialności oraz zbytnią łatwowierność. Jasny i ścisły w rozumowaniach i bez zarzutu w sądach własnych i własnych pomysłach, gubił się często w cudzych, o ile ich nie zasymilował całkowicie – wówczas nie odróżniał rzeczy małych i dużych, sprawdzonych i hipotez itd. Zresztą niekiedy dawał się unosić fantazji, 'marzeniom filozoficznym' w twórczości własnej. Bywa wtedy nieścisły i niejasny, że trudno uchwycić właściwą myśl."

Nie pisze jednak Krzeczkowski, a byłoby to ciekawe, czy owo rozchwianie Abramowskiego – teoretyka było jedynie wyrazem jego dziwnej osobowości: uczuciowej, przepojonej subiektywizmem, neurastenicznej i w sposób niewytłumaczalny tyleż egocentrycznej, co ekspansywnie zwróconej „ku ludziom”. Może było to efektem jego wyścigu z czasem skracanym przez chorobę? A może, co najbardziej prawdopodobne, dusza uczonego stale się zmagala – i często przegrywała – z duszą działacza, który zaraz, natychmiast, chciał swoim czynem naprawić świat?

Świat cały, ale przede wszystkim Polskę. Im bardziej wizja Polski Nie podległej jawiła się realnie, bo już rozpadały się sojusze z czasów Święte go Przymierza i wrzał bałkański kocioł, tym mocniej rwał się do polityki.

Zawsze był wierny swej dewizie: Stawiać cele wielkie – ale brać, jak się da, i częściowe. Teraz zbliżał się czas, w którym cele wielkie traciły utopijność.

Znowu się pogrąża w wir polityczny. Ścisłej mówiąc, nigdy na dłużej się z niego nie wyrwał, zawsze miał kontakty ze spiskującymi niepodległościowcami, stale zmniejszał dystans psychospołeczny między PPS a rzeszą jej sympatyków, zaś całej inteligencji zaszczerpił pierwiastek lewicowości. Nie można wytyczyć w jego życiorysie żadnej granicy między czasem teoretyzowania, a czasem knucia. Ale były okresy, w których do minowała ta lub tamta strona jego życiowych pasji.

Niczym innym, jak polityką właśnie, była w tym czasie masoneria, której apostołował z oddali. Nie wiadomo, czy brał udział w zebraniach lożowych, natomiast stale spotykał się z czołowymi masonami. Około roku 1910 masoneria stworzyła już scentralizowaną sieć mafijną, kierowaną przez Kapitułę, która swymi ludźmi obsadzała zarządy Towarzystwa Kooperatystów, różnych stowarzyszeń oświatowych i kulturalnych, Koła Obrońców Politycznych, „Zarania” i „kółek staszycowskich”, profesjonalnych zrzeszeń inteligenckich oraz niektórych ukrytych, drobnych partii centrum i umiarkowanej lewicy. Wedle jednolitego planu ideowego, lecz bardzo urozmaiconymi metodami, cała ta siatka organizowała w Kongresówce niepodległościowe podglebie – w czasie, gdy Piłsudski, Sosnkowski, Sikorski tworzyli we Lwowie i w Krakowie ruch strzelecki, z pomocą PPSD Ignacego Daszyńskiego, ludowców Bolesława Wysłoucha i „postępowców” Hipolita Śliwińskiego. Poprzez masońskie łącza istniały bez pośrednie kontakty galicyjskiego obozu piłsudczyków z królewieckim obozem wolnomularzy. Są na ten temat liczne relacje, na ogół niedostrzegane przez historyków, zakłopotanych fenomenem masonerii i przywykłych traktować ją jako dziwny zakon ezoteryczny, a nie – wbrew oczywistym faktom – jako strukturę *par excellence* po-

lityczną. Skupiała ona głównie inteligenckich radykałów, lecz miała liczne transmisje do robotników – przez spółdzielczość i do chłopów – przez ruch zaraniarski i staszicowski.

(Podobny układ, chociaż nie masoński, lecz KOR-owski, istniał w Polsce pod koniec lat siedemdziesiątych. Obecnie jest inaczej, gdyż działa wiele ośrodków ideowych i organizacyjnych struktur podziemnych.)

Transmisją najważniejszą, jak wiemy, było Towarzystwo Kooperatystów, które obrosło setkami dobrze prosperujących spółdzielni, zrzeszeń i agend gospodarczych. Rzecz jasna, tylko nieliczni spółdzielcy mieli świadomość kto i wedle jakiego planu politycznego konstruuje ten ruch. Abramowski, swoim zwyczajem, nie uczestniczył w pracach organizacyjnych, nawet jeśli zasiadał w gremiach kierowniczych; drobiazgi śmiertelnie go nudziły. Od tego miał dobrze dobranych i zapatrzonych weń wykonawców, jak Radziwiłłowicz, Wojciechowski, Mielczarski. Nie zmienia to faktu, że wkład Abramowskiego i w doktrynę, i w praktykę ruchu spółdzielczego był zasadniczy – i jest też najobficiej udokumentowaną kartą jego działalności polityczno-społecznej.

Trzecim polem aktywności, przenikającym się zresztą z kooperatyżmem, były Związki Przyjaźni, stanowiące kontynuację „komun” i „kół etyków”. O nich wiadomo niewiele; czekają na swego dziejopisa. Ich ideologię oczywiście przepajała „abramowszczyzna”: rewolucja moralna, tworzenie ludzi o nowym sumieniu, braterstwo, walka z wszelką krzywdą, społeczna służba – to nie nowe pryncypia, co najwyżej inaczej akcentowane. Czy przyciągały ludzi? Otóż tak, mimo emfazy, jaka cechowała proklamacje pisane przez Abramowskiego. A może dzięki tej emfazie, która dziś śmieszy, lecz wtedy współbrzmiała z klimatem duchowym i to nacją młodopolskiej kultury? Wzniosłość nie miała podówczas rezonansu groteskowego, jeszcze Gombrowicz nie skwitował jej kpiarstwem, a styli styka Żeromskiego, której obecne pokolenie raczej nie trawi, uchodziła za najwyższy wykwit polskiego języka.

Nie wiadomo ilu Polaków, zazwyczaj z umysłowej elity, przewinęło się przez Związki Przyjaźni; na pewno setki, może tysiące. Wiadomo jednak z pamiętników i z osobistych wspomnień o ludziach tamtego pokolenia, że etos tych związków trwał wśród znacznej części inteligencji o wiele dłużej, niż one same. Wygaś dopiero po II wojnie.

Były to mikrokomórki o bardzo różnym charakterze, w rodzaju obecnych KOS-ów. Nie zawsze dokładnie odzwierciedlały idee Abramowskiego, zależało to od składu socjalnego i od osobowości bezpośrednich liderów. Jedne z nich były współsąsiedztwami, rzeczywiście bliskimi projektom, jakie prezentował Abramowski na łamach „Społem”: były zapleczem i zarazem inspiratorem kooperatyw, czymś na kształt obecnych samorządów spółdzielczych, choć w postaci niesformalizowanej (za to realnie działającej). „Są one po prostu dalszą fazą rozwoju kooperatyżmu” – pisał. Miały udzielać bezprocentowych zapomóg potrzebującym, pomagać w znalezieniu pracy, nieść pomoc w chorobie, opiekować się starościami i zaniedbanymi dziećmi, służyć poradą prawną, polubownie załatwiać spory, rozwijać czytelnictwo, zwalczać pijaństwo, otwierać ochronki, domy kul tury, ambulatoria, szkoły rzemiosł, warsztaty dla dorosłych, kursy rolnicze i dla analfabetów. I to się często sprawdzało, funkcjonowało w praktyce.

Inne Związki Przyjaźni nabierały charakteru kół mistyczno-religijnych, uprawiających kultury ezoteryczne, w tym nawet (co dziś też modne) oparte na motywach hinduizmu. One najdalej odchodziły od idei Abramowskiego ku teozofii, popadały w fanatyzm mesjani-
styczny o nacjonalistycznym, bądź komunistycznym zabarwieniu. Najbardziej znanymi mesjaszami byli Artur Górski, pisarz i krytyk, który Mickiewicza wyniósł do półboskości, Andrzej Małkowski, twórca polskiego skautingu, oraz Jan Hempel, późniejszy aparatczyk KPP; u niego ekscytował się romantycznie i modlił do słońca pomocnik zecerski z Lubli-
na, Bolesław Bierut.¹ Były też wspólnoty anarchistyczne, na przykład Jana Wolskiego, któ-
ry całe życie poświęcił, wedle recept Abramowskiego, tworzeniu spółdzielczości pracy, i
jeszcze w Klubie Krzywego Koła, pod koniec lat 50-tych upowszechniał kult wielkiego Ma-
ga (Wolski był także etycznym przewodnikiem młodości... Leszka Kołakowskiego). Istniało
wreszcie, a przynajmniej było projektowane, tajne sprzysiężenie otoczone religijnym cere-
moniałem: Związek Rycerzy Polski. Co robił, kto doń należał, a nawet – czy w ogóle wyszedł
poza projekt, napisany przez Abramowskiego – właściwie nie wiadomo. Obok idei i zasad,
wielokrotnie już przez Abramowskiego lansowanych, w programie jest jeden postulat po-
lityczny, w wielu polskich kręgach wyznawany do dziś:

„Dzieło wyzwolenia politycznego Związek prowadzi w kierunku powstania nie-
podległej Rzplitej Polski, Litwy i Rusi, jako trzech narodów jednakowo wolnych
i równych sobie, a mających jedną wspólną Ojczyznę w granicach przedrozbio-
rowych”.

Ta koncepcja szła dalej, niż federacyjny program Piłsudskiego, albo wiem nie mówiła,
że Polska, Litwa i Ruś mają być odrębnymi, sfederowanymi państwami.

Piłsudski, jego rosnąca fama, najwyraźniej fascynuje Abramowskiego. Piłsudski uważa
go za ekscentryka, lecz darzy sympatią i wdzięcznością, sięgającą lat tworzenia PPS, kol-
portowania bibuły i walk przeciwko frondzie Kulczyckiego. Abramowski, którego ponosi
temperament znacznie przekraczający siły fizyczne, bierze się do montowania akcji jed-
noczenia rozmaitych nurtów niepodległościowych. Wraz z Radziwiłłowiczem proponuje
zwołać zjazd, który by się stał momentem przełomowym w ruchu. Spotykają się w Paryżu,
gdzie Abramowski spędził koniec 1910 roku. W mieszkaniu Wacława Sieroszewskiego, le-
gendarnego pisarza-sybiraka, naradzają się z bliskim Piłsudskiemu Michałem Sokolnickim,
z Żeromskim i ze Stanisławem Posnerem, znanym publicystą socjalistycznym. Z wyjątkiem
Sokolnickiego wszyscy oni, choć nie zawsze jako zaprzysiężeni „bracia”, tkwią po uszy w
masonstwie. Sokolnicki jest doń zbliżony, choćby przez rodzinną tradycję; jego pradziad-
generał w czasach napoleońskich osiągnął wysoki stopień w Wielkim Wschodzie.

Paryskie spotkanie zapoczątkowało przygotowania do „Zjazdu Irredentystów”, który
w półtora roku później, w składzie ponad dwudziestoosobowym, odbył się w Zakopanem.

¹ W emigracyjnym czasopiśmie „Archipelag” rozwinęła się na nowo – który to już raz? – dyskusja,
wsparta pozorami operowania faktami, na temat Bieruta, który rzekomo nosił całkiem inne nazwisko i w
ogóle wziął się nie wiadomo skąd. Otóż dokładnie wiadomo, że Bierut urodził się jako Bierut w Rurach Jezu-
ickich pod Lublinem i już przed I wojną był dość znanym działaczem w lewicujących kręgach młodzieżowych.
Są na tę okoliczność bezsporne dowody.

Brali w nim udział m.in. Józef Piłsudski, Ignacy Daszyński, Andrzej Strug, który zaczynał wielką karierę w masonerii, Rafał Radziwiłłowicz, Bolesław Antoni Jędrzejowski, Stefan Żeromski i - wedle Krzeczковского - Edward Abramowski (inne źródła tego nie potwierdzają). Zjazd nie dał bezpośrednich owoców politycznych, separatyzm stronnictw wziął górę nad imperatywem jedności, lecz nie był bezpłodny. Ideał niepodległościowy dojrzał, do ruchu przyłączały się nawet różne frondy i secesje z obozu Ligi Narodowej, zrażone lojalnością Dmowskiego wobec zaborców. Dużą rolę w przyciągnięciu takich ludzi, jak Gustaw Simon i Stefan Dzierwulski odegrali masoni; nie wiadomo czy w tej akcji brał udział Abramowski, lecz jego moralny autorytet z pewnością wspierał owe zabiegi.

W trzy miesiące po zakopiańskiej uwerturze, 10 listopada 1912 roku, z inicjatywy Piłsudskiego doszło w Wiedniu, w mieszkaniu masona Hipolita Śliwińskiego, do następnego, w pełni udanego spotkania różnych partii i grup niepodległościowych, z PPS na czele. „Aktywiści” – ta nazwa przyjmowała się coraz szerzej – ukonstytuowali się w Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (po roku zniknął przymiotnik „tymczasowa”). Zajęła się ona wspieraniem związków strzeleckich, organizowanych przez piłsudczyków w Galicji oraz przybliżaniem stanowisk grup politycznych w Kongresówce.

W tym ostatnim dziele zasadniczą rolę odegrała masońska kapituła. Jej kierownictwo stanowili Radziwiłłowicz, Stanisław Patek, Józef Grabiec-Dąbrowski i Zygmunt Chmielewski – aktywni sympatycy PPS. Na lożowych zebraniach starano się, niekiedy skutecznie, zacierać rozłam PPS z „Lewicą” (która także miała wpływ w lożach, zwłaszcza lubelskiej) i z „Opozycją” Feliksa Perla. Przejście Struga, Posnera i Pragiera z „Lewicy” na stronę niepodległościową nastąpiło właśnie w tym czasie, gdy zaczęli oni wsiąkać w kręgi masońskie. Oprócz „Zarania”, którym kierował Maksymilian Malinowski i „kółek staszicowskich”, którymi kręcił Grabiec-Dąbrowski, masoneria – przez Pawła Jankowskiego – miała też wpływy w Związku Chłopskim, przybudówce PPS. Wśród inteligencji znaczenie zdobył nowy Związek Patriotów, kierowany przez zaprzysiężonych wolnomularzy lub ich ideowych sojuszników. Niejako w drugiej linii działa bogata gama organizacji społecznych, kulturalnych, oświatowych, spółdzielczych, przeplecionych ze Związkami Przyjaźni. Na tym zapleczu rola masonerii i Abramowskiego była ogromna. Nierzadko uczestniczył też w rozmowach na politycznym, partyjnym szczeblu.

W tym samym czasie Abramowski kończy i drukuje swe najważniejsze prace psychologiczne, a ponadto organizuje w Warszawie Pracownię Psychologiczną z funduszy dwóch towarzystw: neurologicznego i psychologicznego. W marcu następnego roku pracownia pod jego kierownictwem rusza. Pierwsze badania przeprowadza nad telepatią, następne nad „oporem zapomnianego”, wpływem różnych substancji farmakologicznych na wzruszenia i nad siłą woli.

Równocześnie prowadzi nowoczesne studia religioznawcze. Wedle Jana Szmyda² zapoczątkował pionierskie w Polsce, eksperymentalne techniki badawcze fenomenu modlitwy, oparte na obszernym kwestionariuszu 32-punktowym. Ujmował on pytania o sposób i technikę modlenia się (cicho, głośno, na kolanach?), uwarunkowania zewnętrzne (w kościele,

² J. Szmyd, *Prekursorzy psychologii religii w Polsce*, 1978

w grupie, samotnie?), strukturę psychologiczną modlitwy (jakie towarzyszą jej uczucia, wyobrażenia, wspomnienia, halucynacje, czy występuje ekstaza lub poczucie świętości?) oraz funkcje praktyczne religii (jak oddziałuje na samopoczucie, na sposób myślenia, czy daje psychiczne rozładowanie, czy pokrzepia fizycznie i moralnie?). W traktacie *Modlitwa jako zjawisko kryptamnezji* Abramowski przedstawił wiele pozytywnych skutków modlitwy dla postawy jednostki, jej życia emocjonalnego, jej twórczej aktywności; w ogóle nie dostrzegł niebezpieczeństw rozmodlenia, takich jak pasywność życiowa czy квиetyzm. Nie ograniczał się do eksperymentów. Tworzył zręby teoretyczne psychologii religii.

Odkąd na powrót zamieszkał w Warszawie, coraz bardziej podupada na zdrowiu. „Wogóle każde przystosowanie się jest dla mnie ciężkie – pisze do przyjaciół – ale to przejdzie”.

Nie przejdzie. Odnowiają się stare ogniska gruźlicze. Trapi go bezsenność: „Czuję jakąś zmorę w ciele siedzącą”. Ale miewa i chwile lepszego nastroju. Wtedy pisze: „Warszawa bardzo miło się przedstawia. Chociaż jestem strasznie śpiący, trzy noce z rzędu jechałem prawie bezsenne, ale to głupstwo wobec dziwnie radosnego odczucia kraju”. A potem znów depresja. „Ludzie i rzeczy wydają się zabawkami, a poza nimi wyczuwam jakąś istotę niepokojącą. Przykry patologiczny stan. Siedzę w laboratorium – przez okno otwarte zalatuje zapach ogrodów z tamtej strony Alei i daleki huk miasta”.

Pracownia mieściła się wtedy przy Smolnej 15. Te ogrody były tam, gdzie teraz Muzeum Narodowe i KC PZPR. Miasto huczało daleko... Warszawa była jeszcze sielska i kameralna.

Europa zaś była podminowana prochem. Już nikt nie pytał: Czy? – ale: Kiedy?

Niespodziewanie, po latach milczenia w publicystyce politycznej, pod koniec marca 1914 roku Abramowski drukuje w dwóch numerach „Kuriera Warszawskiego” obszerny esej *Pomniejszyciele Ojczyzny*, wyraźnie obliczony na wsparcie ruchu piłsudczykowski. Carska cenzura nie była nazbyt surowa, skoro ten tekst przepuściła. Abramowski głosi apoteozę radości życia, dumy, bohaterstwa, cnót rycerskich, romantyzmu. Wyraża wzdąwanie dla „idei słabości” – to akcent zwrócony wprost przeciw pasywizmowi endecji, podobnie jak nagana pod adresem „ideologii trzeźwej”, czyli przeciwko realizmowi politycznemu Dmowskiego. Tak jak w programie dla Związku Rycerzy Polski rozstrnuwa wizję Polski wielkiej i piętnuje jej pomniejszycieli, zwłaszcza Czesława Jankowskiego, autora broszury *Naród polski i jego ojczyzna*, który głosił hasło redukcji polskiego stanu posiadania do obszaru etnograficznego, wycofania się z Kresów. Tego kresowiak Abramowski nie zdzierzył. Drwi zatem z mało dusznych, co by się chcieli skupić tylko nad Wisłą, oddać rusińskim „prowodyrom” Wołyń i dać się przez nich wyrzucić za San, co są skłonni pod naporem litewskich „nacionalistów” ustąpić z Litwy i Suwalszczyzny, a pod presją Czechów – ze Śląska Cieszyńskiego. Za przykład stawia Anglików, Francuzów i Niemców, którzy potrafią walczyć o swe szerokie ojczyzny (kolonie?) i stanowczo opowiada się za utrzymaniem Polski „W granicach jej kultury”.

Gorliwy patriotyzm Abramowskiego, przez całe dziesięciolecie tłumiony sytuacją geopolityczną Polaków, brakiem szans na niepodległość, a tak że remanentami internacjonalizmu w jego poglądach – nagle wybucha aż nazbyt wysokim płomieniem, nabiera tonacji szowinistycznej. Może by nawet należało użyć słowa: imperialistycznej, gdyby nie to, że Państwo Polskie nadal wszak było tylko snem. Egzaltacja narodowa Abramowskiego, w tej

fazie historii, żadnemu z sąsiadów nie groziła polską zaborczością. Ale sąsiedzi – i Litwini i Ukraińcy – uważnie takich głosów wysłuchiwali i wyciągali wnioski dla siebie, myśleli o swoim przyszłym losie. Tym razem Abramowski był rzecznikiem niesłusznej sprawy. Niezłomny orędownik ogólnoludzkiego braterstwa w momencie euforii zapomniał o własnych zasadach etycznych i nie okazał politycznej dalekowzroczności. Piłsudski, projektując federalizm, myślał mądrzej.

Na usprawiedliwienie Abramowskiego: żył ciągle już w chorobie wyniszczającej resztki sił i w towarzyszącej jej hysterii. Już czuł, że w chwili decydującej nie on stanie na czele narodu. Dla mistyka o apostołskim powołaniu świadomość taka musiała być nie do zniesienia.

Przełom czasów pokoju i wojny – to szczyt jego osiągnięć w nauce. W życiu politycznym – to okres schyłkowy.

Nowi idole, nowe pasje porywają i rozdzierają społeczeństwo. „Aktywizm” piłsudczykowski z trudem w Kongresówce, szczególnie w Warszawie, przebija się przez grzęzawisko endeckiego „pasywizmu”. Któż pamięta, któż ma głowę, by pamiętać schorowanego mędrca, pasjonata moralności, braterstwa i „socjalizmu bezpieczeństwa”, skoro za moment wybuchnie wojna, w kąć pójdzie moralność, brat będzie strzelać do brata w obcym mundurze, i zacznie się bój ostatni o Państwo Polskie?

Wreszcie wybucha ta wyśniona, mickiewiczowska Wielka Wojna Narodów.

I jednak wciąga Abramowskiego w odmet życia publicznego.

Nie łączy się z żadną partią, z żadnym ugrupowaniem. Jeszcze się ludzi, że odegra rolę mediatora i zwornika, że ma wielką misję do spełnienia. Ale nikt się nań specjalnie nie ogląda. Mimo to uczestniczy, słaby i rozbity psychicznie, w posiedzeniach politycznych, współdziała ze Zjednoczeniem Organizacji Niepodległościowych, zawiązanym w Warszawie dla wsparcia akcji legionowej, która w Kongresówce idzie jak po grudzie. Kielce, Łódź, Sosnowiec już od Rosjan uwolnione, nie dają nowych ochotników Piłsudskiemu. Gorzej! Po raz pierwszy o carskich wojskach mówią w Warszawie *nasza armia* i kwiatami obrzucają odchodzących na front kozaków!

8 października 1914 roku Abramowski w „Kurierze Warszawskim” zamieszcza następną artykuł *Odnowienie życia*, właściwie zupełnie pusty, bez znaczenia. Może cenzura stosowała już wojenne rygory? Pierwszy akapit próbuje wspierać postawę aktywną:

„Przeżywamy teraz taki dzień historii, w którym narodzić się mogą żywiołowo, pod przymusem konieczności życia, rzeczy mocne i piękne, rzeczy nietylko potrzebne dla chwili obecnej, ale sięgające także daleko w przyszłość”.

I tylko tyle. Właściwie nic. Cała reszta tekstu mówi o tym, jak pod naciskiem trudności wojennych zawiązują się w Warszawie braterskie wspólnoty, które „dzielą się pomiędzy sobą każdym kawałkiem chleba” i jak komitety obywatelskie skutecznie zastępują rozchwiane wojną instytucje biurokratyczne; że jest to zmiana moralna, jaką projektował, rzucając ideę „związków przyjaźni”. Oczywiście, trudno byłoby wymagać, żeby w gazecie legalnej głosił hasła choćby w przybliżeniu podobne tym ze *Zmowy powszechnej przeciw rządowi* – ale

czy musiał aż tak bardzo samoograniczać się w słowach, gdy ważyły się narodowe losy? Nic więcej nie mógł wyrazić choćby między wierszami?

Chyba tracił dynamizm, złożony fizyczną i psychiczną niemocą. Nie ma go także w publicystyce, gdy nadchodzi wytęskniony dzień, w którym Moskał odszedł z Warszawy.

We wrześniu 1915 roku ukazuje się 5 zeszyt czołowego czasopisma niepodległościowego „Myśl Polska”, redagowanego przez masonów, ideowych wychowanków Abramowskiego. Stanisław Thugutt w artykule „Co by nas mogło połączyć” szeroko przedstawia koncepcje zjednoczeniowe, o które przez tyle lat zabiegał Abramowski. Witold Giełżyński pisze:

„Rosjanie wysadzili za sobą wszystkie mosty. Nikt tu ich nie żałuje i powrotu nie pragnie... Bodajśmy was już nigdy u siebie nie oglądali. I jeśli pragniecie istotnie całą słowiańszczyznę objąć uczuciem miłości wzajemnej, to wiedźcie, czym dalej będziecie, tem więcej będziemy was kochać. Ale znienawidzimy was na nowo, i stokroć bardziej, jeśli powrócić zechcecie. Jeden tylko urzędnik rosyjski może liczyć na przyjazne w Warszawie przyjęcie – ambasador Jego Cesarskiej Mości Cesarza Wszechrosji przy Rządzie Polskim”.

Czemu wśród autorów „Myśli Polskiej” nie ma Abramowskiego?

Kulminacja choroby?

Może kulminacja pracy przy zakładaniu Instytutu Psychologicznego na wskrzeszonym Uniwersytecie Warszawskim?

A może w tym wyjaśnienie sekretu, że w owym zeszycie „Myśli Polskiej” jest także tekst Włodzimierza Dzwonkowskiego, diametralnie przeciwstawny „kresowej” doktrynie Abramowskiego, zakończony konstatacją:

„... przodujący i kierowniczy charakter polskości na Litwie i Rusi nie może być trwały i wcześniej czy później zmieni się na naszą niekorzyść”.

Przez kilka miesięcy całkiem głucho o Abramowskim, nie znana jest jego postawa. Może stąd jego dystans wobec dawnych przyjaciół i adeptów z masonerii, grupujących się głównie w Lidze Państwowości Polskiej, że oni – w otwartym już sporze między Piłsudskim a Sikorskim – stanęli po stronie tego ostatniego, on zaś z sentymentu czy przekonania niezłomie trwał przy linii Komendanta?

Mógłby na to wskazywać odczyt, jaki gdzieś na przełomie 1915 i 1916 roku wygłosił w redakcji „Kurier Warszawski”. Było to najważniejsze w czasach wojennych i właściwie ostatnie polityczne wystąpienie Abramowskiego – w chwili, gdy losy wojny nie ważyły się jeszcze na żadną stronę, a w społeczeństwie polskim, szczególnie warszawskim, nadal były mocne sentymenty prorosyjskie, podtrzymywane przez endecję. Mój ojciec w cytowanym wyżej fragmencie artykułu przedstawił swe życzenia jako stan faktyczny; w rzeczywistości wielu jeszcze było takich, co oczekiwali na „powrót taty”, jak mówiono o carze.

Zachował się rękopis z wystąpienia Abramowskiego.

„Gdy się obserwuje uważnie różne przejawy życia warszawskiego w dobie obecnej, przejawy występujące u góry i dołu społeczeństwa, to istotnie nasuwa się smutne pytanie, czy Warszawa godną jest stać się stolicą niepodległego państwa, czy dojrzała do takiego stanowiska, aby być wobec świata całego przedstawicielką wielkiego wolnego narodu?...

Sami staramy się swoim postępowaniem przekonać koalicję, zarówno Londyn i Paryż, jak i Petersburg, że uważamy siebie za prowincję państwa rosyjskiego i że taką nadal pozostać pragniemy. A Warszawa, stolica Polski, serce Ojczyzny całej, przoduje w tym ruchu i przewodzi. Tutaj przecież, w tym królewskim grodzie tłumy ludzi cieszyły się demonstracyjnie w pierwszym roku wojny, gdy nadeszła wiadomość o wzięciu Lwowa i po suwaniu się Moskali pod sam Kraków, cieszyli się ci nawet (nie tylko osoby, ale i niektóre partie polityczne), którzy wiedzieli dobrze, że w razie zwycięstwa ostatecznego Rosji - zniszczona będzie jedyna dzielnica Polski, posiadająca swój własny Sejm i rząd krajowy autonomiczny, jedyna dzielnica, gdzie rozwija się polskie szkolnictwo, gdzie lud może kształtować się na obywateli swojej własnej ojczyzny...

Jeżeli są tacy lub byli, którzy chcieli rządów obcych, którzy wyrzekali się swojej Ojczyzny - to takich nawet za Polaków, uważać nie można. Są to wyrzutki swego narodu, ludzie co *zaprzędali duszę* swoją - bo dusza Polaka zawsze oddana była swojej Ojczyźnie i za wolność Ojczyzny każdy Polak gotów był życie oddać.

Dlatego nie będę Was, Panowie, przekonywał, że potrzeba nam własnego *Państwa* Niepodległego, że potrzeba własnego a nie cudzego *rządu*, że potrzeba własnego *wojska*, żeby służyło i broniło Państwa Polskiego od najazdu.”

Ponoć, wedle opowieści, jakie krążyły o tym przemówieniu, co bardziej tchórzliwi redaktorzy zaczęli chyłkiem opuszczać zebranie, drżąc dla odmiany przed niemiecką policją. Wiadomo było bowiem, przeciw jakiej koncepcji politycznej wymierzone były ostatnie słowa Abramowskiego: przeciw naciskowi Niemiec, ażeby Legiony były organiczną częścią ich armii, a nie siłą zbrojną przyszłej Polski suwerennej. Dlatego właśnie Piłsudski - wbrew większości Piłsudczyków i wbrew Sikorskiemu - przerwał werbunek do Legionów. Wystąpienie Abramowskiego było dokładnie po myśli Piłsudskiego, a wbrew stanowisku Sikorskiego, ażeby *mimo wszystko* Legiony tworzyć nadal, u boku państw centralnych, bo choć chwilowo będą „cudze”, to się bardzo przydadzą w momencie zakończenia wojny i budowania Polski.

Abramowski mówił dłużej. Atakował z furią tych, co nadal czekają na powrót Moskali. I tych, którzy wierność caratowi motywowali złożoną przysięgą. Przysięga, złożona pod przymusem - grzmiał Abramowski - jest *zdradą*, nie ma żadnej wartości przed Bogiem i sumieniem! Przysięga na wierność *obcej* władzy nikogo nie obowiązuje, obowiązkiem jest ją zerwać, wystąpić przeciw niej!

Już ostatnie lata życia...

W łóżku przygotowuje konspekty wykładów, które od 1915 roku wygłasza studentom, ściągającym masowo z różnych wydziałów, aby posłuchać człowieka-legendę. Ostatni cykl nosi tytuł: „O badaniu typów indywidualnych”.

Gdy czuje się trochę lepiej, biegnie na tajne spotkania Polskiej Organizacji Wojskowej. Bierze udział w układaniu modlitewnej książki dla polskich żołnierzy – on, niegdyś ateista! Podobno też – on, metafizyczny filozof! – tworzy żołnierskie piosenki.

Eksperymentuje, pisze, kursuje między uniwersytetem, a swoim laboratorium instytutowym na Pięknej 44.

„Kto widział Abramowskiego na katedrze – wspomina Krzeczkowski – nie zapomni nigdy jego wyniosłego czoła, niepospolitego blade go oblicza, zmęczonej twarzy, pijącego czarną kawę, wykładającego z początku z trudem, zajękliwe, powtarzającego się, gdy stopniowo zaczynał się zapalać, rozgrzewać, fascynował łatwością i płynnością wy mowy, doborem argumentów, niezwykłych ujęć, olśniewał wiedzą i strukturą myśli, powiązaniem ich dziwnym w nieskończenie wielki systemat. Widać było wytężoną pracę umysłu i woli nad słabą kompleksją cielesną. Przykuwał wtedy wszystkich, porywał i pociągał za sobą.”

Ciągle z kimś konferował konspiracyjnie. Ciągle był otoczony młodzieżą, poświęcał jej całe dni, wpajał jej kult nauki. Kierował kołami studenckimi i literackimi. Równocześnie z zajęciami kursowymi prowadził międzywydziałowy wykład o kooperatyzmie. Wbijał młodzieży: Polska stanie się wkrótce państwem samodzielnym... Do pracy państwowej, bardziej efektywnej i pociągającej, ludzi nie zabraknie... Spółdzielczość tylko wtedy swą rolę spełni, jeśli skupi kwiat młodej inteligencji...

Wśród przyjaciół zaś powtarzał, że pragnieniem jego życia było za wsze umrzeć na barykadzie.

Obok zajęć uniwersyteckich zaczyna cykl publicznych wykładów na temat „Metafizyki doświadczalnej”. Znowu interesuje się spirytyzmem, jasnowidzeniem, telepatią. Widuje się z cadykami, którzy chcieli go poznać i od których on chciał wydobyć tajemnice religijnych praktyk żydowskich.

Straszna nędza ludności miejskiej pod niemiecką okupacją wciąga go w społeczną kampanię pomocy potrzebującym, szczególnie w agitację, ażeby dzieci posyłać na wieś, gdzie łatwiej się wyżywić. Zjednuje do tych pomysłów znanych publicystów. Samemu już nie staje sił.

Nocami, wypoczywając czas jakiś w Dębowej Górze, pisze *Poemat śmierci* – pierwsze od dzieciństwa dzieło w mowie wiązanej, artystycznie bez wartości, lecz interesujące psychologicznie.

Gdzie ty idziesz – Gdzie? Do Boga!

Och! nie tędy twoja droga!

Droga twa nie pędzi naprzód, Ona idzie tylko wstecz!

*Ona idzie tylko włąb!
Nie pędź naprzód! nie przed siebie,
Idź do siebie – idź do siebie!
Źródło życia, źródło chcenia.
Tam odnajdziesz kogo szukasz –
Wielkich czynów tchnienia;
Ostatniego Boju pieśń,
Czasy marzeń, walk pragnienia,
Bohaterskie upojenia
Tam odnajdziesz swe sny złote...*

Cały poemat jest właściwie wierszowanym wykładem metapsychoznych koncepcji Abramowskiego, pisanych pod presją świadomości lub podświadomości („jakiegoś niewiadomego głosu”), że Kres jest tuż za drzwiami... I przebija przez ten poemat owa właśnie „agnozja”, porusza na iskierkami wspomnień z dzieciństwa, marzeń, które się już nie spełnią, lecz są składnikiem jego JA psychicznego, a zatem realnością.

*Byłem nigdzie, byłem wszędzie
Przechodziłem za krawędzie
Mlecznych dróg, za komet szlaki
Wspierałem się o Zodzaki;
Mogłem złote gwiazdy trącać,
Ciszę wielką próżni zmącać,
Mogłem wielkie słońca gasić,
Lody topić, wichry straszyć!*

Więc to śmierć! Coraz rzadziej podnosi się z łóżka. Ogródek przed Instytutem kazał obsadzić kwiatami. Często mówił o kwiatkach. O barwach. O słońcu. Miał nieustające halucynacje. „Ostatnie lata jego życia były dla wszystkich niepojętą zagadką nadludzkiej siły ducha, walczącej z kilku naraz śmiertelnymi chorobami – napisała Maria Dąbrowska – i pozwalającej mu pracować wciąż twórczo, mimo szalone cierpienia”.

Do końca pragnął rozwiązać zagadkę Śmierci. Mawiał, że nie umrze, dopóki nie dowie się, co jest za drugim brzegiem Styksu.

Jeszcze kreśli jakieś sprawozdanie, z którego zostały fragmenty:

„Z radością mogę stwierdzić, że młodzież polska wyczuwa dzisiaj w jakimś intuicyjnym jasnowidzeniu to znaczenie psychologii dla tworzenia się życia narodowego, wolnego życia. Zaczynając wykłady psychologii doświadczalnej w Uniwersytecie Warszawskim 1915 roku nie przypuszczałem nawet, że staną się one ogniskiem ruchu umysłowego w małym nawet zakresie. Rzeczywistość przewyższyła jednak wszystko, co mogłem przypuszczać... Na ćwiczenia doświadczalne przychodzi do Instytutu około 60 słuchaczy i słuchaczek... Wyniki teoretyczne tak nie spodziewane dla dotychczasowej uniwersyteckiej psychologii, że sam pierwszy musiałbym zaprzeczyć ich wartości naukowej, gdybym nie wiedział, że wynikają z dokładnych doświadczeń, ścisłych obrachowań sto-sunków i z metody poprawnej i krytycznej.”

Gdy czuje się choć trochę lepiej, przyjmuje każdego, kto potrzebuje od niego rady – polityka czy studenta. Jan Wolski, przystępujący do praktyki w spółdzielni, odwiedził go i zanotował pouczenia: Niech pan zawsze pamięta, że spółdzielczość nie jest celem samym w sobie, lecz tylko środkiem i drogą do właściwych celów, jakimi są braterstwo, wolność i szczęście wśród żywych ludzi. Kto nie kocha żywych ludzi, kraju, narodu, a tylko oderwaną ideę spółdzielczą, ten spółdzielcą nie jest.

Gdy gorączka wzmagą się, nie poddaje się bezwładności, lecz z ołówkiem w ręku śledzi jej harce po własnej sferze podświadomego i notuje, notuje – będąc zarazem podmiotem i przedmiotem badania psychologicznego.

„Przedmioty otaczające zaczynają robić się mgliste, o konturach zmiennych – to zwiększają się, to zmniejszają się. Przestrzeń także zmienia się. Żeby odnaleźć przestrzeń normalną i przedmioty zwykłe, trzeba zamknąć oczy na parę minut, po otwarciu widzi się przez chwilę dawny porządek. Przedmioty nie są martwe, mają swoje życie i wyrazy, mają twarze spokojne, bardzo charakterystyczne, twarz kanapy, fotela szczególnie; małe rzeczy nie mają takich wyrazistych twarzy. Między nimi jest jakaś wymiana myśli, jakgdyby opowiadały sobie o czymś. Czasem śmieją się – śmiech nie słyszy się, ale się widzi. Najczęściej śmieje się fotel. Śmiech jest nieprzyjemny, urągający, w nocy straszny.”

Stał fotel smutny, cichy i pusty

Wydawał jakieś jęki i skargi

Echowe, dziwne, co nie szły przez wargi

Lecz prosto do duszy samej.

„Między mną a rzeczami jest jakiś związek głęboki, tak jakbym odczuwał w nich swoją własną istotę. W chwili największego rozgorączkowania jest zupełny panteizm *sui generis*. 'JA' wypełniam cały pokój, nie ograniczam się do ciała swego, jestem wszędzie, we wszystkich rzeczach, nawet najmniejszych; palę

się w lampce, rozpościeram się w ścianach, ulatniam się w kółkach dymu, jestem kwiatami, wodą, zegarkiem, wszystkim. W nocy, kiedy zasypiam, a raczej kiedy drzemię, ten związek staje się niemal organiczny – przedmioty z którymi stykam się, poduszka, kołdra, łóżko, stają się jakby częścią mego ciała – każda zmiana w położeniu tych rzeczy odczuwa się jako zmiana wewnętrzna (...) Połączenie widzenia i słyszenia miałem kilka razy. Jednego razu zjawilo się parę postaci, bardzo niemiłych (15 października, zdaje się); szczególnie zapamiętałem dobrze jedną z nich – przedstawił mi się jako „Zachariasz Stempa”, był nieco ostrzyżony i ogolony, z dużą głową, wysoki, źle ubrany; mówił dużo bez żadnego sensu, nie można było dowiedzieć się czego właściwie chce, jakkolwiek chciał czegoś ode mnie i starał się o czems przekonać. Tamten drugi milczał...”

Jakaż śmieszna, głupia farsa!

On – biesiadnik uczt świątecznych,

Bogom równy – twórca życia,

Miałby być tą mumją gnicia?

Władca rajów, on przedwieczny

– Byłby chwilką życia?

W maju ciężko zapadł, od znajomych spod Warszawy przywieziono go w stanie omal agonalnym. Już nie wstawał.

Nela Samotyhowa:

„Zmarł cicho, o godzinie 6 przed zachodem słońca, gdy na ziemi układały się fioletowo-różowe blaski. Uczciła go wielkim pogrzebem jeszcze niewyzwolona Polska.”

Zabrakło mu 143 dni do Niepodległości. Umarł 21 czerwca 1918 roku.

Wszystko to przeszło stepowym szlakiem

Pod wielkich niebios słonecznym znakiem

Przeszło jak orszak mar!

I olbrzymiemi słupami z granitu

Jako zdobycze wiecznego Bytu

Stanęły na Polskiej Ziemi

Na znak wiecznego z Marją przymierza

Nowych narodzin Jej Znak u rycerza

Co snami stworzony swemi.

Maria Dąbrowska: „Co może powiedzieć wielka naukowa krytyka o Abramowskim, tego nie wiem. Lecz dla nas, zwyczajnych ludzi, jego dzieła są źródłem zdrowego i mocnego entuzjazmu do życia”. A Żeromski w Przedwiośniu wypowiada takie słowa ustami Gajowca:

„Patrzę na jego kochany portret i powtarzam mu codziennie: Śpij spokojnie, jasny duchu! Pracujemy dzień i noc, bez wytchnienia, szerzymy i spełniamy twe marzenia...

Trzeba je szerzyć i spełniać dalej. Zło dobrem zwyciężać. Abramowski spoczywa na Powązkach, kwatera 65, rząd VI. Czy i ten grób zdobiją kwiaty i narodowe barwy od „Solidarności”?

MIĘDZY LAMUSEM A NADZIEJĄ

Abramowski odżywa, gdy ludzie mają nadzieję, gdy marzą o odnowieniu społeczeństwa wedle zasad, które wyznają, a nie według narzuconych praw.

Gdy państwo staje się Potworem, plastycznie odmalowanym przez Abramowskiego, on umiera, idzie do lamusa – by zmartwychwstać, kiedy coś zaświta.

Pierwszy raz odżył wkrótce po zejściu ze świata. Wiele o nim w latach dwudziestych pisano, przyjaciele i uczniowie wspominali go i cytowali, je go idee współtworzyły rzeczywistość. Polacy radowali się wtedy „z odzyskanego śmietnika” (jak napisał Kaden-Bandrowski) i w ciągu kilku lat odrobili ogromny szmat czasu straconego przez niewolę, scalili trzy tak odrębne organizmy zaborów, usunęli zniszczenia wojny, która w proporcji do majątku narodowego była nie mniej niszczycielska, aniżeli ta następna. Gdyby Abramowski żył o kilka lat dłużej, zobaczyłby dojrzewanie owoców swych idei: oświata, spółdzielczość, rozmaite społeczne inicjatywy obywatelskie (nadal wspierane przez masonerię) rozprzestrzeniały się szybko i szeroko, choć kraj był ubogi i rozdarty zajadłymi sporami. Żeromski w *Snobizm i postęp* napisał dobitnie: „W przeciągu jedne go roku szybkość postępu polskiego wykonuje bieg nadzwyczajny”. Państwo – trzeba to podkreślić – było wtenczas słabe, niezborne, co parę miesięcy wstrząsane przesileniami rządowymi; dopiero uczyło się demokracji, której wszak nigdy nie zaznało. Ale i bez silnego państwa samoorganizujące się społeczeństwo nieźle dawało sobie radę. Dopiero później, po zamachu majowym, zaczęła się zachłannie rozpleniać ideologia państwotwórcza, lecz państwo – wbrew własnej doktrynie – jakby stanęło w miejscu; a naród stracił dynamizm. Rząd zagarniał coraz szersze połacie życia narodowego, przeforsował nową konstytucję, która mu dała rozległe prerogatywy kosztem obywateli, lecz państwu to na zdrowie nie poszło, czego dowiódł Wrzesień.

Po raz drugi Abramowski odżył, gdy Polska na krótko zachłysnęła się nadzieją odrodzenia po hitlerowskiej gehennie. Przez parę lat – mimo że samozwańczy rząd był już omal samowładny i tępił „zapluty charyzmat” – naród nie wierzył, że to potrwa długo. Byle do wiosny! Stanisława Mikołajczyka noszono wraz z samochodem po Krakowie, w Szczecinie cały zjazd harcerstwa przyłączył się do jego korowodu, w Warszawie kibice przerwali mecz futbolowy Polska-Jugosławia, gdy on został dostrzeżony na trybunie. Polskie Stronnictwo Ludowe popierała zdecydowana większość Polaków. Miało ono w programie zwroty jakby żywcem skopowane z Abramowskiego. Przewędrowały z broszur Polskiego Związku Ludowego do ideologii „zaraniarzy”, od nich przejęło je PSL „Wyzwolenie”, które zabarwiło nutami radykalizmu Stronnictwo Ludowe czasu międzywojennego i przez podziemny „ROCH” dotarło, po czterdziestu latach, do Programu PSL. Czytamy w nim:

„... poglądy, postępowanie i dążenia człowieka w stosunkach między ludzkich nie są bezwzględnie i wyłącznie uzależnione od warunków materialnych. Ani też jednym regulatorem stosunków między ludźmi i grupami społecznymi nie jest bezwzględna walka”.

„Ruch Ludowy przestrzega, ażeby wszelkie urządzenia i instytucje w państwie były rozwinięciem demokracji, budowanej od dołu, wyrastającej z samodzielnie tworzonych przez społeczeństwo zrzeszeń i związków demokratycznych”.

„Wolność człowieka i tworzonych przez niego zrzeszeń jest kardynalnym warunkiem demokracji”.

„Ruch Ludowy wyraża głębokie przeświadczenie, że nie można o wiele polepszyć warunków międzyludzkiego współżycia, jeżeli nie zmieni się poziom moralności społecznej”.

„Ustrój życia społecznego musi być oczyszczony z dążności do odgórnego i na wzorach totalistycznych opartego organizowania społeczeństwa, mającego na celu tłumienie samodzielności, a wytwarzanie w jej miejsce uległości i ślepego posłuszeństwa”.

„Abramowszczyzna” zabarwiała nie tylko program ludowo-demokratycznej opozycji przeciwko ustrojowi „demokracji ludowej”. Także w obozie triumfującej mniejszości – a ściślej: jej niewygodnych sojuszników z oficjalnej PPS – przewijała się, co prawda ledwie słyszalna wśród fan far i bębnow, nutka *socjalizmu humanistycznego*. Jego trubadurem był przede wszystkim wybitny myśliciel i bojowiec z czasów okupacyjnych Jan Strzelecki. Główne swe teksty ideologiczne ogłosił on w latach czterdziestych, więc dla pokolenia „Solidarności” Strzelecki jest postacią niemal tak historyczną, jak Abramowski, chociaż żyje w dobrej formie i kondycji; i był jednym z ideowych akuszerów „Solidarności”, aczkolwiek skromnie trzymał się w drugiej linii doradców podczas Strajku Gdańskiego.

Dla pokazania wspólnoty obu filozofów ważny jest już ten znak, że Strzelecki raz po raz używa pojęcia „braterstwo”, które objaśnia podobnie jak Abramowski: „Braterstwo oznacza utożsamienie się z kimś drugim, nie oddzielanie jego losu od swojego” (...) „Braterstwo jest łatwością przekraczania tych granic, które filozofowie głoszący samotność człowieka uznają za nieprzekraczalne” (...) „Braterstwo – tak w pełni autentyczne, tak odległe od bycia tylko słowem – wprowadza w zrozumienie istoty i gra nic dawnego zawołania związanego z symboliką rewolucyjnych ruchów (i jednocześnie z symboliką chrześcijaństwa) – zawołania o braterstwie ludzi”.

Następne znaki w tekstach Strzeleckiego, sygnalizujące jak bliski mu jest Abramowski, to słowa „godność” i „tożsamość człowieka” oraz zwrot o „ruchu ku osobowości i ruchu ku wspólnotie”. Zbieżna jest ich ironia wobec determinizmu, „Skarbcza usprawiedliwień wszystkiego i wszystkich”. I jeszcze ten cytat z Marii Dąbrowskiej, użyty jako motto, że

ludzkość karmi się w gruncie rzeczy „kilku zaledwie prawdami i nakazami moralnymi, które wciąż zdradza, za którymi wciąż tęskni i do których bez ustanku powraca”. Także potępienie państwa godzącego wszechmoc władcy z najnowocześniejszą techniką wprzęgniętą w służbę kontroli umysłów – oraz apoteoza etyki, która braterstwo w Bogu, to znaczy w najwyższych wartościach, stawia wyżej niż braterstwo plemienia i broni – wiernie przylegają do ideologii Abramowskiego. Można dalej i długo ciągnąć listę wspólnych przeświadczeń: że nie wolno czynić z rozumu ostatecznej wyroczni tego, co godzi się mniemać człowiekowi... że należy wstrzymać się od zbyt wielkiego zaufania okazywanego historii jako sędziemu spraw ludzkich... że naiwna była wiara XIX-wiecznych socjalistów, iż moc władzy będzie w nowym ustroju jedynie mocą czynienia czystego dobra dla pożytku wszystkich... W innej poetyce, często w innych terminach, Strzelecki wyrażał to samo, co Abramowski. Następne motto, z Camusa: „Solidarność między ludźmi opiera się na odruchu buntu, który z kolei może być usprawiedliwiony tylko dzięki tej współodpowiedzialności”. Dalej: sprzeciw przeciwko teorii, że wszelkie środki prowadzące do zwiększenia mocy organizacji są środkami dobrymi. I Abramowski, i Strzelecki – i cytowani Camus oraz Dąbrowska – to ludzie jednej formacji moralnej i bardzo bliskiej – intelektualnej.

Nie ma nic osobliwego w tym, że Strzelecki bardzo rzadko nawiązuje wprost do Abramowskiego; po pierwsze – w ogóle nie lubi cytowania, po wtóre – jego sentyment wyraźnie zwraca się ku Nauczycielowi, którym był Stanisław Ossowski (następny Wielki z tejże formacji moralnej), po trzecie – jego pokrewieństwo myślowe z Abramowskim skłaniało go, jako teoretyka, raczej do zacierania wpływu poprzednika niż do przywoływania go w tekstach. Gdy w zakończeniu programowego artykułu *O socjalizmie humanistycznym* (1946) Strzelecki zauważa, iż „prąd ten nie jest – zdaniem piszącego – czymś tak bardzo nowym” – nie mógł jednak nie mieć na myśli Abramowskiego.

To wszystko rozbrzmiewało krótko. To wszystko wyciszono na długie lata, odkąd PSL zostało zmaltretowane i rozpedzone, a humanizm socjalistyczny potępiono jako chwast w ogrodzie marksizmu-leninizmu. Wolne myśli, liryczne tony, spontaniczne działania społeczeństwa zaważały państwu stalinowskiemu. „Potwór państwowy” w mutacji polskiej nie miał wprawdzie tak długich zębów, jak jego pierwowzór, ale wystarczają co ostre, by schrupać wszystko, co samo oddzielne, niezależne, samorządne. Kiedy rozprawiono się z potężną siłą, jaką było PSL, losy cieniutkiego nurciku socjalizmu humanistycznego były przesądzone. Zadeptał go dogmatyzm. Nie wskrzesił go burzliwy okres Października; wtedy szukano „odnowy” przez rewizjonistyczne przewartościowanie marksowskiej ortodoksji, a nie przez sięganie do tradycji polskiego socjalizmu. Dawni PPS-owcy nie dali głosu, dawni ludowcy tym bardziej. Abramowski tylko na mgnienie oka odżył w Klubie Krzywego Koła, mówił o nim Jan Wolski, mówiła Dąbrowska. A kiedy w wiele lat później wybuchła „Solidarność” – samo słowo „socjalizm” wywoływało już tak ostrą repulsję, że nie ratował go nawet przymiotnik „humanistyczny”. Rewolucja robotnicza ozdobiła się symboliką religijną. Zgorszenie zachodniej lewicy było wielkie; przeoczyła ona, iż posoborowa doktryna Kościoła zarówno w warstwie celów, jak frazeologii, wielce zbliżyła się do wczesnego socjalizmu, co (abstrahując od specyficznej w Polsce narodowej funkcji Kościoła) umożliwiło kształtowanie się „Solidarności” w tak osobliwej dla nie Polaków postaci ideologicznej.

Jednakże na drugim czy trzecim planie, pod sakralną i narodową pokrywką, w „Solidarności” odnowił się także nurt socjalizmu humanistycznego – i zarazem odżyły marzenia anarchosyndykalistyczne. Świadomi przywódcy oraz doradcy ruchu zaczęli się wręcz powoływać na Abramowskiego; podobno i samą nazwę „Solidarność” podpowiedział Karol Modzelewski, odczytany w tym filozofie. Wszystkie te czynniki łącznie, niezależnie od ich genezy, złożyły się na renesans politycznego myślenia, społecznej podmiotowości i narodowych ambicji.

Ten czas trwa, mimo że państwo „realnego socjalizmu” sięgnęło po środki nadzwyczajne, by uśmierzyć niepokornych i ochronić interes klasy biurokracji, której uformowanie się i opresyjną rolę Abramowski precyzyjnie przewidział 90 lat temu. Ani jednak stan wojenny, ani późniejsze drakońskie zaostrzenie prawodawstwa, nie zgasiły (choć przytłumiły) rewindykacji społeczeństwa. Mędrzec ożył po raz trzeci. I to nie tylko ów sławny manifest *Zmowa powszechna przeciw rządowi* który jest moralnym uzasadnieniem i po części praktyczną dyrektywą taktyki bojkotu. Źródło „abramowszczyzny” jest głębsze i ciągle świeże.

To nie znaczy, że cała jego konstrukcja teoretyczna (o ile nawet przyjmiemy, że takowa istniała w postaci skończonej) oparła się kruszącemu działaniu czasu. Nie istnieje i nigdy nie istniała ideologia, która by w całości nadawała się do aplikacji praktycznej i nie uległa erozji w rezultacie nowych przemyśleń, rodzących się z obserwacji zmian społecznej rzeczywistości. Każdy też wielki myśliciel schodził nie raz na manowce całkiem bezpłodne bądź takie, które tok dziejów zdezaktualizował. Niemądre byłoby wymawiać Marksowi, że rewolucji socjalistycznej oczekiwał w krajach najbardziej rozwiniętych; ważne, że w swoim czasie dokonał najlepszej analizy XIX-wiecznego kapitalizmu w europejskim kręgu kulturowym. Engels w *Anty-Dühringu* udowodnił, że państwo musi obumierać i nie będzie w socjalizmie rządzić ludźmi, lecz tylko rzeczami, procesami produkcji – a tymczasem ono rośnie w molocha, ludzi tyranizuje, produkcją rządzi fatalnie; Abramowski był bardziej przenikliwy od Engelsa, którego jednak powinniśmy ocenić choćby za to, że on właśnie polskich socjalistów nawracał na patriotyzm. Dla odmiany Róża Luksemburg wstawiła się antyniepodległościową sofistyką; tego nie zapominamy. Ale pamiętajmy i to, że właśnie ona była najbardziej namiętną krytyczką leninowskiej koncepcji partii, to jest tego mechanizmu, który nam przyniósł i przynosi zniewolenie.

Analogicznie, nawiązujemy do trafnych, a nie do chybionych pomyślnych słów Abramowskiego. Jednych i drugich było w jego dziełach wiele.

Myśl Abramowskiego nie dlatego wymaga krytycznej weryfikacji, że jakoby była „utopijna”, co z błyskiem w oku zarzucają jej marksiści. Utopie bywają – jak właśnie główne jego pomysły – nader płodne i realizują się nie rzadziej niż „naukowe” prognozy, dowodów na to bez liku. Po pro stu myśli Abramowskiego zostały i są nadal sprawdzane przez rzeczywisty bieg dziejów i postępy intelektualne. Niektóre gałęzie drzewa mądrości uschły, inne były rachityczne od początku, ale inne są nadal zielone jak nadzieja.

Z różnych powodów trzeba czytać Abramowskiego. Mniej ważne – to, po pierwsze: ocalenie w zbiorowej pamięci ważnego fragmentu polskiej myśli politycznej, a po drugie: po-

znanie i zrozumienie mentalności pokolenia, na które on wywarł ogromny wpływ, a które miało szczęście uczestniczyć w wyzwoleniu i budowie Niepodległej.

To są powody historycznej natury; wiedza o dziejach polskiego myślenia jest istotnym elementem narodowej tożsamości. Ale ten wątek tylko sygnalizują.

Nie zatrzymam się także nad trzecim powodem, skłaniającym do powrotu do jego ksiąg. Tym powodem jest ich pozapolityczna i ponadczasowa wartość dla ludzi, skłonnych sięgać w głąb własnej jaźni, badać w sobie „agnostyczne” mechanizmy wzruszeń i poznania, penetrować sferę podświadomości, poszukiwać Absolutu, kontaktować się z Nadprzyrodzonym. Kto pasjonuje się psychologicznymi i metafizycznymi meandrami „abramowszczyzny”, ma podobne intencje i pragnie je analizować – powinien czytać *Metafizykę doświadczalną*.¹

Zasadniczym powodem, który skłania do refleksji nad Abramowskim jest zdumiewająca aktualność i odkrywczosc wielu aspektów jego moralistyki oraz filozofii społecznej, jak również wielu dyrektyw praktycznych, mających na celu naprawę ustroju.

Dlatego właśnie w ostatnich latach odżyło szerokie – czasem entuzjastyczne, niekiedy krytyczne – zainteresowanie Abramowskim. Warto zreferować niektóre głosy o jego roli dziś, nie pomijając też dawniejszych ocen i sporów.

W emigracyjnym czasopiśmie „Aneks” (35/1984) ukazał się ważki artykuł Andrzeja Walickiego „Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce”. W tymże numerze Walickiemu replikowali Waldemar Kuczyński, Jan Józef Lipski i Krzysztof Pomian, zaś on udzielił im riposty. Spór dotyczy strategii polskiej opozycji demokratycznej, zwłaszcza „Solidarności”; nie ma możliwości omówienia go w tym miejscu. Po przestańmy na jednym ważnym fragmencie. Walicki przypomina, że Abramowskiego za swego patrona uważał KOR i że na łamach „Głosu” powoływano się na jego ideę pozapaństwowego organizowania sił społecznych. Następnie stwierdza:

„Abramowski jednak działał w okresie, w którym ekonomika nie była scentralizowana i upaństwowiona, a więc jego idea „rzeczypospolitej”? spółdzielczej była mimo wszystko mniej utopijna niż idea „samorządnej rzeczypospolitej” w PRL. Aż wstyd wyjaśniać, że bez zasadniczej, rozwalającej cały system decentralizacji gospodarczej nie mogło być mowy o jakimkolwiek „pozapaństwowym” organizowaniu sił społecznych, a więc nic tu po Abramowskim. Gdyby „Solidarność” zażądała przekazania jej decyzji co do, na przykład, rozdziału funduszy i dewiz, handlu zagranicznego itp., to równałoby się to żądaniu przekazania znacznej części władzy; gdyby zaś tego nie zażądała, to „samorządna rzeczpospolita” mogła by być tylko elementem systemu, a nie czymś pozasystemowym, elementem struktury państwowej, a nie czymś w rodzaju państwa podziemnego w czasach okupacji”.

Dalej Walicki wyraża przypuszczenie, iż autorzy pomysłu „samorządnej rzeczypospolitej” traktowali tę teorię instrumentalnie, jako narzędzie walki politycznej, którym za-

¹ Abramowski. *Metafizyka Doświadczalna*. Biblioteka Klasyków Filozofii, PWN, 1980. Opracowanie i wstęp Stanisław Borzym.

mierzali powoli wykruszać system „od dołu”; mówili wprost, że reforma samorządowa gospodarki nie uratuje, ale za to umożliwi wyeliminowanie nomenklatury i utworze drogę stopniowej „autofinlandyzacji” Polski.

Rozumowanie Walickiego zawiera elementy słuszne, ale jego myśl zasadnicza jest fałszywa.

Słuszne jest to, że współczesna gospodarka scentralizowana nie nadaje się do „usamorządowienia” *en bloc*. Ono jest możliwe w fabrykach nie wielkich i niezbyt skomplikowanych, w sektorze drobnotowarowym i usługach (cechy), na pewno w rolnictwie i gospodarce komunalnej, lecz w wielkich zakładach i kombinatach, bardzo złożonych technologicznie i kooperacyjnie, samorząd wydaje się nierealny. Tam niezbędny jest sprawny system menedżerski, kontrolowany przez związki zawodowe. Nie kompetentny w kwestiach zarządzania samorząd pracowniczy stałby się w praktyce fasadą, przesłaniającą partykularne interesy dyrekcji, kadry inżynierskiej i średniego dozoru – częstokroć przeciwstawne interesom robotniczym. W 1981 roku trafnie krytykował entuzjastów koncepcji samorządowej Jan Rulewski. Dowodził, iż doszłoby nieuchronnie do konfliktu samorząd – „Solidarność”, a superarbitrem byłaby partia. W efekcie, twierdził, władza przy pomocy samorządów mogłaby manipulatorsko rozbić „Solidarność” bez użycia środków „siłowych”.

Słuszne jest również przekonanie Walickiego, że doradcy „Solidarności” (powiedzmy: część doradców) jedynie po to lansowali hasło samo rządności, ażeby wyeliminować „nomenklaturę”, główną podporę biurokracji partyjnej. Tak było istotnie, nie ukrywano tej intencji. Efekt był odwrotny od zamierzonego: zagrożone kręgi menedżerskie nie uległy destrukcji (co było nierealne) ani dezintegracji (co było realne), lecz w panice skonsolidowały się wokół politycznego centrum i z entuzjazmem poparły stan wojenny.

Trzecia sprawa jest wielce dyskusyjna i nie potrafię jej rozstrzygnąć. Otóż, nie byłoby chyba nieszczęściem, gdyby Samorządna Rzeczpospolita stała się – jak pisze Walicki – „tylko elementem systemu, a nie czymś pozasystemowym”. Oznaczałoby to przecież demopolizację, sprzyjającą pluralizmowi także w dziedzinach pozagospodarczych. Jeśli się od rzuca hasło „im gorzej tym lepiej” to trudno dostrzec wady w takim połowicznym rozwiązaniu. Akurat Abramowski twierdził, że jeśli chwilowo nie można osiągnąć celów wielkich, to trzeba brać choćby cząstkowe.

Zupełnie natomiast niezrozumiałe, czemu to zdaniem Walickiego „aż wstyd” wyjaśniać, że nie można organizować sił społecznych poza państwem – bez „rozwalającej cały system decentralizacji gospodarczej”. Otóż siły społeczne można łatwiej lub trudniej organizować w *każdych* warunkach – i na tym polegała doktryna Abramowskiego, która w swoim czasie przyniosła wszak wiele realnych osiągnięć. Również w okresie legalnej „Solidarności” siły społeczne organizowały się, a dowodem było samo jej powstanie! I organizują się nadal, w warunkach konspiracyjnych. Scentralizowany system trwa jak najbardziej, na przekór ogłoszonej reformie, zaś autentyczne siły społeczne rozmaitymi ścieżkami – legalnymi, półlegalnymi, tajnymi – drążą go jednak, skutecznie zabiegają o konsolidację społeczeństwa wokół węzłowych celów, przeciwdziałają atomizacji, urzeczywistniają (cóż, że z ogromnymi oporami) ideał społecznej podmiotowości. Walicki zdaje się wyznawać zasadę „albo-albo”, która być może jest poprawna logicznie, ale w polityce obowiązuje jedy-

nie w sytuacjach krańcowych. Gdy nie ma widoków na „rozwalenie systemu” – a nawet, z rozmaitych powodów, dążenie do tego byłoby szaleństwem – trzeba go reformować, zmieniać jego naturę. Ten system, jak każdy, jest reformowalny, o ile się działa konsekwentnie i długofalowo, i nie zważa się na fikcyjną „nienaruszalność” jego żelaznych praw ideologicznych, które nie są niczym więcej niż np. muzułmańskie wyznanie wiary lub tybetański młynek modlitewny. Reformy nastąpiły w Jugosławii, w NRD, na Węgrzech, w Chinach (na ogromną skalę) i w Polsce też następują, choć drastycznie ograniczone i pomimo obecnego uwstecznienia systemu politycznego. Nawet ZSRR daleko odszedł od modelu stalinowskiego.

Długofalowy i realny program organizowania sił społecznych przedstawił niedawno w „Tygodniku Mazowsze” Władysław Frasyniuk. Nie łudząc się co do skutków szybkich i efektywnych, zaleca on działania cząstkowe: organizowanie tam, gdzie to *ma sens*, samorządów pracowniczych, wykorzystanie szans ustawowych dla nadawania autentyzmu samo rządowi spółdzielczemu, masowe samokształcenie (tutaj osiągnięcia już są ogromne), legalną walkę o prawa wyborcze, nacisk społeczny na urealnienie minimum socjalnego, obronę wolnych sobót, korzystanie z broni strajkowej gdziekolwiek rysuje się szansa sukcesu (przykładów sukcesów lokalnych jest bez liku), społeczną samoobronę przed gwałtami policyjnymi, pokojowe manifestacje, pisanie zbiorowych petycji. Nie obiecuje Frasyniuk, że to od razu przyniesie rezultaty, ale doskonale rozumie, iż działania takie są niezbędne, aby społeczeństwo zachowało swą tożsamość i stopniowo wywalczało podmiotowość. Robotnik Frasyniuk okazał się zdolnym uczniem nie tylko Wałęsy – przede wszystkim właśnie Abramowskiego! Jego program, to nic innego jak (nieświadoma zapewne) adaptacja filozofii *Zmowy* do obecnych warunków politycznych.

Intelektualista Walicki wykrzykuje natomiast: „Nic tu po Abramowskim” Przeciwnie! Jest on bardziej aktualny, niż kiedykolwiek. Sens straciła jedynie jego wszechobjmująca wizja Rzeczypospolitej Kooperatywnej, której nigdy nikt nie traktował dosłownie, chyba nawet on sam. To był *wzorzec teoretyczny*. Należało ku niemu iść, wcale nie licząc na to, że się kiedykolwiek dojdzie. Już osiągnięcie jakiegoś stanu pośredniego (jak np. w Danii) byłoby spełnieniem idei Abramowskiego. Podobnie dziś takim abstrakcyjnym wzorcem jest Rzeczpospolita Samorządna. Dążąc ku niej dopniemy, być może niezadługo, względnie satysfakcjonującego celu etapowego, którego szczegółowe zaprogramowanie jest i nie możliwe, i zbędne.

Istotę intencji Abramowskiego znakomicie, w *Rozmowie w Cytadeli* objaśnił Adam Michnik. Podkreślił momenty kluczowe w jego filozofii społecznej, z reguły niedostrzegane lub przemilczane, albo zakłamywane przez marksistowskich krytyków.

Pierwsza Michnika konstatacja, najmniej zresztą oryginalna, polega na przypomnieniu, że wedle Abramowskiego decydujący wpływ na kształt zmian politycznych ma metoda działania. Cel nie tylko nie uświęca środków, lecz przeciwnie – złe środki muszą nieuchronnie zniekształcić cel. Polityka realizowana nie przez rewolucyjne działanie świadomych mas, ale przez akcję elit partyjnych – jest: „rewolucją biurokratyczną”, która doprowadzi, w razie zwycięstwa, do biurokratycznego socjalizmu państwowego.

„Aby sprawować władzę, robotnicy muszą zdobyć doświadczenie w toku walki o władzę – referuje Michnik Abramowskiego. – Tylko w walce mogą nauczyć się samoorganizacji, osiągnąć polityczną samowiedzę i pojąć naturę swej głównej broni, jaką jest robotnicza solidarność”.

Dlatego złe efekty przyniosła „rewolucja” z lat czterdziestych wniesiona z zewnątrz pod przymusem i utrwalona bez społecznej akceptacji.

Dlatego prawdziwa rewolucja robotnicza rozwija się w Polsce dopiero od Sierpnia. Jak gdyby teraz spełniało się przewidywanie Stefana Żeromskiego, które wyraził w *Snobizm i postęp* na początku lat dwudziestych: „Polsce zawsze śmierział topór i pniak Iwana Groźnego. Tak samo dziś śmierział jej moskiewskie krwawe piwnice i moskiewskie poezje, sławiące mordowanie. Gdy zajdzie potrzeba stworzenia rewolucji, to Polska stworzy swoją, lecz nie pójdzie śladem moskiewskiej”.

Jak ku tej wizji Żeromskiego iść, Abramowski wskazywał wyraźnie acz nieco staroświecko: przez rewolucję *moralną* mianowicie, wyprzedzającą obalenie starego systemu. Tak się nie stało. Ale czyż tak się nie staje dziś – a przynajmniej: czy nie tędy droga, przez urzeczywistnienie ideału braterstwa? Pomimo symptomów rozkładu etosu społecznego, widocznych od momentu ogłoszenia stanu wojennego, jest to najważniejsze wskazanie dla ruchu oporu; a ściślej – właśnie dlatego jest to wskazanie naczelne, że ów etos jest *planowo* rozmywany przez poczynania władzy: przez zastraszanie, przekupstwo, szantaż, oczernianie i skłócanie różnych grup Polaków. Wszystko, co temu przeciwdziała, musi być zatem Polaków bronią. Doskonale to rozumie Kościół. Mniej oczywiste jest to dla wielu grup demokratycznej opozycji, szczególnie dla tych najbardziej zadzierzystych, które mają prostą receptę: obalić Czerwonego, a potem wszystko się dobrze ułoży. Otóż (pomijając fakt, że Czerwony trzyma się mocno) jest prawdopodobne, iż to przyszłe „dobrze” byłoby kolejną odmianą totalitaryzmu, tyle że w odmiennym zabarwieniu, o ile by władzę przechwycili apologety silnego państwa.

Michnik doskonale to wyczuł, iż idea samorządności, przenikająca doktrynę Abramowskiego, była nie tyle konkretnym planem ustrojowym, co ogólną dyrektywą. Nie chodziło Abramowskiemu o zaprojektowanie ustrojowej „utopii kooperatystycznej”, w rodzaju tych, które tworzyli Owen czy Fourier, lecz o propagowanie kooperatyzyzmu jako *środka* do celu wolnościowego.

Ciekawie wyłuszczył Michnik istotę różnic między koncepcjami Róży Luksemburg i Abramowskiego, „Róża Luksemburg broniła przed Leninem wartości demokracji mieszczkańskiej, tłumaczyła, że każdy ruch deprecjujący wolność – pojmowaną banalnie jako wolność dla adwersarzy i ich opinii – nieuchronnie skazuje się na degenerację i jałowość”. Krytykowała Lenina za zniesienie swobód obywatelskich i za aprobatę dla systemu wszechwładzy aparatu partyjnego zorganizowanego w państwo: „Deklarowana dyktatura proletariatu stawała się faktycznie dyktaturą partii nad społeczeństwem a aparatu biurokratycznego nad partią”.

Abramowski natomiast uważał, że wolności mieszczańskie są przywilejem elit, który wcale nie stoi w sprzeczności ze zniewoleniem świata pracy. Należy więc bojkotować instytucje państwowe (sądy, policję, oświatę) i tworzyć własne, niezależne, „które już w samym

procesie zmagania się z państwem zaborczym pozwolą na zbudowanie urządzeń społecznych opartych na solidarności i związkach przyjaźni”. Abramowski sięgnął więc głębiej; był *bardziej* rewolucyjny. Uważał, że zmiany społeczne odgórnie dekretowane i wprowadzane w życie przy użyciu wojska i policji, nawet kontrolowanych przez parlament, *muszą* prowadzić do zniewolenia nowego typu, i to niezależnie od intencji rewolucjonistów (które mogły nawet być szlachetne, mogły zakładać, iż przejęty aparat państwa stanie się sługą świata pracy). Zapobiec takiemu fatalnemu wynikowi proletariackiej rewolucji można jedynie przez budowę zawczasu społecznej podmiotowości – przez rozwój oddolnie tworzonych zrzeszeń i omijanie pośrednictwa instytucji rządowych.

Być może było to stanowisko „utopijne”; ale na pewno i było, i jest aktualne.

Najciekawszy wywód Michnika dotyczy porównania trzech doktryn: Dmowskiego, Piłsudskiego i Abramowskiego. W dwóch pierwszych tkwiły od początku pokusy „pretotalitarne”, które dojrzały w latach międzywojennych. Zwolenników Dmowskiego ideologia egoizmu narodowego do prowadziła do Obozu Wielkiej Polski, który miał totalitarną strukturę wewnętrzną i totalitarny program walki o pełną władzę w państwie. Dość podobnie ewoluował obóz piłsudczyków, zmierzający – skutecznie – do faktycznej likwidacji parlamentaryzmu i do rządów silnej ręki, w oparciu na doktrynie „elit” (przejętą zresztą od Dmowskiego). W obu przypadkach wizja siły i suwerenności państwa wiodła do odmowy podmiotowości – społeczeństwu.

Abramowski przestrzegał przed takim obrotem spraw, zanim jego groźba stała się realna; przeciwstawiał i Dmowskiemu, i Piłsudskiemu, własny plan dążenia do podmiotowości. Uważał, że oba te obozy zmierzają jedynie do przejęcia *władzy* w niepodległym państwie, oba za przedmiot społeczny uważają *elity*, a masy traktują jako przedmiot manipulacji. „Reformy wprowadzane odgórnie nie wiodą do ludowładztwa, lecz do rządów nowych elit sprawowanych tradycyjnymi metodami, z użyciem knuta włacznie”. Partiom politycznym i wojsku, narzędziom walki o władzę, przeciwstawiał Abramowski ideę kooperatyw, które – funkcjonując w obrębie już istniejących struktur – miały dążyć do ich przeobrażenia, tworząc nowe formy gospodarowania, nową etykę pracy, nowe wartości moralne. Był to zarazem program wyzwolenia społecznego i narodowego.

Kończy Michnik nieco przewrotnie:

„Abramowski był naiwny. Takim jawił się narodowym demokratom i socjalistom. I takim był w istocie. Jego plan 'republik kooperatywnej' został zmiażdżony na polach wojny światowej. Inną drogą Polska odzyskała niepodległość i inny był jej ustrojowy kształt. Można jednak powiedzieć inaczej: Abramowski był ufny. Ufał dobru zawartemu w człowieczej kondycji, ufał sensowi humanistycznych wartości, ufał możliwości ludzkiej pracy, ufał przyjaźni. Nie ufał natomiast ideologiom ufundowanym na nienawiści i politycznym praktykom degradującym człowieka do roli bez myślnego stworzenia, którym rządzić musi przymus, którym powodować muszą plemienne lub klasowe namiętności. Jakże potrzebna nam dziś ufność i nieufność Edwarda Abramowskiego!”

Chyba nie tylko o to chodzi. Michnik nie docenił *realnego* spełnienia się wielu wizji Abramowskiego, chociaż ci, co postępują mniej-bardziej dokładnie wedle jego planów, nie zawsze zdają sobie sprawę, iż to, co robią, było przezeń antycypowane kilkadziesiąt lat temu; a często na wet o Abramowskim nie słyszeli. Intuicja filozofa, jego wielkość, polega na tym, iż potrafił przewidzieć nie tylko sytuacje, które się jeszcze nie rysowały w rzeczywistości, ale także sposoby reagowania na te sytuacje ludzi o wolnej duszy.

Na inny, kulturowy walor twórczości Abramowskiego zwrócił ostatnio uwagę (*Szkoła polska*) Leszek Szaruga, przytaczając zdanie Adama Ważyka, że awangarda lat dwudziestych daremnie szukała artystycznego drogowskazu u Stanisława Brzozowskiego, albowiem przeoczyła człowieka, który dałby nowatorom więcej powagi i rozmachu – Abramowskiego mianowicie, jako wczesnego teoretyka symbolizmu. Szaruga kontynuuje:

„Nie wiemy nigdy jak to się dzieje, iż nagle wynurza się z tradycji jakiś znak orientacyjny, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy, lub na który dotąd nie zwracaliśmy uwagi. Takim znakiem dla współczesnej myśli polskiej wydaje się być właśnie dorobek Abramowskiego, zepchniętego w niepamięć i pomniejszonego przez lewicę jej teoretyka, jednego z tych nielicznych, których twórczość naznaczona została od początku piętnem niezależności i odważnej wyobraźni (...) Dziś coraz częściej postać tego działacza i teoretyka pojawia się w różnych publikacjach wskazując jedną z możliwości, które nie doczekały się kontynuacji, zawisły w historycznej próżni. Jeżeli dziś ku niemu sięgamy, to nie po to przecież, by bezpośrednio podjąć jego idee, lecz po to, by zdać sobie sprawę z tego, że nasza świadomość zdominowana została przez jeden tylko z wielu nurtów. Chodzi o to, by pozostałe nurty zrekonstruować, by nasze wybory uczynić bardziej świadomymi.”

No tak, o to też chodzi. Monokultura marksizmu-leninizmu wyjałowiła myślową glebę; wszak nawet ci, co się przeciwko niej buntowali, ją traktowali jako punkt odniesienia krytyki. Ale chodzi też o coś więcej: powinniśmy, wcale nie w małym zakresie, sięgać *bezpośrednio* do pomysłów Abramowskiego, bez obawy, że staniemy się anachroniczni. (Patrz przytoczone wskazania Frasyniuka.) Tym bardziej niektóre myśli moralne i społeczne Abramowskiego przeterminowane nie są.

Dobrze to zrozumiał Ryszard Paradowski.² Sprzeciwiając się Rucie Światło, która proponowała odłożyć do lamusa rozwiązanie Abramowskiego, bo nie wytrzymały próby dziejów, zauważył, iż można by się na to zgodzić, gdyby nie fakt, że ... dzieje się jeszcze nie skończyły. Musimy być zatem intelektualnie przekonani, że w takiej czy innej postaci, wcześniej czy później „projekty Abramowskiego staną wobec szansy wcielania w życie”. Równie celna jest jego obserwacja, że komentatorzy Abramowskiego notorycznie myślą anarchię z anarchizmem, który kładzie nacisk na rozwijanie wszelkich form niezależnej i samodzielnej organizacji klasy robotniczej. A wreszcie: nie nawoływał Abramowski do zniesienia instytucji

² R. Paradowski, *Edwarda Abramowskiego koncepcja socjalizmu bezpaństwowego*, Colloquia Communia, 3–4/1984.

państwa, choć traktował je jako „zło konieczne”. Tu bardzo celny odnośnik Paradowskiego: „Trzeba jednak pamiętać o zniewalającym i paraliżującym inicjatywę wpływie państwa na charakter jednostek, które chętnie, nie bacząc na spustoszenia dokonujące się przez to w ich psychice, przejawiające się przede wszystkim w upadku woli, oddają się pod opiekę instytucjom państwowym. Nie mówiąc już o tym, że owe oddanie się (lub nie) pod opiekę nie jest pozostawione wolnemu wyborowi obywatela.”

Istnieje również, a nawet jest obfity, inny nurt wypowiedzi o Abramowskim, którego sens można streścić w pytaniu: CZY ABRAMOWSKI BYŁ MARKSISTĄ ?

Nie jest ten punkt widzenia szczególnie płodny. Komentatorzy powinni zajmować się raczej nie tym, w jakie szufladki ułożyć myślicieli, lecz tym, co mieli do powiedzenia i czy to, co mówili, weryfikuje się w rzeczywistości. Warto jednak i wedle ocen naukowych marksistów popatrzeć na dzieło Abramowskiego – *audiatur et altera pars!* Tym bardziej, że owi krytycy, chociaż na ogół lekceważyli albo całkiem dyskwalifikowali Abramowskiego, czuli jakieś osobliwe zakłopotanie i z całości jego myśli, które odrzucali, ekstrahowali różne wątki, wobec których okazywali łaskawość.

Ruta Światło, autorka wstępu do wyboru pism Abramowskiego,³ przyznaje, iż koncepcje Abramowskiego we wczesnej fazie mieściły się w nurcie ideologii socjalistycznej, ale później główne fragmenty jego twórczości „spełniały wsteczną rolę, wpływały hamująco na rozwój świadomości klasy robotniczej, opóźniały proces radykalizacji postępowej inteligencji, wzmacniały front antymarksistowski”. Surowa pani dostrzegła jednak także postępowe i humanistyczne elementy: bunt przeciwko rzeczywistości burżuazyjnej – głębokie zainteresowanie jednostką, szacunek dla jej godności, ideał braterstwa i przyjaźni w stosunkach międzyludzkich. Zawsze trochę łżej...

Andrzej Flis⁴ uważa, że związki Abramowskiego z filozofią Marksa „wydają się zbyt luźne i powierzchowne, ażeby jego dorobek intelektualny mógł być uznany za jakikolwiek wariant myśli marksistowskiej”. Najmocniej Abramowskiego z Marksem łączy dialektyka. Główne wartości Abramowskiego: pogląd, że badanie problematyki jednostki jest warunkiem koniecznym dla zrozumienia procesów społecznych, oraz dążenie do unikania stanowisk skrajnych, skłonność do syntetyzowania poglądów przeciwnych. Jego oryginalny system stanowi „próbę pogodzenia materializmu z idealizmem”⁵

Nie miał żadnych wahań Stanisław Kuziński:⁶ „Rzecz jasna, że idee Abramowskiego służyły obiektywnie dyktaturze burżuazji, a ostrzem swoim były skierowane przeciwko rewolucyjnemu proletariatu, przeciwko jego walce, przeciwko postępowi”. Tak pryncypialne stanowisko usprawiedliwia data jego ogłoszenia: 1950.

³ Edward Abramowski, *Filozofia społeczna*, 1965

⁴ A. Flis, *Fenomenalistyczna metoda socjologii Edwarda Abramowskiego*, *Studia Filozoficzne*, nr 6/ 1975.

⁵ W najnowszej pracy *Myśl społeczno-polityczna Edwarda Abramowskiego* (*Studia Socjologiczne*, 2/1984) A. Flis przewartościował swe stanowisko i poszedł znacznie dalej w odszukiwaniu pozytywnych walorów koncepcji Abramowskiego.

⁶ St. Kuziński, *Teoria społeczna E. Abramowskiego*, *Myśl Współczesna*, 1/1950

Romuald Jezierski⁷ też jest bezlitosny. Umieszcza Abramowskiego w opozycyjnym wobec marksizmu nurcie ideowym, który szedł od socjalistów-utopistów do „socjalizmu humanistycznego” i konstatuje: „Doktryny tego typu co ideologia Abramowskiego pozostawały w sprzeczności do marksizmu ze względu na treść, jak i na funkcję społeczną w walce klasowej”. Rzeczywisty humanizm, wedle Jezierskiego, tkwi po prostu w marksizmie, podczas gdy Abramowski grzązł w bagniskach kantyzyzmu, intuicjonizmu, nietzscheanizmu, utopizmu i najohydniejszego – anarchosyndykalizmu... Znajduje jednak okoliczności łagodzące: że Abramowski uczestniczył w działalności I Proletariatu (co jest nieprawdą) i był humanistycznym optymistą co do natury ludzkiej (co jest prawdą). Ponadto zauważa, iż ideologia Abramowskiego miała nieoczekiwanie słaby rezonans społeczny. To świadczy, że Jezierski ma nieoczekiwanie słabe rozeznanie w historii.

Józef Kulas⁸ uważa, że Abramowski początkowo zajmował stanowisko klasowe i internacjonalistyczne, ale potem odszedł od marksizmu, czym nie zjednał sobie szerokiego poparcia społecznego (było odwrotnie). Ma jeszcze gorszy grzech Abramowski: „Podobnie jak anarchiści i syndykaliści zaczęli wyrażać obawy, że nawet w wypadku zwycięstwa rewolucji proletariackiej nowa władza państwowa może łatwo wyzwolić się spod kontroli klasy, której ma służyć”. Tu Kulas nie myli się: tego właśnie bał się Abramowski. Pomyliła się natomiast historia, realizując to, czego się obawiał...

Mikołaj Waleszko⁹ jest zdania, że proponowane przez Abramowskiego rozwiązania są w całości nie do przyjęcia, że są utopią, idealistycznym, subiektywistycznym psychologizmem, mistycyzmem i wypaczeniem istoty zjawisk społecznych, że Abramowski nie doceniał znaczenia obiektywnych związków, przekreślał sens istnienia ekonomii politycznej, upraszczał problem istoty praw ekonomicznych, wszystko zaś interpretował jednostronnie i błędnie; na domiar złego szukał „trzeciej drogi” między rewolucjonizmem i reformizmem, czas wolny cenił wyżej od pracy, przestrzegał przed „niewolą państwowego komunizmu” i odrzucał marksistowski model przyszłego społeczeństwa, imputując mu, że przekreśli ideały moralno-etyczne i nie zagwarantuje wyzwolenia człowieka. Ta długa litania bezecnych myśli Abramowskiego powinna by wystarczyć w „realnym socjalizmie” do spalania ksiąg jego, lecz nawet Waleszko dostrzega w nich wątki godne uwagi, jak społeczne wyzwolenie człowieka, przezwyciężenie alienacji, miejsce i rolę jednostki, spółdzielczość oraz problem: centralizm a decentralizacja.

Względnie łaskawy jest Zbigniew Krawczyk¹⁰, widzi sporo pozytywów. Ostro co prawda kwestionuje wewnętrzną logikę i niespójność teorii Abramowskiego, lecz mankamenty te składa na karb złożonych uwarunkowań społecznych, w jakich żył autor. To akurat jest wielce wątpliwe. Abramowski, gdy tworzył swe konstrukcje teoretyczne, izolował się od świata polityki i zawierał intuicji. Z niejasnych powodów Krawczyk próbuje też zwolnić

⁷ R. Jezierski, *Poglądy etyczne Edwarda Abramowskiego*, 1970.

⁸ J. Kulas. *Wstęp do Edward Abramowski. Pisma popularnonaukowe i propagandowe*, 1979.

⁹ M. Waleszko, *Socjalizm bezpaństwowy jako koncepcja ustroju społeczno-ekonomicznego*, *Annales UMCS sectio H*, 1967.

¹⁰ Z. Krawczyk. *Socjologia Edwarda Abramowskiego*, 1963

Abramowskiego od oskarżeń, że krytykował on „socjalizm rewolucyjny”. Ależ czynił to w wielu tekstach i z wyraźną pasją!

Inną formę ataku obrał ostatnio Antoni Malinowski¹¹ Streścił on, na ogół poprawnie, poglądy Abramowskiego (którego uważa za anarchistę), by dojść do wniosku także poprawnego: że: był on antykapitalistyczny i antymarksistowski. Ale to jedynie wstęp, po którym następuje jakby policyjne śledztwo: że w okresie „Solidarności” na Abramowskiego powoływały się Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej „Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość”. Że to była zaplanowana z góry strategia sił antysocjalistycznych, które „usiłowały wmówić społeczeństwu, że winę za wszelkie zło ponosi przede wszystkim socjalistyczne państwo (a kto ponosi? – Malinowski nie objaśnia). Że Rozpłochowski powiedział, iż należy „urzeczywistnić przede wszystkim rozbięcie władzy politycznej” (czy to za podszeptem Abramowskiego, czy może: CIA?). Wiele jeszcze innych knowań ekstremy, zapładnianej przez Abramowskiego, przytacza Malinowski, płacze mu się przy tym potoczne rozumienie anarchii – jako zamętu, z anarchizmem – jako ideologią, tu i tam dodaje cytaty z „Trybuny Ludu” o groźbie anarchosyndykalizmu, by wreszcie z ulgą zakończyć uchwałą Sejmu PRL: „Wykluczone powinny zostać zarówno autokratyzm biurokratyczny, jak i anarchia sprzyjająca działaniu sił antypaństwowych”. Po takich andronach tęskni się do klarowności z czasów stalinizmu, kiedy Abramowski był wrogiem ludu – i już.

Osobne miejsce należy się Stanisławowi Szwalbe – nie tylko z racji matuzalemowego wieku, ale też dlatego, że jest bodaj jedynym wśród żyjących słuchaczem wykładów Abramowskiego w 1917 roku. W wywiadzie prasowym przed stanem wojennym¹² Szwalbe bardzo słusznie podkreślił, że zafascynowanie Abramowskim i myślowy nawrót do jego koncepcji są zrozumiałe jako objaw poszukiwania dróg zerwania z dogmatycznymi odchyleniami. Po stanie wojennym Szwalbe zmienił zdanie, co zresztą czynił w życiu wielokrotnie i z zaskakującą łatwością, dzięki czemu zyskał niezliczone orderzy i honory. W rozmowie z autorem tej książki mówi już o Abramowskim z przekąsem i pobłażaniem:

– Robił wrażenie dziwaka, abnegata, był kropotkinowcem, teoretycznym anarchistą. Głosił pogląd, że podstawą życia społecznego winna być pomoc wzajemna, chwalił syndykalizm. W końcu życia uznał, że państwo jest jednak potrzebne, dostrzegł szanse, jakie stawał Akt 5 Listopada, zapowiadający odbudowę Polski. Zgodził się, że tylko w niepodległości można budować ustrój uspołeczniony oparty na spółdzielczości wytwórczej i związkach zawodowych. Był naiwny, jeśli chodzi o gospodarkę i nie miał na mnie żadnego wpływu. Był to fanatyk. Ja i moi koledzy byliśmy państwowcami, więc obawialiśmy się drogi kropotkinowskiej.

Stanisław Szwalbe, należy przypomnieć, był ongiś lewicującym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej oraz spółdzielczości. W PRL przyłożył rękę do likwidacji jednej i drugiej. Najbardziej sprzeczny z jego naturą jest niewątpliwie etyzm Abramowskiego.

¹¹ A. Malinowski, *Mit wolności. Szkice o anarchizmie*, 1983.

¹² „Student”, nr 24/1981.

Wśród teoretyków marksistowskich wysoko oceniał Abramowskiego wybitny ekonomista i uczciwy człowiek: Oskar Lange. Jego młodzieńcza książka¹³ jest do dziś najgłębszą i bezstronną prezentacją poglądów Abramowskiego.

Był on człowiekiem syntezy – konstatuje Lange – który odznaczał się też rozległością horyzontów badawczych. W psychologii sięgnął miary europejskiej. Jako socjolog stał obok najwybitniejszych współczesnych mu uczonych polskich. Jako ekonomista był pierwszorzędnym teoretykiem kooperatywności, wychowały się na nim całe pokolenia spółdzielców. W dodatku pisał studia z dziedziny estetyki.

Szczególnie nękał go dylemat konieczności i wolności. Jeśli, zgodnie z determinizmem, wszystko jest konieczne (albo niemożliwe) – to nie ma miejsca dla wartościowania etycznego. Formuła „jak powinno być” traci sens i rację bytu.

Dążąc do przewyciężenia sprzeczności, Abramowski pogłębił historiozofię marksistowską – dowodzi Lange – odrzucając sztywny determinizm na rzecz badania współzależności różnych kategorii społecznych. W ten sposób doszedł do własnego systemu socjologicznego, który można określić jako „psychologicznie pogłębiony marksizm”.

Oczywiście Abramowski jest zarazem typowym anarchistą, który za czerpnął od Tołstoja ideę przeobrażenia moralnego ludzi i bojkotu państwa. Jednak jego walka z państwem nie ma charakteru destrukcyjnego, ale twórczy – żąda bowiem tworzenia wolnych stowarzyszeń, które stopniowo powinny przejmować funkcję państwa w społeczeństwie. Jest to więc, stwierdza Lange, ANARCHIZM KONSTRUKTYWNY.

Czy Abramowski był rewizjonistą spod znaku Bernsteina, jak dowodzili jego oponenti marksistowscy? Absolutnie nie – odpowiada Lange; przecież rewizjoniści uznawali państwo za sojusznika proletariatu, zaś Abramowski odrzuca je całkowicie. Jednakże, dodaje, istotnie łączy go z Bernsteinem potępienie tkwiącego w marksizmie blankizmu (Abramowski używa słowa: jakobinizm), to znaczy teorii o nieograniczonej sile twórczej rewolucyjnej przemocy.

Lange wskazuje następnie zbieżność ideologii Abramowskiego z syndykalizmem, który zwalczał zarówno blankizm socjalizmu rewolucyjnego (dziś zwanego komunizmem), jak i działalność parlamentarną socjalistów-reformistów. Narzędziami jego były:

- A. Związki zawodowe,
- B. „Akcja bezpośrednia” (różne formy bojkotu),
- C. Strajk generalny.

„Syndykalizm – pisał jego teoretyk Emil Pouget, były anarchista – nie dąży do prostej wymiany personelu rządowego, lecz do zredukowania państwa do zera...” Aż tak krańcowy Abramowski nie był. Julian Brun¹⁴ bystro dostrzegł, że jego antypaństwowość jest negacją jedynie państwa obcego, a tęsknotą do własnej polskiej państwowości.

Analizując idee kooperatywne Abramowskiego, Lange zauważa – wbrew dogmatykom, w rodzaju Jana Hempla – że Abramowski nie jest bynajmniej twórcą „neutralistycznego” nurtu w spółdzielczości. Przeciwnie, Abramowski widział kooperatywność jako ruch klasowy,

¹³ O. Lange, *Socjologia i idee społeczne Edwarda Abramowskiego*, 1928.

¹⁴ J. Brun-Bronowicz, *Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek*, 1958.

proletariacki, przeciwstawiając się Charlesowi Gide i jego „szkole z Nimes”, głoszącymi neutralizm.

Ażeby jeszcze mocniej wesprzeć Abramowskiego, Lange przywołał wybitnego przywódcę socjaldemokratów austriackich, Otto Bauera (*Droga do socjalizmu*). Jest to cytat wielce aktualny:

„Gdyby rząd panował nad wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwami, to zdobyłby nadmiar potęgi, co byłoby niebezpieczne dla demokracji. Przy tem rząd zarządzałby źle; nikt nie zarządza przedsiębiorstwami gorzej od państwa. Dlatego też my, socjaliści, nie żądamy nigdy upaństwowienia, lecz uspołecznienia przemysłu.”

Nie był Oskar Lange, rzecz jasna, zaślepionym adoratorem Abramowskiego. Pisał: „... nikt nie myśli dzisiaj na serio o powrocie do zalecanych przez Abramowskiego metod, polegających na bojkotowaniu przez klasę robotniczą działalności politycznej (...) Całość ideologii społecznej Abramowskiego należy dzisiaj do przeszłości, ale (...) niejedna myśl Abramowskiego jest i dzisiaj żywotna, co więcej, dopiero dziś zostaje urzeczywistniona.”

Między innymi taka myśl, wydobyta przez Langego, że *solidarność* – to idea, wyrażająca istotę rewolucji moralnej. Rzecz jasna Abramowski i Lange pisali to słowo jeszcze z małej litery i bez cudzysłowu.

Konstanty Krzeczkowski, analizując podobieństwa i różnice różnych ideologii współczesnych abramowszczyźnie, umieszcza ją po środku socjalizmu utopijnego, marksizmu w początkowej postaci syndykalizmu, kooperatywności i anarchizmu. Można by dodać jeszcze parę „izmów”, jak kantyzm i modernizm, ale ciekawsze jest spostrzeżenie Tadeusza Drewnowskiego, iż swymi pytaniami o miejsce człowieka w bycie i historii, o sens i wartość życia, o stosunek społeczeństwo-jednostka, o motywy działania – Abramowski wypełnił lukę, jaka istniała ówczasie w filozofii „akademickiej”, a po części też w marksizmie; te właśnie pytania stały się podstawą różnych „filozofii życia”. Wariant Abramowskiego nie był tożsamy z naukami Nietzschego ani Schopenhauera, był natomiast pod wieloma względami próbą prekursorską w Polsce, i aż do dziś – najpoważniejszą. Abramowski wobec wielu nurtów filozoficznych z przełomu XIX i XX wieku spełnił (zdaniem Drewnowskiego) podobną rolę, jak Jean Jacques Rousseau wobec Wieku Oświecenia, a pod innymi względami zbliżony był do współczesnej kontestatorskiej filozofii Herberta Marcuse.

Nie można wreszcie pominąć dwóch już przedtem sygnalizowanych zbieżności: z ideą „non-violence“ (a szczególnie z moralno-polityczną strategią Gandhiego) oraz z wieloma wątkami współczesnych nauk Kościoła i rozważań myślicieli katolickich. Nie może tu być mowy o pokrewieństwie genetycznym, choć nie jest to również czysty przypadek.

Podobieństwo abramowszczyzny z gandhyzmem jest uderzające, zważywszy zupełną odmienność tła kulturowego, dystans geograficzny oraz równoległość chronologiczną. Abramowski mógł słyszeć najwyżej o pierwszych, jeszcze w Natalu poczynaniach Gandhiego. Poszukiwanie prawdy i nieustraszeność były pryncypiami obydwóch. Obaj podobnie lub identycznie sądzili o roli świadomości społecznej w procesie historycznych przeobrażeń. Obaj z równą mocą podkreślali nadrzędność i nie zbywalność zasad moralnych we

wszelkich działaniach ludzkich; „zaniechanie gwałtu – pisał Gandhi – jest nieporównanie wyższe od jego stosowania, tak jak przebaczenie góruje nad wymierzeniem kary... Nie oznacza bynajmniej podporządkowania się woli złoczyńcy, lecz każe wszystkimi siłami ludzkiego ducha przeciwstawiać się woli tyra”. Obaj często powoływali się na godność człowieka. Obaj rysowali podobne cele społeczne i środki ich osiągnięcia; „odmowa współpracy – wywodził Gandhi – a także cywilne nieposłuszeństwo, nie są niczym innym, tylko nowymi nazwami dla starej zasady samopoświęcenia”. Obaj bynajmniej nie byli pacyfistami, dopuszczali w sytuacjach krańcowych opór siłą, gdyby jego zaniechanie groziło czyjąś krzywdą, utratą honoru albo wynikało z tchórzostwa. Wbrew potocznym sądom, ani jeden ani drugi nie zalecali taktyki biernego oporu, ale czynną walkę z przemocą bez stosowania środków gwałtownych; na tym właśnie polega „non-violence”. Czyżby podglebieniem doktryn jednego i drugiego były idee Tołstoja – czy raczej analogiczna sytuacja społeczna, łącznie ze specyficznym klimatem etycznym ich epoki, wywołała podobny sposób myślenia? Różnica główna w tym, że Gandhii powiodła się w całej pełni jego „satyagraha”, natomiast *Zmowa* przyniosła za czasów Abramowskiego i przynosi nadal tylko częściowe wyniki. To nie znaczy: małe. Przecież powstanie „Solidarności” było efektem strajków okupacyjnych i solidarnościowych, głównej broni polecanej przez Abramowskiego, bojkot pseudo-wyborów do pseudo-rad narodowych miał zasięg szerszy, niż przewidywali jego organizatorzy, zaś skala konspiracyjnej samoorganizacji społeczeństwa stanowi istotne novum polityczne w Polsce. Ale do rozmachu bojkotu w stylu Gandhiego bardzo w Polsce daleko.

Także Martin Luther King był duchowo spowinowacony z Abramowskim. Pisał: „Człowiek powinien znaleźć w sobie dość rozsądku i sumienia, aby przeciąć łańcuch nienawiści. Możemy to uczynić tylko przez postawienie sobie etyki miłości w centrum naszego życia (...) Istnieją co prawda zwolennicy tej metody, którzy mają trudności z uwierzeniem w osobowego Boga, ale nawet oni wierzą w istnienie pewnej siły twórczej, która działa na rzecz powszechnej jedności”.

Dotykamy tu, w gruncie rzeczy mniej zaskakującego, podobieństwa etyki Abramowskiego i etyki Kościoła ostatnich lat. Czy bowiem wychodzi się z chrześcijańskich prawd objawionych, czy też z humanistycznej myśli świeckiej, trudno przecież nie dojść do zbliżonej oceny takich zjawisk, jak wyzysk i upośledzenie człowieka, strategia kłamstwa i nienawiści, przemoc i totalitaryzm. W tym tylko różnica, że Abramowski obserwował kapitalizm jeszcze w drapieżnej fazie jego rozwoju, a plagi socjalizmu państwowego mógł sobie jedynie imaginować; Kościół dzisiejszy natomiast działa w kapitalizmie już zhumanizowanym,¹⁵ ale też w krajach realnego socjalizmu, który podobnie zniewala większość obywateli, jak XIX-wieczny kapitalizm ciemnił proletariat. Optyka Abramowskiego i Kościoła były zatem nieco inne, wyminęły się w czasie; ale to nie wykluczyło ich zgodności ani w sferze ideałów naczelných, ani w warstwie wskazań doraźnych. W dokumencie Kongrega-

¹⁵ Dla uproszczenia pominiemy tu szczególną sytuację w Trzecim świecie, gdzie Kościół ma twarde orzech do zgryzienia: jak namówić tamtejszy kapitalizm, aby był mniej łupieżczy – i w ten sposób pozbawić gruntu „ideologię wyzwolenia”, nie bez powodu zafascynowaną argumentacją i językiem marksistowskim.

cji Nauki Wiary na temat „teologii wyzwolenia” wielokrotnie powtarza się zwroty: życie w braterstwie, walka o sprawiedliwość, wolność i godność ludzką, skandal rażących niesprawiedliwości, budzenie świadomości uciśnionych, sprzeczne z etyką uciekanie się do przemocy – i tak dalej, sprawiedliwie dzieląc zarzuty i żądania pomiędzy kapitalizm i socjalizm państwowy. Dokładnie tak, jak czynił to Abramowski. Podpisałby się on też pod ostrzeżeniem Pawła VI, iż byłoby rzeczą iluzoryczną i niebezpieczną „włączać się w walkę klas w jej marksistowskiej interpretacji, nie dostrzegając, że taka metoda prowadzi do społeczeństwa opartego na przemocy i do ustroju totalitarnego”.

W książce ks. Józefa Tischnera *Etyka solidarności* całe partie są jakby popularnym wykładem poglądów Abramowskiego, zaś w eseju tegoż autora *Znaki czasu dziejowej próby* niektóre zdania można by żywcem włączyć do *Etyki a rewolucji* Abramowskiego. Zacytujmy to jedno:

„... wszelka rewolucja albo jest rewolucją etyczną, albo nie jest w ogóle żadną rewolucją. A rewolucja etyczna to ta, która dokonuje się w sumieniu człowieka”.

Nakazy rewolucji moralnej, miłości bliźniego, dobroci, braterstwa, wolności, sprawiedliwości społecznej, prawdy, poszanowania godności są wspólne przekonaniom Abramowskiego i naukom Jana Pawła II. Może by używać pojęcia *Socjalizmu chrześcijańskiego*?

Taką propozycję z pewnością by oprotestował i nazwał heretycką Damian Kalbarczyk, który nie dawno, na łamach katolickiego „Znaku”,¹⁶ poświęcił Abramowskiemu obszerny szkic. Autor ten zaniepokoił się renesansem „legendy Abramowskiego” – niewątpliwie atrakcyjnej dla dużej części tego środowiska intelektualnego, do którego adresowany jest „Znak”; atrakcyjnej – więc konkurencyjnej. Kalbarczyk rzetelnie, ze znanstwem zreferował dzieje recepcji myśli Abramowskiego oraz ich funkcjonowanie we współczesnym życiu politycznym; esencjonalnie przedstawił też postać i twórczość Abramowskiego jako socjalisty i myśliciela politycznego. Wdał się przy tym w polemikę z Cywińskim, zarzucając mu, iż nazbyt rozciągle traktuje kategorię „polityki”, co go doprowadziło do zbyt aprobatywnego sądu o Abramowskim-polityku. Kalbarczyk jest krytyczny: „Największa słabość myśli politycznej Abramowskiego, a zarazem najsłabszy punkt legendy, który przyczynił się do jej upadku: metody, które proponował w swym programie Abramowski i które powielala legenda mogą być bardzo skuteczne w destrukcyjnych działaniach politycznych, natomiast same budują, bo i taki mają cel, siłę moralną, ale nie siłę polityczną. A w polityce decydujące znaczenie ma ta ostatnia. I dlatego społeczeństwo nawet najbardziej 'upodmiotowione' musi przegrać z siłą państwa i polityki”.

Takie poglądy są bardzo popularne w okresach defetyzmu, będącego następstwem poniesionych klęsk – i ów defetyzm pogłębiają. Tylko pozornie są jednak zasadne, gdyż można im przeciwstawić bardzo wiele przykładów, gdy upodmiotowione społeczeństwo jednak wygrywało z siłą państwa. Dodatkowo, poglądy takie dziwią na łamach pisma katolickiego, gdyż podważają imperatyw moralności. To jednak nie moje zmartwienie.

¹⁶ „Znak”, nr 359, październik 1984.

Damian Kalbarczyk zdaje się nie widzieć, że Abramowski przez swoje prace teoretyczne i praktyczne działania organizatorskie budował także – bardzo skutecznie – siły polityczne polskiego społeczeństwa, szczególnie w latach 1905-1914 (pomijam już jego rolę jako współtwórcy PPS, gdyż wtedy działał wedle innych przesłanek ideowych). Ponadto Kalbarczyk jakby przeoczył taką okoliczność, że gdyby siły moralne nie były nie zbędne dla budowania sił politycznych, to wszystkie rewolucje trzeba by traktować jako efekt manipulacji albo interwencji wewnętrznej, a nie jako wyraz moralnego w swej genezie protestu mas; nie mogłyby się zdarzyć rewolucje kubańska, irańska, nikaraguańska ani wiele innych. Podkreślam, iż w tym miejscu pomijam późniejsze skutki tych rewolucji, które – rzecz można – stały się „amoralne”, bo z rozmaitych powodów obróciły się przeciwko intencjom tych, co w nich uczestniczyli ze szlachetnych, moralnych pobudek. Nie mogłyby się także zdarzyć w Polsce samoograniczająca się rewolucja „Solidarności” która przecież nie całkiem przegrała; ona trwa dalej nie tylko w świadomości, ale też w politycznej praktyce. Warto by tu, notabene, przemyśleć paradoks prof. Leszka Nowaka o tym, że najbardziej pomyślnie i trwale skutki przynoszą *przebrane* rewolucje.

Główny jednak wątek refleksji Kalbarczyka dotyczy pytania, czy Abramowski chrześcijaninem był? Zauważa on, że 1) Abramowski walczył z instytucją Kościoła, chociaż 2) zauważał czasem jego kulturotwórczą rolę, natomiast 3) nigdy nie odnosił się wrogo do religii katolickiej. Te konstatacje, zupełnie słuszne, wiodą Kalbarczyka do stwierdzenia, iż Abramowski wadliwie – bo wyłącznie świecko – interpretował Ewangelię i marzył o Królestwie Bożym tu, na ziemi – „niebo w tej interpretacji nie istnieje”. To zaś „niewiele ma wspólnego z katolicyzmem, niewiele ma wspólnego z wiarą chrześcijańską (...) tego rodzaju interpretacja może być co najwyżej heretyckim nadużyciem i niczym więcej”.

Z pokorą przyjmuję ten werdykt Kalbarczyka, gdyż nie mam żadnych kompetencji teologicznych. Nie będę też na obronę duszy Abramowskiego cytował strof *Poematu śmierci*, bo może nawrócenie przyszło za późno i z katolickiego punktu widzenia nie ma wartości. Dziwi mnie jednak, iż Kalbarczyk odmawia ideom Abramowskiego nawet roli „mostu” między etosem lewicy a etosem katolickim, twierdząc, iż bezzasadnie taką rolę przypisywała mu legenda. „Nie można budować mostów między dwoma nieprzystającymi do siebie światami” – stwierdza Kalbarczyk. Jest to pogląd nieco humorystyczny i zarazem nacechowany brakiem tolerancji. Mosty wszak buduje się na rzekach właśnie dlatego, że ich brzegi do siebie nie przystają? Wymaganie zaś, ażeby lewicowi partnerzy dialogu z obozem katolickim podzielali także jego wiarę w Nadprzyrodzone – bo nie wystarczy wspólnota aprobaty takich wartości, jak moralność, etyka, miłość braterska – wydaje się nieco przesadne. Przecież lewica nie stawia pod adresem katolików, skłonnych do dialogu, wstępnego żądania, by zaaprobowali tezę o pierwotności materii.

Kalbarczyk jest przekonany, iż między „religijnym dogmatem i świecką herezją” istnieje nieprzekraczalna przepaść. Ja sądzę, że przepaści nieprzekraczalne nie istnieją. Kalbarczyk pisze autorytatywnie, że koncepcje polityczne Abramowskiego należą już do czasu minionego i nie ma sensu do nich sięgać, bo nie warto budować legend. Ja w tej kwestii jestem bliższy hinduskiej wizji czasu jako koła, a nie prostej nieskończonej; zdarzało się niejednokrotnie, że rozmaite wątki myśli ludzkiej powracały po wiekach w nowym, dojrza-

szym kształcie – i były bardzo płodne politycznie. Legendy także pomagały przetrzymać czasy nie doli: na przykład legenda św. Stanisława, wedle której Polska miała się kiedyś tak zrosnąć, jak jego odrąbane członki – albo legenda Izraelitów o „ziemi obiecanej”. Autor katolicki, który nie rozumie roli legend i utopii w życiu psychicznym na rodu, a więc w polityce, jest postacią osobliwą i jakby nie z tej parafii.

Koncepcje polityczne Abramowskiego należą do aktualności i do czasu przyszłego, a nie minionego.

Warto zauważyć, że fenomen abramowszczyzny zawiera się w czymś więcej, aniżeli jej prekursorska rola wobec etosu „Solidarności” jako ruchu patriotycznego i jako masowego związku zawodowego. Zawiera się nie tylko w dyrektywach „zmowy” przeciw niechcianej władzy i bojkotu niektórych instytucji państwowych (ich lista we współczesnych warunkach wymagałaby weryfikacji), nie tylko w idei samoorganizacji i nie zależności społeczeństwa, nie tylko w hasłach solidarności strajkowej i tej niezbędnej na co dzień pomocy wzajemnej. Jest uderzające, iż ze spuścizny duchowej i intelektualnej Abramowskiego odpowiadające im wątki ideowe mogą wybrać niemal wszystkie nurty i style politycznego myślenia, mieszczące się w tym ogromnym konglomeracie, jakim była i jest „Solidarność”.

Jej widoczne przymierze z nurtem chadeckim dotyczy nie tylko wielu haseł doktrynalnych i ogólnego klimatu moralnego. Katolicy wierzący od najdą w życiowej drodze Abramowskiego ponadto wymowny motyw na wrócenia, który ateusza doprowadził aż do pełnego pojednania z Bogiem, a nawet do ekstazy kultu maryjnego. Tym łatwiej odbicie własnych myśli i uczuć odkrywają w Abramowskim ci liczni ludzie, którzy aprobują prawdy ewangeliczne, ale nie wierzą lub nie odczuwają potrzeby wierzenia w osobowego Pana Boga. A ci, którzy w Kościele widzą przede wszystkim narodową twierdzę, znajdą w jego wypowiedziach rozumienie tej właśnie funkcji Kościoła jako obrońcy tożsamości narodowej, zapory przed nihilizmem moralnym, przed tym, co nazywamy sowietyzacją.

Ci, którzy nadal i uparcie – mimo fatalnych doświadczeń – opowiadają się za socjalistyczną wizją przyszłego społeczeństwa, mogą nieomal w całości przyjąć jego „utopijny” to znaczy humanistyczny socjalizm. Troska o upośledzone warstwy, wolność i godność człowieka, o równość i sprawiedliwość społeczną, o wyzwolenie pracy z wszelkich okoliczności przymusu, o autentycznie społeczne władanie środkami produkcji, o samorządność, o podmiotowość człowieka i narodu – to niezbywalne pryncypia polskich socjalistów, spadkobierców programu PPS, mieszczącego się w etosie „Solidarności”.

Fakt, że centralną kategorią filozofii Abramowskiego jest jednostka ludzka, jej rozwój wszechstronny i nieskrępowany, czyni go bliskim także tym ludziom, którzy nawiązują do doktryny liberalnej, chociaż nie zaaprobują oni kolektywistycznych wizji Abramowskiego, lecz tylko jego ogólne przesłanki ideowe.

Nieliczne, choć ostatnio zyskujące popularność wśród młodzieży grupki anarchistów, syndykalistów i anarchosyndykalistów – nie mają co wahać się i zastanawiać: „cały Abramowski” jest po prostu ich prorokiem, choć z każdym prorokiem można się przecież spierać o szczegóły.

Jedynie tradycyjni narodowcy będą wobec Abramowskiego obojętni lub nieprzychylni, gdyż kategorycznie odrzucał on kult potęgi i egoizm narodowy (przemilczmy jego incy-

dentalny tekst *Pomniejszyciele Ojczyzny...*). Nieco ich krytycyzm złagodzi, być może, żarliwy patriotyzm Abramowskiego, pasja niepodległościowa. Ale ta strona jego osobowości jest przecież równie bliska wszystkim nurtom, składającym się na „Solidarność”. Patriotyzm nie stanowi specyficznego wyróżnika ideologii na rodowej.

Można by szukać aktualności Abramowskiego na jeszcze innych, nawet całkiem wąziutkich ścieżkach. Jeśliby w Polsce, powiedzmy, powstał ruch „Zielonych” – ma gotowy wzorzec w apoteozie przyrody w idei najpełniejszej z nią koegzystencji, które głosił Abramowski-myśliciel, a Abramowski-człowiek głęboko przeżywał. Jeśliby w partię polityczną postanowili się zorganizować... punkowie, to spontaniczny, wrażliwy stosunek Abramowskiego do sztuki oraz jego całkowita tolerancja wobec wszelkich „bezinteresownych” przyjemności – pod warunkiem, by nie prowadziły do niczyjej krzywdy – były jakby specjalnie dla nich wymyślone. Jeśliby się odrodziła masoneria...

CZŁOWIEK KOMPLETNY. Tak mówiono o Abramowskim. Tak go widziało otoczenie.

Naiwnością byłoby oczekiwać, że etyzm w stylu Abramowskiego pod bije serca i umysły wszystkich, a choćby większości, a choćby znaczącej mniejszości. Świat Zachodu nadal oszołomiony jest konsumpcją, świat Południa pragnie się wyrwać z nędzy, świat Wschodu tęskni za dobrobytem, ale musi bronić życiowego minimum. Złe czasy dla uduchowionych proroków. Ale może właśnie w nich nadzieja, jak było tylekroć, gdy ludzkość stała na rozdrożu i ku nowym horyzontom pociągała ją garstka wizjonerów, którzy widzieli dalej.

Idee, jakie głosił Abramowski, dadzą się twórczo włączyć i dostosować do wszystkich nurtów myślenia, które odwracają się, jak od padliny, od pokus utalitarnych i totalitarnych. Ale dla Polaków najaktualniejszym wzorcem jest on sam: Edward Abramowski. Myśliciel, który był wierny najwyższym ideałom, choć w razie konieczności – bo nie był fantastą – dopuszczał nieuchronne kompromisy. Rewolucjonista, który walczył o wszystko, ale nie pozwalał stosować niegodnych środków walki. Człowiek, który się nigdy nie wahał, gdy trzeba było zejść z wieży nauki, z postumentu Apostoła, z cierpiętniczego łoża – i iść do ludzi, razem z ludźmi, w jednym szeregu walczących o wolność Polski i o wolność każdego człowieka w Polsce.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Wojciech Giełżyński
Edward Abramowski
Zwiastun "Solidarności"
1986

pl.anarchistlibraries.net